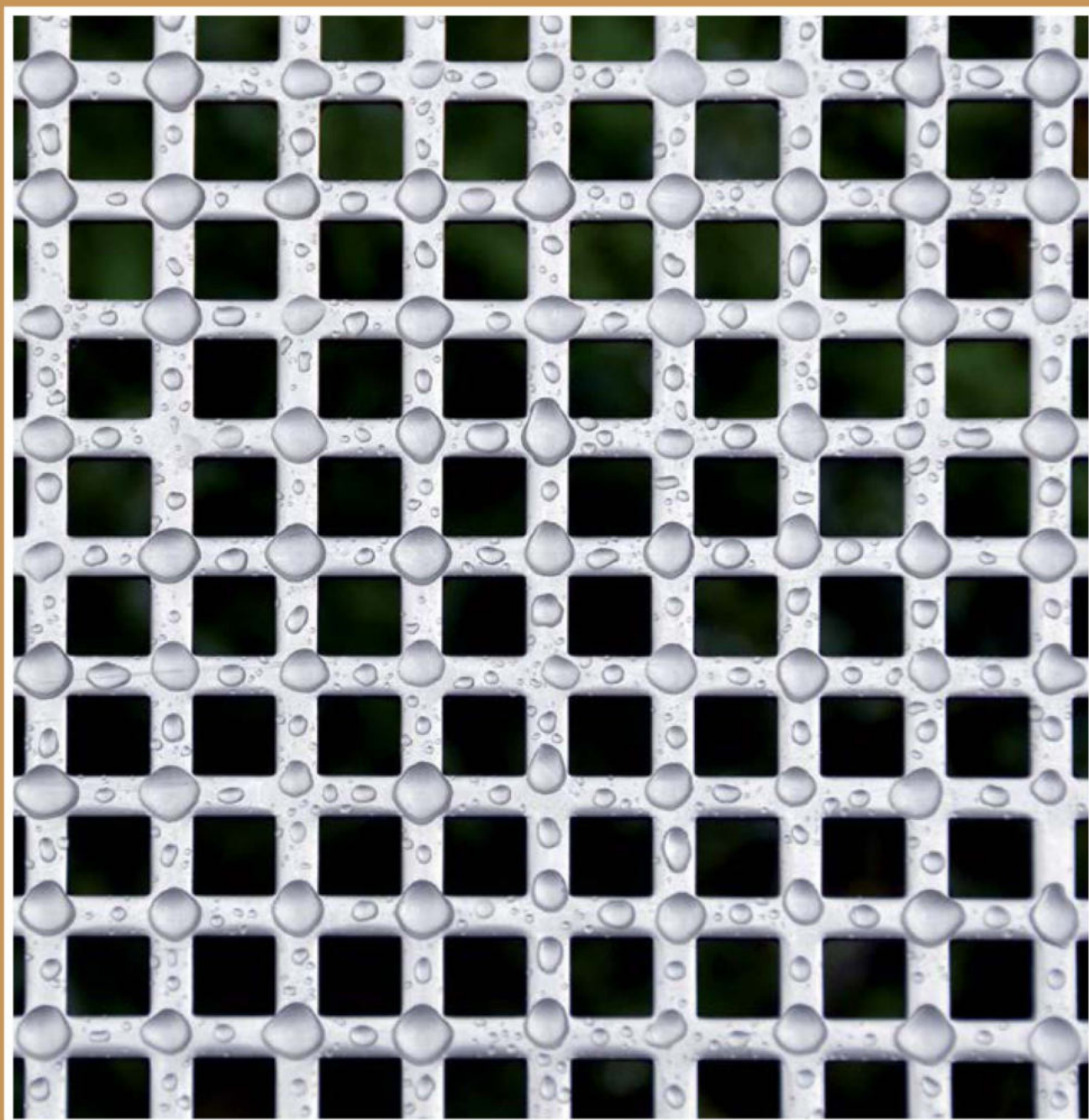


LUBLIN

20
LAT

kultura i społeczeństwo

nr 5 (121) Rok XX
wrzesień–październik 2023
numer jubileuszowy



TIPVS CIVITATIS LVBLINĒSI
 IN REGNO POLONIÆ EX OMNIBVS
 PARTIBVS MŪDI EMPORIO TER IN
 AÑO CELEBRARI CŌSVE TOCLARE.



1. Ecclesia S. Crucis extra Civitatem.
 2. Prædium Patrum Societatis IESU.
 3. Officina apothecarum et annularum aurium
 aquam ferream.
 4. Hospitalium.
 5. Turris in qua in Civitate orbisq[ue] debet
 abesse.

6. Officina in pulvis tartarum preparatur.
 7. Curia.
 8. Templum S. Spiritus.
 9. Domus Patrum Societatis IESU.
 10. Templum veteratum à Rege Pol. Rege creata.

11. Prædium S. Stanislaus.
 12. Parochia civitatis et arcem ducum.
 13. Templum S. Alberti.
 14. Xenodochium seu Hospitalis R. Casari.
 15. Pars civitatis et arcem ducum.

16. Arces ducum et vici Regni apparat.
 17. Templum Rothermanni.
 18. Sacerdotum.
 19. Sigenum spangione et profanum
 Sigenum variat.
 20. Officina papaverum.


Panorama Lublina wg. J. Brauna — F. Hoggengberga XVII/XVIIII w.

LUBLIN

kultura i społeczeństwo

tylko dla Ciebie
od

20
LAT

**LUBLIN
KULTURA I SPOŁECZEŃSTWO**Dwumiesięcznik
Środowisk Twórczych**Wydawca:**Lubelski Oddział
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
20-112 Lublin, Złota 3
FUNDACJA Willa Polonia
20-089 Lublin, Probostwo 26**Redakcja:**Zbigniew Włodzimierz
Fronczek
(redaktor naczelny)
Jan Kondrak
Bernard Nowak
Wojciech Pestka
Henryk Radej
Stanisław Żurek
Stanisław Jan Królik
(sekretarz redakcji)
Krzysztof Wasilczyk
(fotoreporter)
Jadwiga Król
(korekta)
Michał P. Wójcik
(redakcja techniczna)**Adres redakcji:**20-882 Lublin,
Organowa 1 m. 63
tel. +48 (81) 741-63-57
tel. kom. 607-222-193
e-mail: froncze@wp.pl**Skład, druk, oprawa:**Wydawnictwo Muzyczne
Polihymnia Sp. z o.o.
20-832 Lublin, Deszczowa 19
tel./fax +48 (81) 746-97-17**WWW.LUBLIN-CZASOPISMO.PL**Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i reklam. Nie odsyłamy nie zamówionych
materiałów. Zastrzegamy sobie prawo do
redagowania i skrótów nadesłanych tekstów.**Na okładce I:**PAWEŁ D. ZNAMIEROWSKI,
foto-grafika, (fragment) Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego Lubelskie
Smakuj życie! Lublin
MIASTO ZDOBUCZY**W numerze:**

20 lat	3
Drodzy Czytelnicy	5
Lublin ze starego wizerunku – K. C.	7
Lublin ze starych westchnień – Klemens Junosza-Szaniawski	7
Święty Antoni – niezwyklej patron Lublina – ks. Edward Walewander	8
Lubelskie tropy Jana Kochanowskiego – Stefan Nieznanowski	10
„Dobrze radzi, kto ludzi nie sądzi”. Lublinianie – pionierzy Renesansu w Polsce – Stefan Nieznanowski	15
Znaczenie puławskiej Świątyni Sybilli i Domu Gotyckiego w kulturze polskiej – Alina Aleksandrowicz	19
Polski bestseller powieściowy z roku 1816 („Malwina czyli domyślność serca” Marii z ks. Czartoryskich Wirtemberskiej) – Alina Aleksandrowicz	28
Teofil Lenartwicz – założyciel Akademii Historii i Literatury Polskiej i Słowiańskiej – Jan Sęk	40
Miasteczko aniołów – Tadeusz Kłak	49
Sto lat zorganizowanego życia literackiego – Józef Zięba	57
Lubelska parafia poetów – Jerzy Święch	67
Maria Kuncewiczowa o Jerzym, współtwórcy jej świata – Edward Balawejder	73
Żywe nurty polskiego teatru – Stefan Kruk	82
Struktury Pawła D. Znamierowskiego – Lech L. Przychodzki	90
Ostatnie lata życia Lwa Tołstoja w zwierciadle prasy lubelskiej – Jan Orłowski	95
Lublin wart jest przysłowia – Zbigniew Włodzimierski	103

DRODZY CZYTELNICY,

Mieć dwadzieścia lat!
Marzenie ludzi dojrzałych.
Tymczasem mamy dwadzieścia lat!
Radość i zdumienie! Czas się cofnął?
Nic takiego się nie stało.

Dobrnęliśmy do dwudziestej rocznicy powstania naszego pisma!

Radość niezwykła, zdumienie równie piękne.

Tak się chyba dziwi i cieszy człowiek sędziwy, powiedzmy dziewięćdziesięciolatek, że dożył takiego wieku. Chwila piękna, najbliżsi śpiewają: *sto lat, sto lat* a inni – dowcipniejsi – jeszcze głośniej: *dwieście lat, dwieście lat!*

Dwustu lat nie doczeka, ale setki? Kto wie?

Średnia ludzkiego wieku – lat kilkadziesiąt.

Pisma żyją krócej, owszem, ten i ów tytuł żyje długo, pojawił się wszak na czytelnicznym rynku w minionym wieku. Miał lepsze i gorsze lata. Kilka razy dogorywał, konał, był reanimowany. I nadal istnieje, funkcjonuje...

Ale średnia wieku gazety – lat kilka. Wiele tytułów nie przetrwało roku, dwóch...

Można przyjąć, że pierwsza gazeta w naszym mieście to powstała w XIX wieku „Dostrzegacz Ekonomiczny i Polityczny Lubelski”. Ukazywał się dwa razy w tygodniu od 1 kwietnia do 9 września 1816 roku. Pismo było interesujące, miało znakomity serwis informacyjny z kraju i zagranicy, wartościowe artykuły z zakresu rolnictwa, handlu, literatury. Niestety, zdobyło tylko 19 prenumeratorów. Zbyt mało, aby przetrwać.

Od tamtego czasu na lubelskim rynku do dzisiaj pojawiło się około 300 tytułów.

300 na sto dziesięć lat.

Wynik skromny, skromniutki... W Warszawie, Krakowie, Wilnie, Lwowie gazet pojawiło się kilka, kilkanaście razy więcej.

W tej sytuacji 20. lat to wynik imponujący.

Mamy swych oddanych czytelników, mamy niezwykle hojnych mecenasów.

Pracujemy jednak bez honorariów. Całe dwadzieścia lat. Dla wiernych czytelników i autorów.

Trudno myśleć o pięćdziesięcioleciu, ale na ćwierćwiecze „Lublina” numer jubileuszowy z pewnością się ukaże.

Do spotkania na kolejnym jubileuszu – REDAKTOR





Lublin ze starego wizerunku

PIERWSZA PANORAMA LUBLINA ZOSTAŁA ZAMIESZCZONA w dziele Geografa Brauna *Civitates orbis terrarum* wydany w Kolonii w latach 1572–1618. W opublikowanym w 1618 roku VI tomie tego dzieła, Abraham Hogenberg ukazał miasto i zamek w murach oraz okoliczne wsie i przedmieścia. Lublin jest jednym z ośmiu miast współczesnej Polski, których mapy i widoki zaprezentowali autorzy. Panoramę miasta pokazano od południa. Przedstawiony opis przynosi zamieszczony w kartuszu tytułu zawierający istotną informację odnoszącą się do rangi miasta – „Widok miasta Lublina w Królestwie Polskim, sławnego na całym świecie trzy razy odbywającymi się jarmarkami”. W sąsiadujących z napisem

kartuszach znajdują się herby Królestwa Polskiego i Lublina. W dole wizerunku umieszczono legendę zawierającą krótkie opisy dwudziestu dwóch, ponumerowanych na miedziorycie, obiektów. W samym opisie miasta, zamieszczonym na odwrocie karty, zostało podkreślone znaczenie Lublina wśród miast Królestwa, podane są też jego współrzędne geograficzne, krótki rys historii miasta, z zaznaczeniem roli Władysława Łokietka jako jego założyciela, Kazimierza Wielkiego, któremu zawdzięczało rozbudowę. Podkreślone zostały również walory krajozobrazowe i malowniczość położenia Lublina, sposób połączenia miasta z zamkiem; opisano zamek, wymieniono najważniejsze budowle.

K.C.

Lublin ze starych westchnień

NA SIĘDMIU PAGÓRKACH MALOWNICZYCH ROZRZUCONY wygląda nasz gród macierzysty niby Rzym, a dzieciaki twierdzą, że ma nawet Kapitol swój i skałę Tarpejską (...) Pierwszy na balkonie Trynitarzkiej wieży – druga niedaleko na górze za Dominikanami. Ileż razy staczaliśmy się z niej, zepchnięci rękami rozbawionych chłopców swawolników (...) Lublin od strony Katedry w dół ku rzece i ku kolei jest pełen poetyckiego wdzięku. Rzuciwszy okiem na lewo z chodnika, koło zabudowań Towarzystwa Dobroczynności, widzimy prześliczną dolinę, malownicze wioski, fabryki, łąki, srebrną wstęgę Bystrzycy, Lago Maggiore, to nie jest Lago Maggiore, ale coś w tym rodzaju: sadzawkę pana Wędrowskiego – a jeżeli puścimy się dalej przez Ponte dei Sospiri (dzierzawca rogatkowego

przy nim wzdycha), jeżeli spojrzymy na tak zwane Piaski, i dodajmy, jeżeli to wiosna i Bystrzyca szeroko wylała, to może nam się zdawać, że jesteśmy na lagunach Wenecji... Domy i woda, woda i domy... Na upartego można znaleźć i plac Św. Marka (targ się na nim odbywa) i pałac Dożów. Nie zaręczylbym, że który obywatel tej dzielnicy nie nazywa się Jankiel Doża (...) Lublin od dawna słynie z pięknych panien, a ma ich tyle, że na eksport wystarcza. Częstokroć też urocze Sabinki lubelskie bywają porywane i wywożone daleko. Podobno dla ułatwienia tych porwań, odbywanych zresztą najlegalniej, według prawa cywilnego i kanonicznego, założony został Nałęczów...

KLEMENS JUNOSZA SZANIAWSKI
(*Kalendarz Lubelski na rok 1893*)

KS. EDWARD
WALEWANDER

Święty Antoni – niezwykły patron Lublina

ŚWIĘTY ANTONI BYŁ Z POCHODZENIA PORTUGALCZYKIEM Urodził się w 1195 r. w Lizbonie. Jego droga życiowa była bardzo burzliwa. Łączony jest przede wszystkim z Padwą, miastem we Włoszech, gdzie spędził końcowe lata życia i zmarł 13 czerwca 1231 r.

Niektórzy kaznodzieje mówią nieraz półżartem, że Antoni Padewski to najbardziej polski święty, bo... jego nazwisko kończy się na – ski.

Należy On do najbardziej znanych świętych Kościoła katolickiego. W ikonografii przedstawiany jest najczęściej z Dzieciątkiem Jezus na ręce. Może w tym leży tajemnica jego niezwykłej popularności? Każdy chce przecież być jak najbliższej Zbawiciela. Dlatego czcimy świętego, który niesie nam małego Jezusa.

Nie sposób opisać wszystkich przejawów niezwykłej popularności św. Antoniego. Jest patronem narzeczonych i małżeństw. Modlą się do Niego kobiety o szczęśliwe rozwiązanie, a także cierpiące z powodu niepłodności. Istnieje mnóstwo instytucji, bractw działających pod imieniem tego świętego i innych dowodów jego kultu. Poczynając od XVII stulecia, kiedy w wielu krajach Europy z powodu wojny trzydziestoletniej panowały choroby i głód, czci św. Antoniego poświęcano szczególnie wtorki, bo we wtorek został pochowany. Od drugiej połowy XIX w. powszechnie znane jest charytatywne dzieło pod nazwą Chleb św. Antoniego, które udziela pomocy żywnościowej biednym.

Święty Antoni był bardzo dobrze wykształconym zakonnikiem, franciszkaninem. Zaraz po śmierci nazwano Go Doktorem Ewangelicznym. Bezpośrednio po zakończeniu II wojny światowej papież Pius XII ogłosił go Doktorem Kościoła. Jako kaznodzieja gromadził wokół siebie tysiące słuchaczy, swoim słowem przekonując ich do pokuty i poprawy życia. Czynn timer wkraczał w sferę spraw społeczno-politycznych regionu, w którym żył. Konsekwentnie i skutecznie zwalczał niesprawiedliwość, zwłaszcza lichwę, czyli pobieranie wygórowanych odsetek od pożyczonych pieniędzy. Problem ten jest do dziś aktualny! Domagał się też, by nie karać więzieniem niewypłacalnych dłużników i nie wyzyskiwać biednych. Starał się ulżyć losowi ofiar ówczesnych walk zbrojnych i konfliktów społecznych. Wybrał



się nawet do władcy Weroni, by skłonić go do zaprzestania bratobójczych walk.

Zapamiętajmy: święty z Padwy mieszał się do polityki! Państwo nie może istnieć bez polityki. Św. Antoni nie dał się zepchnąć na margines życia społecznego. Wiara nie była dla niego sprawą prywatną. Może i dlatego jest czczony na całym katolickim świecie, nie tylko w Europie, ale i w Ameryce, zwłaszcza Południowej, gdzie kwestia społeczna jest dzisiaj szczególnie paląca.

Potrafił zaskakiwać ludzi. Często lubił przebywać na swoim ulubionym drzewie, z którego nauczał. W Padwie do dziś określenie *il santo* oznacza po prostu św. Antoniego. Bazylikę Jego imienia co roku odwiedzają tysiące pielgrzymów, także Polacy. Jest bardzo bliski naszemu polskiemu

STEFAN
NIEZKANOWSKI

Lubelskie tropy Jana Kochanowskiego

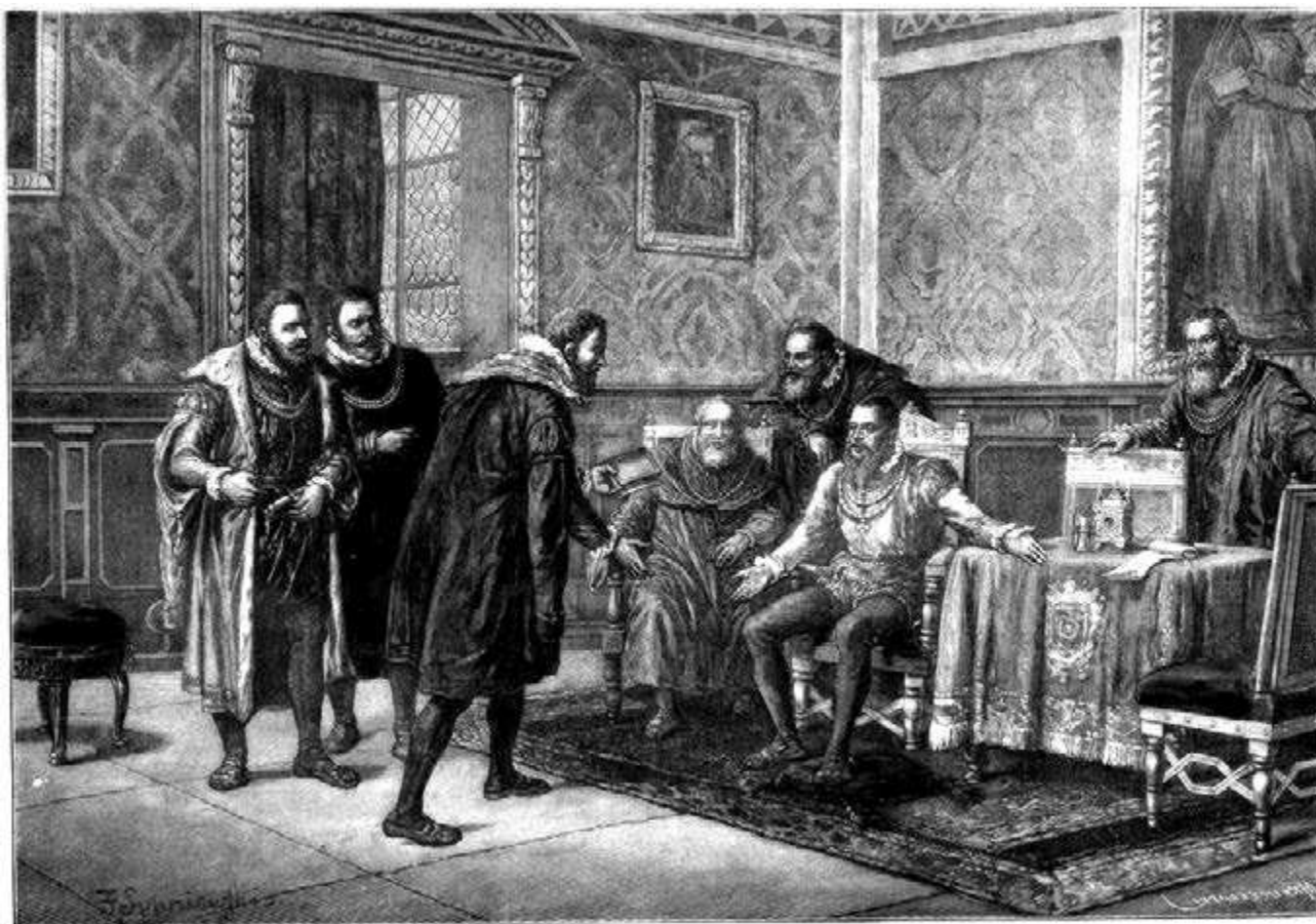
JAN KOCHANOWSKI ZMARŁ W LUBLINIE (mija 430 lat), to wiedza dość powszechna. O lubelskich pobytach, związkach z ludźmi z regionu wiemy nieco mniej.

Czarnolas – rodowa siedziba Kochanowskich – nie był aż tak odległy. Ojciec poety, Piotr, twórca względnej zamożności rodu, umiał dbać o interesy, nie przeszkadzały mu różnice społeczne. Zadłużali się u niego również mieszczanie lubelscy. Po jego śmierci w roku 1547, wdowa Anna wraz z synem Janem pojawiła się w Lublinie 10 listopada 1547 r. Przed sąd wójtowski (wójt, po łacinie advocatus, był przewodniczącym sądu miejskiego) pozwała aptekarza Macieja Lossa o niezwrócenie w terminie długu. Odebrała też dług od złotnika Macieja Krajowskiego. Był to pierwszy odnotowany pobyt Jana Kochanowskiego w Lublinie.



W r. 1551, po uzyskaniu „stypendium” od księcia pruskiego, Kochanowski zaczyna wjazd edukacyjny po Europie. Trwał on z przerwami do 1559 roku.

Po powrocie do Polski poeta szuka swego miejsca w życiu. Wyboru dużego nie miał. Jak wielu wykształconych synów ze średnio zamożnych rodów mógł się związać z dworem królewskim, dworami możnowładców lub z Kościołem. W jego twórczości widzimy ślady tych poszukiwań (Tęczyńscy, Tarnowscy, Radziwiłłowie), aby w roku 1561 nawiązać bliski kontakt z dworem Jana Firleja – wojewody lubelskiego. Nie wiemy, jakie obowiązki miał poeta. Akta sądowe krakowskie odnotowują pełnomocnictwa poety udzielone przez żonę Firleja, Bonerównę z domu, przy pilnowaniu spadku grabionego przez jej braci. Trwałym efektem pobytu u Firlejów była przyjaźń z ich synem, Mikołajem, trwająca po kres życia Kochanowskiego. Nie znamy powodów rozstania się Jana z Firlejem. Zastawiająca jest data: 1563, Firlej awansuje na urząd marszałka wielkiego koronnego i w tym roku Kochanowski zostaje królewskim sekretarzem. Potwierdzały to zapiska w rachunkach miejskich Lublina: 30 maja 1563 r. przybyli z Brześcia „w cztery konie, urodzony Łukasz Górnicki, bibliotekarz Króla Jegomości i pan Jan Kochanowski” bez określenia funkcji. Obaj otrzymali zwrot „kosztów podróży” po 3 zł i 6 groszy. Do rady mogły nie dotrzeć informacje o sekretarskiej godności poety. Nie znamy dokładnej daty nominacji, zawdzięczał ją poeta biskupowi Myszkowskiemu (został podkanclerzym królestwa w marcu 1563 r.). Kancelarię królestwa kierowali przeważnie duchowni, świeccy rzadko, wynagrodzenie sekretarzy¹ było też kościelne. Kochanowski otrzymał prepozyturę w Poznaniu (prepozyt przewodniczył kapitule i był proboszczem katedry) i później probostwo w Zwoleniu. Oczywiście korzystał z dochodów, funkcje religijne pełnili kanonicy lub wikariusze. Zygmunt August wędrował po kraju, towarzyszyli mu sekretarze, nie znamy ich nazwisk, możemy jedynie przypuszczać, iż w drodze na Litwę pojawiali się w Lublinie. Nie mamy też pewności, czy Kochanowski był w Lublinie w roku 1569, roku zawarcia unii z Litwą. W „Apoftegmatach”



Kochanowski wręcza swego „Satyra” Zygmuntovi Augustowi.
Ukniel i rysunek P. Szymulskiego. (Zob. str. 23, str. 122.)

(zbiorku anegdot) zanotował poeta trudności w negocjacjach z Litwinami:

*Litwa z nami Uniją uczyniła strojną,
 Uciekli, zostawiwszy Haraburdę z Wojną.*

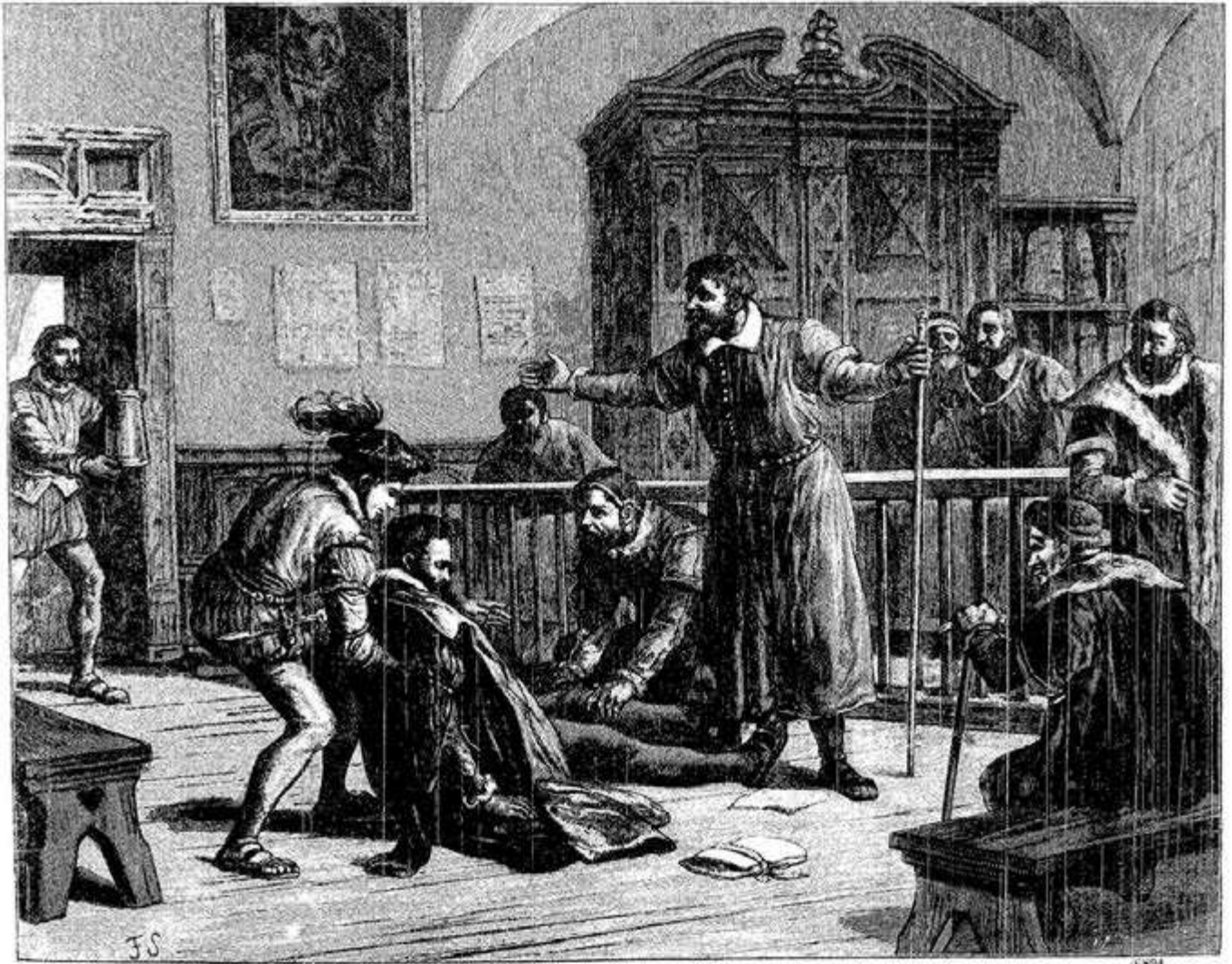
Były to nazwiska pisarzy z kancelarii litewskiej.

Literacko odnotował poeta inne wydarzenie tego roku, hołd Albrechta Fryderyka Hohenzollerna (zob. „Proporzec albo hołd pruski”), syna dawnego protektora Kochanowskiego (zmarł w 1568 r.). Współcześni zostawili wiele opisów tego hołdu, w „Proporcu...” znajdujemy szczegóły, których nie ma w znanych nam opisach. To poświadczaloby obecność poety na tej uroczystości w Lublinie. Zakończenie „Proporca...” jest hołdem dla Zygmunta Augusta, za zasługi w zawarciu unii.

Po rozstaniu się z dworem, około r. 1570, już jako gospodarz Czarnolasu, Kochanowski bywał w Lublinie. Potwierdza to zapis w testamencie Jana Gibla z r. 1576: „... zeznam, iż mi pan Jan Kochanowski z radomskiego powiatu trzydzieści złotych został za strawę [winien]” – tekst bardzo zniszczony. To spora suma i nie można było jej przejść za jednym pobytem. Akta urzędowe poświadczają

kontakty, przeważnie ekonomiczne, z Firlejami. Warto odnotować jedno jeszcze zdarzenie z r. 1580. Mikołaj Firlej, starosta kazimierski, poprosił Kochanowskiego o udział w osądzeniu przypadkowego zabójstwa mieszcżki kazimierskiej. Trzecim uczestnikiem zespołu sędziowskiego był dzierżawca starostwa, Maciej Oczko.

Joachim Bielski („Kronika...”, Kraków 1597) pod rokiem 1584 zapisał: „Na teŹże konwokacyjej w Lublinie umarł Jan Kochanowski, herbu Korwin, poeta taki polski, jaki w Polszcze jeszcze ani był, ani drugiego takiego spodziewać się możemy”. Śmierć poety podczas lubelskich obrad senatu potwierdzają współcześni: Sebastian Fabian Klonowic, wójt lubelski i poeta, autor cyklu „Żalów... na śmierć Kochanowskiego” (Kraków 1585); Jan Dymitr Solikowski, arcybiskup lwowski, senator obecny na posiedzeniu senatu², wreszcie Jan Wielewicki, autor bezcennego diariusza domu zakonnego jezuitów u św. Barbary w Krakowie. Diariusz opracowany był w latach 1629–1633, ale Wielewicki włączył do swego dzieła, dziś zaginiony, diariusz Piotra Skargi za lata 1570–1590. Mniej precyzyjni byli współcześni w datowaniu śmierci poety. Klonowic na „Żalach...” postawił datę XVI sierpnia (R. Szczygieł³, przypuszcza, iż to błąd zecera), Andrzej →



Trzeciecki, poeta, przyjaciel Kochanowskiego, zapisuje dwie daty 20 i 24 sierpnia, na epitafium w Zwoleniu jest data 22 sierpnia. I jest to data prawdziwa. Przed paru laty w zbiorach lubelskiego bibliofila, ks. Ludwika Zalewskiego, odnalazł się diariusz owej lubelskiej konwokacji. Król przybył do Lublina 19 sierpnia, obrady miały się rozpocząć 20, ale opóźniły się o dzień. Na posiedzeniu 21 sierpnia zaufany Zamoyskiego, starosta krasnostawski, poruszył sprawę, w której Kochanowski przybył do Lublina. Chodziło o zabójstwo szwagra poety, podkomorzego Batoroego i posła do Turcji. 22 kontynuowano temat i decyzję przełożono... do przyszłego sejmku.

Mogło to poetę wzburzyć i przyspieszyć zgon.

Wokół tej śmierci narosło w XIX wieku parę legend. Poeta miał umrzeć w czasie posłuchania u króla (diariusz nic o tym nie mówi, nie wiemy, czy taką audiencję Kochanowski uzyskał), bardziej prawdopodobna jest protekcja Zamoyskiego. Wedle tej samej legendy król przyjął poetę w Trybunale (przed II wojną światową postawiono poecie

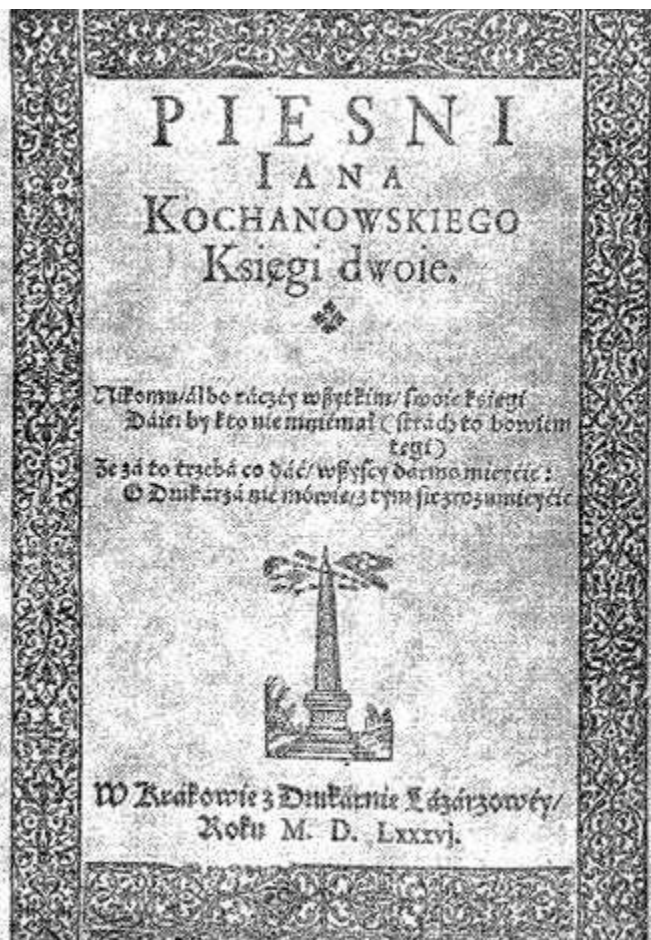
pomnik przed Trybunałem). Ciekawe, iż badacze XIX-wieczni nie uwierzyli Klonowicowi, w „Żalu VII” pisał:

*Na mię płacz gościnnym prawem przyszedł, bo tu jaśnie
Zacny poeta gaśnie.*

*W mojej sąsiedzkiej osadzie w ten zjazd zawołany,
Między zacnymi pany.*

Owa „sąsiedzka osada” w 1584 r. była własnością Macieja Oczki. Zapis Klonowica aluzyjnie potwierdzi Wespazjan Kochowski (1633–1700) w „Apologii za Janem Kochanowskim... którego niektórzy rozumieją być heretykiem”. Omawia twórczość Kochanowskiego poświadczającą jego prawowierność i kończy:

*Stąd tedy go chcę wymierzyć,
Jak pisał, tak musiał wierzyć.
Kto przeciwny w tym terminie,
Pytaj się, gdzie zmarł w Lublinie.*



Oczko był katolikiem.

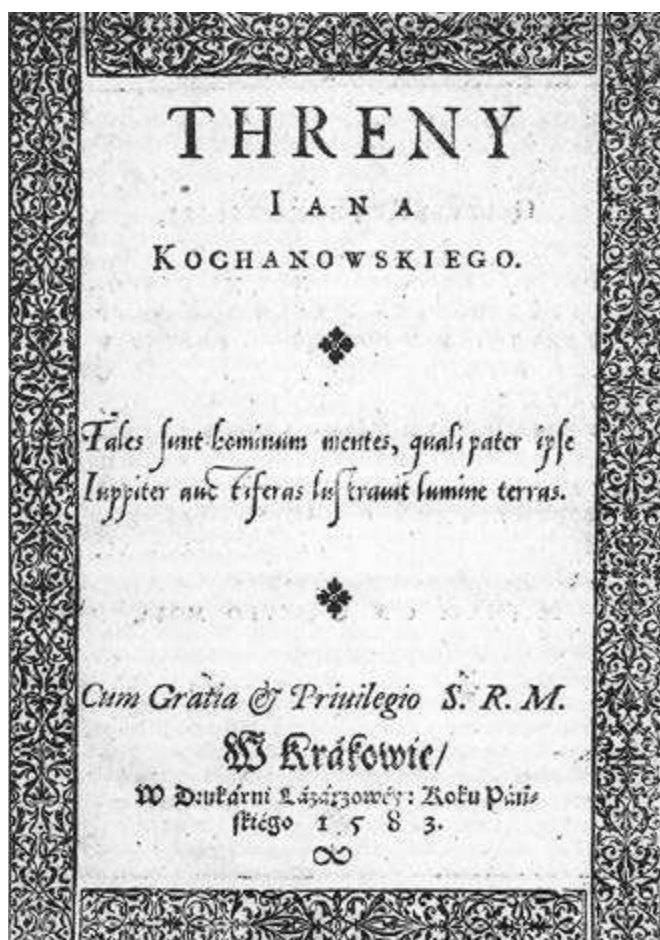
Długo też trwały dyskusje o miejscu pochówku poety. Kaplica – rodowa nekropolia Kochanowskich – ukończona została około 1610 roku. Dawni badacze pochowali poetę w lubelskiej farze Michała Archanioła. Ryszard Szczygieł (zob. przypis 3) udowodnił, iż szlachcica nie pochowano by w kościele mieszczańskim.

We wrześniu 2014 r. „Gazeta w Lublinie” uczciła 430. rocznicę śmierci poety refleksjami o znaczeniu tradycji czarnoleskiej i pomieściła sensacyjną informację o tablicy epitafijnej w kościele pobernardyńskim w Lublinie poświęconej poecie. Epitafium miałoby potwierdzać pochówek tu poety. Mogłoby to być nawet prawdopodobne. Kochanowscy mieli jakieś kontakty z franciszkanami (u krakowskich franciszkanów pochowano Piotra Kochanowskiego, tłumacza Tassa i Ariosta, bratanka Jana z Czarnolasu). U lubelskich bernardynów jest epitafium Jana Kochanowskiego (bratanka Jana i brata Piotra), sekretarza Zygmunta III Wazy, zmarłego w 1613 roku. W r. 1611 ów Jan Krzysztof Kochanowski, starosta małogoski i Adam, sędzia ziemski lubelski otrzymali przywilej od Zygmunta III na wyłącznych edytorów dorobku wielkiego krewnego.

Akta urzędowe pokazują poetę w sytuacjach oficjalnych. Jest to zgodne z obyczajami XVI-wiecznymi. Mówienie o sprawach prywatnych uchodziło za nietakt. Kochanowski, kapryśnie, ujawniał nam w tekstach kontakty z ludźmi z naszego regionu. Odnajdujemy te spotkania przede wszystkim we „Fraszkach”. Powstawały na przestrzeni dwudziestu lat, są liryczną panoramą zdarzeń towarzyskich, ludzi, refleksją o życiu i śmierci, roli poety i poezji, niepewności ludzkiego bytowania, ale i sytuacji komicznych. Autor cenił ten zbiór wyjątkowo (zob. „Do fraszek” III 29):

*Fraszki nieprzeptacone, wdzięczne fraszki moje,
W które ja wszystkie kładę tajemnice swoje:
Bądź łaskawie Fortuna ze mną postępuje,
Bądź inaczej, czego snadź więcej się najduje.
Obralliby się kiedy kto tak pracowity,
Żeby z was chciał wyczerpać umysł mój zakryty,
Powiedźcie mu niech próżno nie frasuje głowy...*

Jednocześnie przestrzegał nas przed dosłownym czytaniem tekstów. Z lubelskich adresatów wierszy najczęściej pojawia się Mikołaj Firlej. Tłumaczy się poeta z fraszek frywolnych („Do Mikołaja Firleja” I 26): stateczny ma być poeta „...rym czasem ujdzie i wszeteczny”. Mikołajowi poświęci żartobliwą odpowiedź na prośbę o druk fraszek (III 73). Dedykuje mu wydany w 1580 r. zbiorek *Liricorum libellus* (Liryków książeczka) i odę V: *Ad* →





*Nagrobek Jana Kochanowskiego w Lublinie.
Tombana do Jan Kochanowski a Lublin.*

Nic. Firleum Joann. (Do Mikołaja Firleja, syna

Jana, wojewody krakowskiego). Kilkakrotnie pojawi się Mikołaj w zbiorze łacińskich epigramów (zob. *Fori – coenia...*). Zofii z Bonerów Firlejowej poświęcił Kochanowski 2 epigramy („Fraszki” III 66 i III 67): „Nagrobek...” III 66 w zgodzie z poetyką renesansową ma charakter informacyjny. Drugi, ciekawszy, wykorzystuje chyba pierwszy raz w poezji polskiej, tzw. *oratio ad tumulum* (mowę z grobu):

*Mężu mój, o mój mężu, śmierć nielutościwa
Mnie smutną z tobą dzieli a pod ziemię wzywa
Do niskiej Prozerpiny ciemnego pokoja.
Bóg cię żegna, ja żywa i umarła twoja.*

We „Fraszkach” uwiecznił poeta i mniej prominentne osoby z regionu, np. Stanisława Meglewskiego, towarzysza z dworu Jana Firleja, a później jego syna Mikołaja (II 15). „Nagrobek Pawłowi Chmielowskiemu” (II 56) przywołuje archidiakona lubelskiego, podróżnika, dyplomata. Jego następcą na archidiakonacie został lekarz

biskupa Myszkowskiego, dr Montanus. Spo-

śród wielu fraszek adresowanych do tego ostatniego, warta przytoczenia jest „Do doktora Montana”:

*Pierwszą, wtórą i trzecią, czwartą wieś i piątą,
Szóstą także i siódmą, ósmą i dziewiątą,
Nie wiem, miły doktorze, w której masz krainie,
Jam tylko był w dziesiątej, która przy Lublinie.*

Dziesiąta, dziś dzielnica Lublina, była uposażeniem archidiakona lubelskiego. ■

PRZYPISY

¹ Zespół sekretarzy Zygmunta Augusta to elita intelektualna ówczesnej Polski. Obowiązki mieli różne: pełnili funkcje podobne do ról dzisiejszych ministrów; bywali ambasadorami, posłami, mediatorami, wreszcie politycznymi publicystami. Zob. Marcin Kromer, *Polonia...*, Kolonia 1577, tł. polskie: *Polska...* tł. S. Kozikowski, oprac. R. Marchwiński, Olsztyn 1977.

² Zob. Jan D. Solikowski, *Commentarius brevis polonicarum a morte Sigismundi Augusti...*, tł. polskie W. Syrokomla, *Krótki pamiętnik rzeczy polskich...*, Petersburg 1854.

³ R. Szczygieł, *Okoliczności śmierci i pogrzebu Jana Kochanowskiego [w:] Jan Kochanowski w czterechsetlecie śmierci...*, Lublin 1991.

„Dobrze radzi, kto ludzi nie sądzi”

STEFAN
NIEZNANOWSKI

Lublinianie – pionierzy renesansu w Polsce

KLASYCZNE DZIEŁO JAKUBA BURCKHARDTA *Kultura Odrodzenia we Włoszech* utrwaliło w świadomości inteligencji europejskiej przekonanie, iż renesans narodził się z niczego, nie miał żadnych antecedeni w poprzedniej epoce. Dziś wiemy, iż nie jest to prawda. Możemy się zgodzić jedynie z poglądem o mieszczańskich korzeniach epoki. Tak było w Italii, ale i w Polsce zarodki nowych tendencji zawdzięczamy mieszczańskim – profesorom humaniorów odrodzonej Akademii Krakowskiej. Odrodzenie Akademii przypada na wiek XV, uważany dziś w humanistyce europejskiej za bardziej znaczący dla kultury niż wiek XVI. Johan Huizinga, znakomity historyk kultury, nazwał ten wiek „jesienią średniowiecza”. Jesień to zmierzch lata, ale i okres zbiorów, czas obumierania, ale i zarodki nowych plonów. Dotyczy to nie tylko Europy zachodniej, także Polski. Obserwujemy ogromne ożywienie twórcze, łacińskie, podkreślające wspólnotę intelektualną Polski z kulturą europejską, i polskie, zaspokajające potrzeby nowych czytelników. Akademia Krakowska ma w wieku XV znakomitą kadrę profesorską, wielu profesorów, np. Mateusz z Krakowa, Jakub z Paradyża, Paweł Włodkowic, Paweł z Korczyna, cieszy się autorytetem ogólnoeuropejskim (nb. już nigdy polscy uczeni nie cieszyli się takim autorytetem). Przyciągają studentów z całej Europy (ok. 50% słuchaczy to cudzoziemcy), łacina, język wykładowy i język elit, ułatwia porozumienie i wymianę poglądów, poszerza znajomość nowości nie tylko literackich, ale i filozoficznych czy teologicznych. Z Akademii wywodzi się wielu poetów łacińskich, łacina bowiem nie znika z literatury nowej, i nie przeszkadza rodzącej się świadomości narodowej, uznającej języki narodowe za ważne ogniwo nauczania. Z Akademii wyjdzie poczet poetów piszących po łacinie – znakomity polonista belgijski, Claude Backvis z podziwem pisze o szybkości uczenia się tych poetów, np. Paweł z Krosna, Jan z Wiślicy, Jan Dantyszek (od łacińskiej nazwy Gdańska: Dantiscus), Hussovius (nie znamy polskiej wersji jego nazwiska), ale i wielu tłumaczy przyswajających polszczyźnie modne dzieła zachodniej literatury (np. Jan z Koszyczek, Leonard z Bończy i inni). Dominacja twórców



mieszczańskich kończy się w r. 1543, debiutują ponownie Mikołaj Rej, Andrzej Frycz Modrzewski, Stanisław Orzechowski. Od tego roku pisarze dawni wywodzą się ze szlachty, a ówczesna Polska będzie jedynym krajem w Europie, w którym można było uzyskać nobilitację za osiągnięcia literackie (nobilitowani byli Łukasz Górnicki i Szymon Szymonowic).

Biernat z Lublina urodził się ok. 1465 r., kiedy kastowość pisarzy nie obowiązuje. Nie wiemy, gdzie studiował, współcześni nazywali go „vir doctissimus” (mąż najbiedlejszy w nauce). Biografia poety pełna jest luk, choć zostawił nam notkę autobiograficzną napisaną po łacinie w r. 1516, którą znamy od 1934 r. Wiemy z niej, iż od 18. roku życia służy u różnych ludzi, m.in. u Filipa Kallimacha, lubelskiego kupca Łazarza, a od r. 1492 przebywa na dworze wojewody ruskiego, Jana Pileckiego, później u jego syna, także Jana, tu pełni funkcję sekretarza i... kapelana kaplicy dworskiej. Ostatniego chlebobdawcę wspomina z wdzięcznością, może korzystając z bogatej biblioteki i tworzyć, obowiązki dworskie nie były zbyt uciążliwe. Zmarł po r. 1529. Tę datę ustalamy z dyskusji między Biernatem a profesorem Akademii, →



Janem z Pilzna. Biernat był przeciwnikiem kary śmierci, argumenty poety są niemal dzisiejsze: „Sędzia nie może nikogo na śmierć skazać, bo nikt mu tej władzy nie dał... Stwórca nie dał nikomu mocy niszczyć swojego dzieła”. Jan z Pilzna w rozprawie *O roznych rzeczach i gadaniach Sarmacyi* (1529), uzasadnia konieczność kary śmierci jako zadośćuczynienia za ciężkie zbrodnie. W polemice zwraca się bezpośrednio do adresata: „miły Bernardzie”, „drogi Bernardzie” jak do żyjącego (nb. wiedza o Bernardzie mogła być prawdziwa, w XIX w. historyk literatury Michał Wiszniewski twierdził, iż Biernat był profesorem Akademii wspólnie z Janem z Pilzna; współczesne badania tego nie potwierdzają).

Dorobek literacki Biernata, pewny, nie jest obfity. Zaś czytany przez współczesnych, zachowany szczątkowo byłby anonimowy, gdyby nie świadectwa dawnych czytelników. W r. 1547 dwaj protestanczy polemiści, Jan Malecki i Jan Seklucjan spierali się o formę zaimka „który”. Malecki był zwolennikiem starego „jenże”, Seklucjan nowego „który”. W obronie starej formy Malecki przywołuje autorytet Biernata: „Masz... »jenże« w *Hortulus animae*, którą to książkę oraz bajki Ezopa... przełożył na język polski... mąż wielce uczony i biegły w polskiej mowie, Biernat z Lublina” (tłum. Jerzego Ziomka). Mamy więc potwierdzenie autorstwa Biernatowego *Raju dusznego* i Ezopa. Wiemy, iż Ezop miał dwa wydania, w r. 1522 (nie zachowało się!) i 1578 zachowane w jednym egzemplarzu. Istnienie

edycji z r. 1522 potwierdzi, profesor Akademii, Stanisław Pudłowski w notce z r. 1634: „Bernat z Lublina przed stem i dwunastam lat o księżnej pisze do pana... Jana Pileckiego w przemowie na *Ezopa*:

*Dwór nam pokaził kapłany,
Kanoniki i dziekany.
Wszystko w kościele zdworzało,
Nabożeństwa bardzo mało.*

W edycji z r. 1578 nie ma dedykacji, Biernatowi przypisuje się autorstwo *Dialogu Palinura z Karonem* (Palinur sternik Eneasza, Karon – Charon – przewoźnik zmarłych w Hadesie). Dziś kwestionuje się autorstwo Biernata, jak i źródło, które miało służyć za wzór: łacińskie lub czeskie.

Raj duszny, wydany w r. 1513, do r. 1547 miał 5 wydań. O jego poczytności świadczy fakt, iż z tych pięciu edycji zachowały się tylko fragmenty. Książka jest przekładem łacińskiego modlitewnika *Hortulus animae*, dokładnie „Ogród duszny”, Biernat przełożył wiernie, wszak raj był ogrodem. Modlitewnik Biernata długo uchodził za pierwszą książkę drukowaną w Polsce, dziś wiemy, że były druki wcześniejsze, ale Biernatowy przekład modlitewnika jest na pewno pierwszym drukiem ciągłym (wcześniej drukowano kalendarze!). Już w tym modlitewniku ujawniła się ciągłość językowa w polszczyźnie, Biernat radzi sobie dobrze z doбором synonimów, umiejętnie przekłada tony emocjonalne, stara się o dobór słów, które przekazują nie tylko postawy religijne, ale i dbają o dźwiękową formę modlitwy.

Ezop... to skrót myślowy, Biernat przyswoił polszczyźnie żywot półmitycznej postaci z VI wieku przed Chrystusem i zbiór jego bajek. Ezop był niewolnikiem. Kupiony na targu przez filozofa, sprawia mu wiele zabawnych kłopotów. Jest właściwie karykaturą człowieka, potwornie brzydki, zaprzecza urodą ideałom piękna ludzkiego zarówno średniowiecznym, jak i renesansowym. Ideał kalokagathej (piękny i sprawny fizycznie), tak podkreślany choćby przez Kochanowskiego, wykluczał pozytywne cechy u ludzi brzydkich. Ezop jest mądry i dobry, jest przede wszystkim zwolennikiem praktycznego rozumu, ważniejsze jest dla niego doświadczenie i empiria niż mądrość książkowa (przypomnijmy, wiedzy ze „zdechłej skóry” nie cenil Rej!). Ezop dosłownie wykonuje polecenia swego pana, udając, iż nie pojmuje metaforycznej warstwy języka. Ezop pomaga rozwiązywać problemy, które wydają się skomplikowane nie ze swej natury, lecz nieudolności ludzi. Wyzwolony z niewolnictwa udaje się do Delf, miejsca kultu Apollina, naucza tam, pomijając kapłanów, jest zwolennikiem rozwiązań racjonalnych i zgodnych z naturą. Oczywiście kapłanom się to nie podoba, podrzucą mu naczynia świątynne i skazą na śmierć za świętokradztwo. Ezop ginie, ale przeświadczony jest o sile prawdy i nieśmiertelności rozumu:

*Boć mądrzy nie umierają,
Jako szaleni mniemają,
A po śmierci prawie żywią,
Ludzi rządząc nauką swą.*

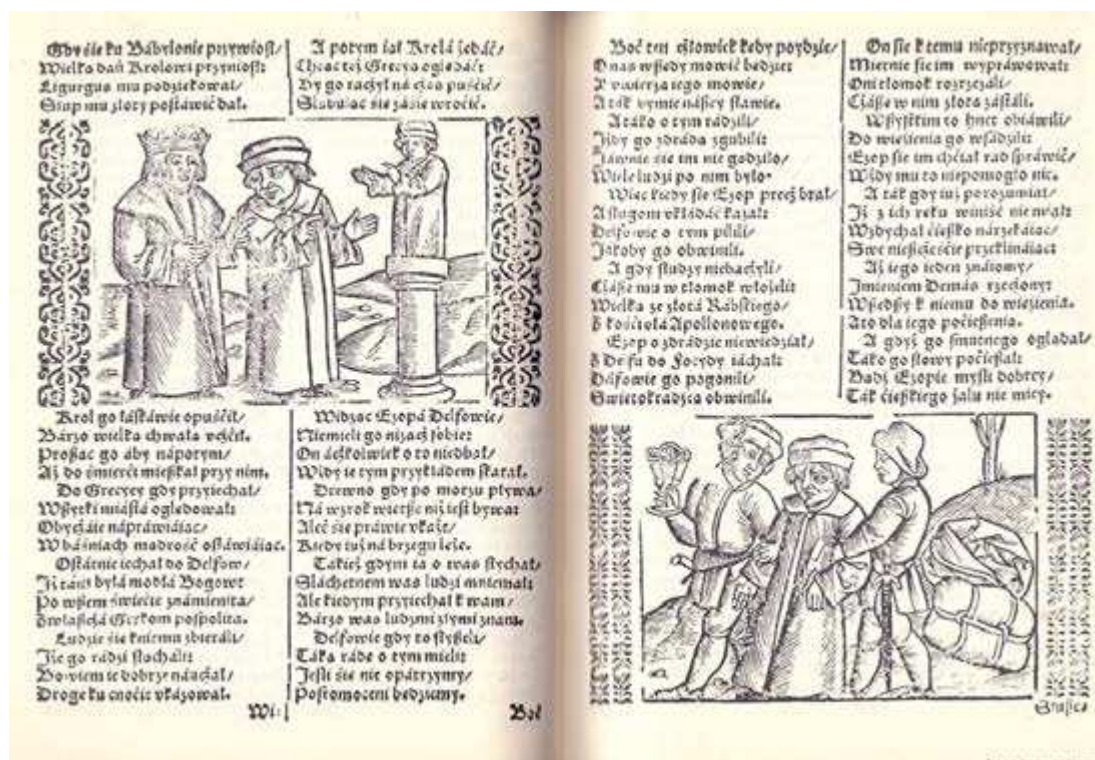
Ezop uważany jest za twórcę bajki zwierzęcej. Bohaterami bajek są zwierzęta charakterem przypominające ludzi. Symbolika ustalona przez Ezopa funkcjonuje dziś w obiegu powszechnym (wilk – okrucieństwo, lew – siła, lis – chytryść). Alegorie tych bajek bywają niekiedy wieloznaczne. Biernat okazał się mistrzem w oddaniu Ezopowych sensów bajek. Dla polskiej kultury ten przekład jest bezcenny, rozpoczyna dzieje bajki zwierzęcej, przynosi pierwszy zbiór przysłów polskich. Biernat w promythion (morale formowanym na początku bajki) przytacza odpowiednie przysłowie, niekiedy nie dowierzając czytelnikowi, morał powtórzy dosłownie w epimythion (na końcu bajki). Jest prawodawcą nowego sposobu wierszowania, to on zaproponuje wiersz izometryczny (równa liczba sylab), odejście od średniowiecznego rytmu zdaniowego (wers musiał być zdaniem lub sensowną częścią zdania, liczba sylab była bez znaczenia). Od przekładu bajek poezja polska używać będzie obu sposobów wierszowania aż do czasów Kochanowskiego.

Dawni badacze, a w naszych czasach marksiści, widzieli w Biernacie bliską sobie ideowo postać. Posądzano go o herezje, zastanawiano się nad tajemniczymi związkami z Czechami (husytyzm), cytowano listy, w których, przed

Lutrem, Biernat miał uznawać za jedyne źródło wiary Pismo św. Wydaje się, iż krytycyzm Biernatowy wobec współczesnego mu kleru nie musi mieć posmaku herezji. Jeśli prawdą jest, że był profesorem Akademii Krakowskiej – to musiał znać pisma Erazma z Rotterdamu, kult Erazma w Akademii szerzyli wędrowni humaniści od początku XVI wieku, Erazm dedykował swoje dzieła Zygmuntowi Staremu. Był młodszy od Biernata o dwa lata, urodził się w 1467 r., za najważniejszy dorobek życia uważał wydanie krytyczne Pisma św. oczyszczonego ze scholastycznych komentarzy. Za poprzednika i sojusznika uznał go Marcin Luter, ale Erazm do reformacji nie przyłączył się nigdy. Wydaje się, iż Biernat bliższy był postawie Erazma niż różnym ruchom reformacyjnym.

Jakub Lubelczyk pojawia się w II połowie XVI w., dużo wydaje, związany jest z małopolskim zbozem, sekretarzuje Mikołajowi Rejowi (to sekretarzowanie jest nieco tajemnicze, Lubelczyk podpisuje niekiedy swoje teksty pseudonimem Jakub Rey; wydaje się, iż wspiera Reja w działalności zborowej, nie sekretarzuje mu prywatnie). Znamy dobrze twórczość Lubelczyka, ale o nim samym nie wiemy nic. Nie znamy miejsca jego studiów, znajomość łaciny nie pochodzi na pewno z samouctwa. O sobie mówił z pokorą „służebniczek”, „żak” wobec Reja. Ta pokora





była chyba efektem różnic społecznych, bo talentem poetyckim są podobni. Lubelczyk ma dobry słuch muzyczny i... literacki, podobne Rejowi wyczulenie na dźwiękową jakość słowa. Udokumentował ją licznymi pieśniami rozpowszechnianymi luzem od r. 1550 i pierwszym poetyckim przekładem *Psalterz Dawida... na piosneczki po polsku... przełożony* (Kraków 1558). Lubelczykowi przypada więc pionierstwo w dostosowaniu psalmów do poetyk humanistycznych, zrobił to 21 lat przed Janem Kochanowskim (poeta czarnolaski zna ten przekład i niekiedy z niego korzysta!). Oczywiście pobudki tłumaczenia są inne, Kochanowski podjął się przekładu z pobudek emulacyjnych, pragnął się zmierzyć z psalmami z pobudek artystycznych, Lubelczyk ze względów religijnych. Efektem jest ponadwyznaniowość psalmów Kochanowskiego i czysto religijny efekt Lubelczyka. Są i różnice artystyczne, ale musimy przyznać, iż Lubelczyk jako pierwszy musiał się zmierzyć z trudnościami literackimi psalmów, znaleźć polskie odpowiedniki dla wielorakich postaw psalmisty wobec Boga: intelektualnych, moralnych, religijnych. Przekładowi Lubelczyka brak dyscypliny, dziś odbieramy ten przekład jako rozgadany, bo inny mamy niż w XVI w. stosunek do słowa. Lubelczyk dostarcza modlitewnik dla, jak sam to mówi, człowieka prostego, chce, by poprawnie zrozumiano tekst, poprzedza więc tłumaczenie każdego psalmu tzw. argumentem, rodzajem streszczenia czy wyłuszczenia sensu tekstu, kończy pouczeniem, jak w życiu codziennym zastosować naukę z psalmu płynącą. Ten natrętny dydaktyzm utrudnia nieco percepcję przekładu. *Psalmy* opatrzone są nutami. Melodie mają źródła różne,

są autorstwa samego Lubelczyka, parafrazami melodii z psalmów niemieckich, wreszcie kompozycjami Cypriana Bazylika (tłumacza i wydawcy dzieła Modrzewskiego *O poprawie Rzeczypospolitej...*). Zasadą dodatkową tego przekładu jest udoskonalenie Biernatowego izosylabizmu, zapewne pomocą był tu słuch muzyczny Lubelczyka). Nie jest wykluczone, iż pod wpływem swego sekretarza Mikołaj Rej przyjął nową zasadę wierszowania, bo *Krótką rozprawą...* pisana jest średniowiecznym wierszem zdaniowym, następne teksty pilnują już izosylabizmu. Warto może dodać, iż *Psalterz Dawidów* Jana Kochanowskiego przekształcił izosylabizm w sylabizm ścisły (równa ilość zgłosek i te same miejsca akcentu) – metodę polskiego wierszowania stosowaną, wprawdzie rzadko, do dziś.

Lubelczyk był też jednym z tłumaczy tzw. *Biblii brzeskiej*, zwanej też radziwiłłowską (1563), najdoskonalszego przekładu niekatolickiego w XVI w. Porównywano go z tłumaczeniem Jakuba Wujka, przyznając mu niekiedy większe wartości artystyczne. Losy obu przekładów w XVII w. były podobne, tłumaczenie Jakuba Wujka stało się tekstem kanonicznym dla katolików. *Biblia brzeska*, unowocześniona językowo (od miejsca wydania zwana gdańską), była od r. 1632 tekstem kanonicznym dla wyznań niekatolickich. Warto chyba podkreślić jedną jeszcze zasługę Lubelczyka, był programowo pisarzem używającym w twórczości języka polskiego (dwujęzyczność była zasadą niemiłą codzienną w w. XVII!).

Znaczenie puławskiej Świątyni Sybilli i Domu Gotyckiego w kulturze polskiej

ALINA
ALEKSANDROWICZ

PUŁAWY KSIĄŻĄT CZARTORYSKICH zajmują na mapie kulturowej i politycznej Polski miejsce doniosłe, nieznanne innym dworom arystokratycznym przełomu XVIII i XIX wieku. Pomiędzy wieloskładnikową działalność wybitnego rodu, wywodzącego swoje korzenie od Jagiellonów, utrwaloną mocno w dziele literatury, oświaty, sztuki, organizacji nauki, rozszerzania idei mecenasowskiej, aby skoncentrować się na odważnych inicjatywach podejmowanych w Puławach w okresie porozbiorowym. Miały one na celu ratowanie nie tylko relikwów przeszłości, ale przede wszystkim duchowej, woluntarnej egzystencji rodaków. Problem – jak być Polakiem w okresie niewoli urastał u schyłku XVIII wieku do rangi pytań nie tylko politycznych, ale i egzystencjalnych, podobnie jak rozważania na temat przyszłości rozbitego i depolonizowanego kraju.

Puławy po trzecim rozbiore Polski (1795) podjęły się utworzenia na terenie niedużego ośrodka symbolicznego miejsca polskości, promieniującego na cały kraj. Było to zadanie dalekosiężne, odważne, możliwe do wykonania tylko przy pełnym zaangażowaniu zarówno ówczesnej elity – polityków, pisarzy, artystów, działaczy oświatowych jak i szerokich rzesz społeczeństwa, przede wszystkim wojskowych, młodzieży studenckiej i szkolnej, ludzi połączonych z dworami Czartoryskich więzami sąsiedztwa, patronactwa, przyjaźni. W tym miejscu naświetlimy pełniej jedno przede wszystkim dokonanie Puław – założenie pierwszego polskiego muzeum pamiątek narodowych i utworzenie na obszarze Puław tzw. okręgu sybillińskiego. Nowatorski pomysł wzniesienia na terenie Puław pierwszego muzeum pamiątek narodowych podjęła księżna Izabela z Flemingów Czartoryska po drugim rozbiore Polski (1793), kiedy zarysowała się apokaliptyczna groza upadku potężnego niegdyś państwa, wstawionego w Europie uchwaleniem Konstytucji 3 maja, zarazem aktu suwerenności i niepodległości kraju. Przestroga Jana Jakuba Rousseau, aby Polacy, skoro nie mieli dość siły, by ratować państwo, nie dali się przynajmniej pochłonąć przez narody, które podzieliły się Rzeczypospolitą, miała dużą siłę oddziaływania, mimo niejednolitej



repcji, z jaką spotykała się twórczość filozofa genewskiego w kraju, także w Puławach. Poszukując wiarygodnych świadków epoki, mogących potwierdzić prawdę historyczną, sięgamy do manuskryptów przechowywanych w archiwach i bibliotekach. Odznaczają się one wartością autentyczności, przekazują dobrze stan napięć emocjonalnych oraz etos minionych lat. I. Czartoryska zanotowała we fragmentach pamiętnika:

Roku 1793 Polska zginęła. Kilka wieków gromadziło okoliczności, które powoli gotowały tę martwą i okropną epokę. Męstwo ni odwaga jej odwrócić nie mogły. Najmocniejsze usiłowania, by obronić ojczyznę, tego wykonać nie potrafiły... W tych to czasach, kiedy żal i rozpacz raniły serca nasze, każdy Polak pewnie poczuł, jak mocne są związki, które nas łączą z ojczyzną. Gdzie dzieci nasze wznoszą!



Gdzie przyjaźń, wdzięczność i zaufanie dla nas słodkich używają wyrazów. Ta ziemia, gdzie język, zwyczaje, miejsca, przeszłość, nadzieja, słowem wszystko nas przywiązuje: to ta ziemia krwią była zlane, ogniem i mieczem zburzona.

Wtedy mi pierwszy raz ta myśl przysła, żeby zbierać pamiątki polskie, które potomności powierzam... W tym zbiorze znajdują się ślady Bolesława Chrobrego, Kazimierza Wielkiego, Stefana Batorego, Jana Zamoyskiego, Żółkiewskiego, Czarnieckiego, Lwa Sapiehy, innych znakomitych i mężnych ludzi. Niech te wspomnienia osłodzą terażniejsze czasy, niech chwałę ich wiek wiekowi podaje...

Zaprojektowany przez głównego architekta Puław – Christiana Piotra Aignera (1756–1794) gmach rotundy muzeum, odwzorowany na Świątyni Sybilli w Tivoli, pomyślany został jako ośrodek ideowy ogrodu krajobrazowego, utrzymanego w stylu angielskim. Stanął na prawo od pałacu, na krawędzi wysokiej skarpy wznoszącej się nad niziną nadwiślańską i opadającej w kierunku Łachy. Rzeźba terenu sprawiała wrażenie, że świątynia zajmuje najważniejszą, wręcz centralną przestrzeń obszaru ogrodowego, że dominuje nie tylko nad parkiem, ale i nad całą okolicą. Według pamiętnikarzy, także cudzoziemców, budowla, ustylizowana na antyczną rotundę,

stała się „...głównym przedmiotem i punktem względnym całej ogrodowej przestrzeni: panuje bowiem na najwyższym miejscu, jest wielka, w jak najczyściej równo mierze zbudowaną”.

Już w momencie powstawania Świątyni elementy wystroju zewnętrznego i wewnętrznego nasycane były treściami symbolicznymi, odwołującymi się do wyobrażenia reinkarnacji i odrodzenia narodu. Gmach otoczony został pięknym, wysokim drzewostanem, postaciującym wedle poetyckich metafor ideogramy drzew wolności, drzew życia, drzew pamięci, istnienia – mimo dziejowych kataklizmów. Olbrzymie głązy narzutowe, znajdujące się i dzisiaj na zboczu terenu zwanego sybillińskim, kierowały imaginację do znaczeń wiązanych z opoką, niezniszczalnością, siłą tradycji. Można dodać, że motyw nacechowanych symbolicznie drzew i głązy pozornie niemego, ale ożywionego utajoną energią i tajemniczą mocą, podejmie, przy dużym współdziałaniu inspiracji puławskich, polska poezja porozbiorowa, szczególnie nurtu „sybillińskiego”.

W sensy symboliczne wyposażono również wyobrażenie drogi. Niezależnie od szerokiej lipowej alei, wiodącej od strony pałacu do frontonu muzeum, część dolna dwukondygnacyjnego gmachu dostępna była tylko od strony Łachy. Drogę prowadzącą od Wisły, a zatem przeznaczoną dla pielgrzymów do narodowych świętości, wzbogacano sygnałami zapowiadającymi sens patriotycznej inicjacji: „Już przy Wiśle widzisz świetną gustem budownictwa i rzeźby wiernie Tivolską naśladowującą świątynię, półkolistym podziomem wchodzisz pod górę i wszędzie spotkasz pomniki, w napisach, w posągach świeżo poległych w sprawie ojczystej, stawasz w przedsionku”. Niezachowane dziś pomniki i kamienie pamiątkowe utrwalające pamięć „świeżo poległych”, mające kojarzyć się z wymową stacji kalwaryjskich, przygotowywały klimat do zrozumienia wymowy pamiątek zgromadzonych w Świątyni Sybilli.

Semantykę zbiorów kolekcjonowanych przez księżnę Izabelę, ale także wzbogacanych darami społeczeństwa, napływającymi z różnych stron kraju, podporządkowano idei historyzmu, dominującej w ośrodkach Czartoryskich. Jego sens sygnalizował i uzmysławiał napis wyryty złotymi zgłoskami na frontonie muzeum: Przeszłość przyszłości. Aby podkreślić uniwersalizm tego przesłania i jego popularność na dworach księstwa, przywołać można znamienne motto, jakim opatrzył Adam Kazimierz Czartoryski swoją książkę *Mysli o pismach polskich*, z uwagami nad sposobem pisania w rozmaitych materiach: „Przeszłość powinna być przyszłości mistrzynią”. Koncepcja muzeum ukazującego wielkość i godność Rzeczypospolitej obojga narodów, terenu lekcji patriotyzmu i świadomości narodowej, korespondowała dobrze z zaleceniami Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół

Nauk, aby oddziaływaniem historyzmu objąć całą polską zbiorowość.

Świątynia Sybilli, zwana początkowo Świątynią Pamięci, powstawała powoli, a księżna Czartoryska uskarżała się na „pustki w worku”, uniemożliwiające sfinalizowanie dzieła w zaplanowanym terminie. Uroczystość zakończenia budowli w roku 1800 miała charakter jedynie symboliczny, zmierzający do połączenia aktu zwieńczenia gmachu z doniosłym momentem przeobrażenia wieku starego w nowy, a zatem rytuałem czasu magicznego, znamionującego pokonanie zła, początek oczekiwanego przez Polaków odrodzenia. Na ozdobnym kluczu do Świątyni z monogramem I. C. oraz napisem w języku greckim, brzmiącym w tłumaczeniu: „Otwieram Świątynię Pamięci” figuruje rok 1801. Istnieje również „szkatułka z najpiękniejszego hebanu, z szczerozłotym okowem, na której brylantami wysypany napis: – Pamiętki polskie zebrała Izabela Czartoryska w r. 1800”.

Właściwe otwarcie Świątyni Sybilli połączone z przeniesieniem do muzeum eksponatów odbyło się w roku 1806. O tym doniosłym wydarzeniu, przygotowującym starannie parę lat wcześniej, wspominał Julian Ursyn Niemcewicz w poemacie Puławy. Antycypując fakty, nakreślił wizję zaplanowanej w szczegółach uroczystości:

Wkrótce nadejdzie dzień ów uroczysty,
Gdzie te pamiętki, gdzie ów skarb ojczysty,
Złożone będą w tym przybytku świętym,
Szczęśliwy, kto dzień ów z sercem przejętym
Oglądać będzie...

Nadobny orszak dziewic, ubranych na biało, ozdobionych wiankami, po drodze usłanej kwiatami, procesjonalnie („szeregiem, wolno postępując nogą”), przeniesie zbiory polskie do świątyni. Uroczysty pochód, mający według Niemcewicza na celu, tak jak procesja, przebłaganie Boga i skłonienie ku pomocy ojczyźnie, wymagał zbiorowego śpiewu – pieśni błagalnej. Wmontowany w ramy poematu hymn do „Boga zastępów”, jeden z najlepszych liryków patriotycznych Niemcewicza, odwoływał się do miłosierdzia Najwyższego i porównywał jednocześnie „zbiór znakomity” do „arki pańskiej”, która ocalić miała „pamiętki dni naszych szczęśliwych”.

Rozmieszczenie zbiorów w Świątyni Sybilli było przemyślane w najdrobniejszych szczegółach i podporządkowane myśli, że nie może zginąć naród o heroicznej tradycji, mający wielu sławnych w Polsce i świecie monarchów, hetmanów, bohaterów, poetów, uczonych. Pisarze związani z dworami Czartoryskich wskazywali na dużą rangę wzorotwórczych przykładów historii, dydaktyczną i patriotyczną naukę płynącą ze znajomości pocztu



M. SOKOLNICKI.

wybitnych Polaków – Batorego, Chodkiewicza, Żółkiewskiego, Sobieskiego, Czarnieckiego.

Niechaj Polacy znosząc klęskę srogą,
Pomniąc czym byli – wiedzą czym być mogą.

Świątynia Sybilli dostarczyć miała Polakom, pogrążonym w ucisku zaborców, upokorzonym rozbiorami, rozbiem kraju, fortun, rodzin – nadziei na przyszłość i otuchy:

Tu przecież czym byliśmy, tu wspomnieć możemy,
Przyłbica Sobieskiego, albo Szczerbiec niemy
Zda się mówić: znękanym swych cierpień srogością
Polaku! podnieś duszę sławniejszą przeszłością.

Jan Paweł Woronicz w jednym z sugestywniejszych poematów porozbiorowych *Świątyni Sybilli* (1818) sformułował najpełniej poetycki i historiozoficzny program światopoglądu sybillińskiego, którym legitymować się będą Puławy. Wysoko oceniał edukacyjną i patriotyczną rolę „gmachu dziejomownego” – Świątyni Sybilli, którą przyrównywał do „wiecznego dla przechodnia liceum nauki” i zachęcał do poznawania tajemnic nagromadzonych tu „świętości”. Przekonywał również, że okres niewoli, jako czas próby i duchowego umocnienia, może zakończyć się dzięki opiece Transcendencji, jeśli przemieni się w okres zrozumienia i wyrzeczenia się błędów przeszłości, jeśli →

lekcje ilustrowane przykładami heroizmu z Sybilli uświadomią rodakom ich powinność:

Postawcie obok dziadów wnuki podrobniacie
Dźwignąli z ich pancerzmi kordy zardzewiałe?
Nie dość jest męstwo, rozum, cnotę trafnie słać:
Ci, nie mówiąc, tym trojgiem kraj umieli zbawić.
[...]
Dumni z swych obyczajów szanownej prostoty,
Nie pozłotą, lecz hartem przyświecali cnoty.

Niemniej i w tym poemacie przesłanką możliwości odrodzenia są wybrane fragmenty historii, przywoływane na wolnościowy zew cienie wielkich Polaków, owe „widziadła” i zjawy pojawiające się stale w poetyckiej oracula sybillina Woronicza. To w Świątyni Sybilli powstają „z martwych” wybitni przedstawiciele historii – ród Jagiellonów z Władysławem Jagiełłą i królową Jadwigą na czele, „ojciec ludów a królów mistrz i nestor” – Zygmunt Stary, jego syn Zygmunt August – twórca unii polsko-litewskiej („Niech Lublin będzie dumny, że w swych murach uwieczni ten związek zaślubny”), waleczny Stefan Batory, „bohaterów król okazały” – Jan III Sobieski itd.

W Sybilli obok pamiątek po dawnych monarchach i bohaterach gromadzono pamiątki po przywódcach współczesnych, przede wszystkim ks. Józefie Poniatowskim i Tadeuszu Kościuszcze.

Górna sala muzeum, rozjaśniona światłem płynącym przez oko sklepienia – kryształową taflą szklaną, skonstruowana została z półmrokiem sali dolnej, ustylizowanej na kryptę, miejsce przeznaczone w kościołach szczególnej rangi na grobowce ludzi zasłużonych dla kraju i wiary. Początkowo w centralnym miejscu krypty usytuowano „trumnę z głazu czarnego”, tj. grobowiec z czarnego marmuru z napisem: „Mężnym Polakom”. Po roku 1813 zastąpiono go obeliskiem z czarnego marmuru, poświęconym polskiemu bohaterowi „bez trwogi i skazy”, który stał się uosobieniem rycerskich i wolnościowych tradycji narodu – księciu Józefowi Poniatowskiemu. Na cokole obelisku, od frontu naprzeciwko okna, widniał napis „książęciu Józefowi Poniatowskiemu”, z prawej strony: „Dowodził Polakom. Zginął za ojczyznę”. Na trzeciej części obelisku: „Poległ 19 października 1813 roku”. Napis na części ostatniej wyjaśniał, że miejsce usytuowania monumentu nie było przypadkowe: „Hic meruit tumulum medio sibi tollere templo” („On zasłużył, by mu wznieść grobowiec w środku Świątyni”).

Zarówno właściciele Puław, jak i związani z dworem Czartoryskich poeci mieli olbrzymi wpływ na upowszechnienie w Polsce znajomości zasług polskiego rycerza – ks. Józefa Poniatowskiego i narodowego bohatera

spod Raławic – Tadeusza Kościuszki. To tu, na tym wyjątkowym skrawku ziemi wykuwały się style zachowań, znaki i symbole mające współuczestniczyć w życiu Polaków wielu pokoleń.

Na ścianach sali dolnej Świątyni umieszczono „paizę”, znaki herbowe wybitnych hetmanów i zasłużonych rodaków oraz tarcze poświęcone „wojskom” i „legiom”, szczególnie w Puławach wyróżnianym. Ze względu na nastrojowość sali i znajdujące się w niej eksponaty piętro to przyciągało szczególną uwagę poetów i artystów.

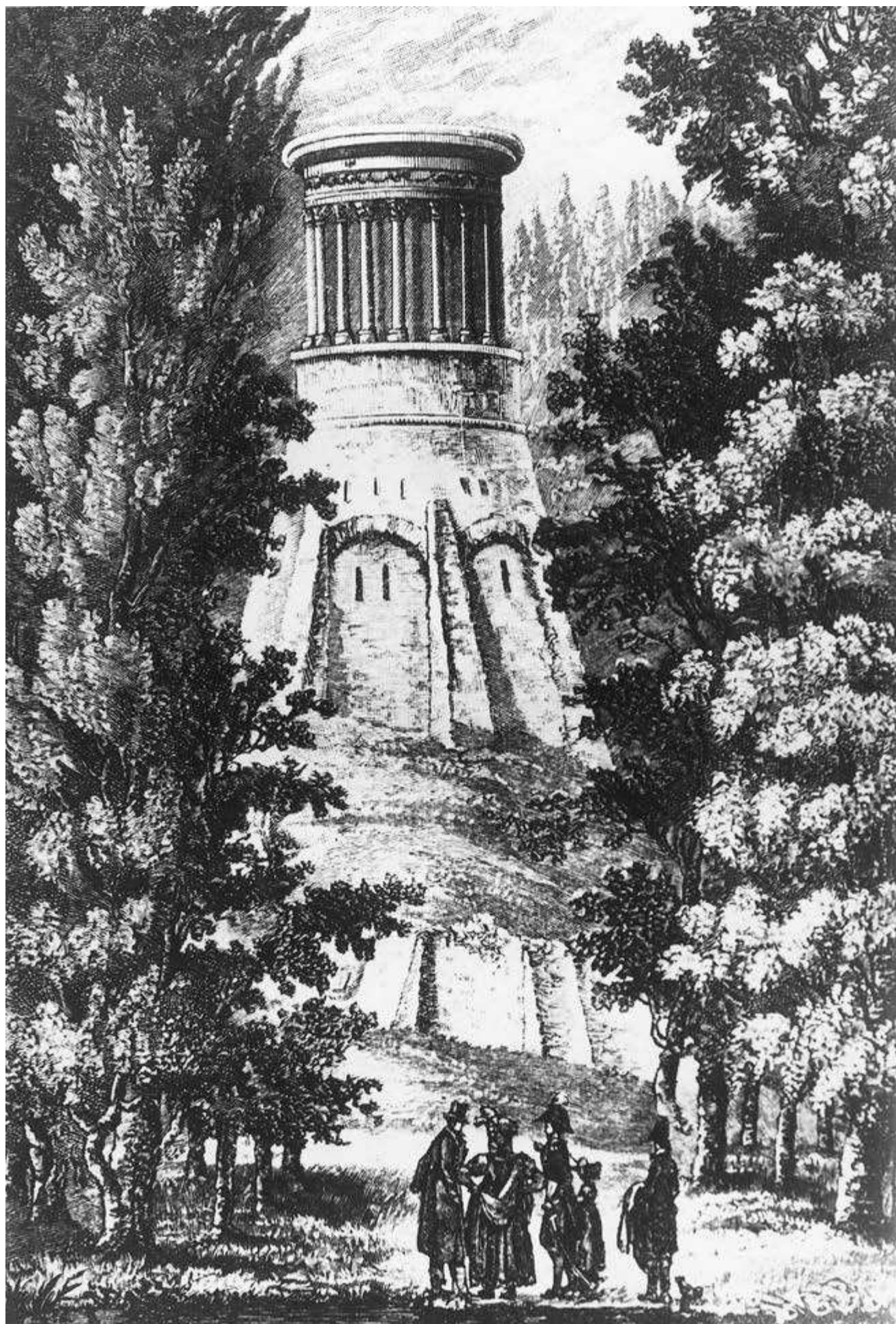
Można przypuszczać, że interpretacją dwóch kondygnacji Sybilli – mrocznej i jasnej, rządziły przesłanki myślenia palingenetycznego, odwołującego się do pozorności śmierci, która niesie ze sobą nadzieję na powstanie z prochów. Mistyczna interpretacja historii, coraz bardziej popularna na przełomie wieków, rozwinięta w *Świątyni Sybilli* przez Jana Pawła Woronicza i w Sybilli czyli panteonie puławskim przez Michała Sokolnickiego, wydaje się być zaczątkiem myśli genezyjskiej, egzegezą planu boskiego, w którym następują po sobie klęski i zwycięstwa, zgony i odrodzenia.

Rozjaśniona sala górna muzeum dostarczała zwiędzającym przesłanek do optymistycznego myślenia o przyszłości kraju. Zgromadzone tu eksponaty, niczem wieszczki sybillińskie, miały roztaczać wizje możliwego zwycięstwa, wybicia się na niepodległość. Dla ludzi przełomu wieków historia była już wiedzą, bardziej wtajemniczeniem, formowaniem przesłania dla potomnych.

Według Łukasza Gołębiowskiego, sporządzającego z polecenia Izabeli Czartoryskiej opisowy inwentarz pamiątek zgromadzonych w Świątyni Sybilli, największą częścią otoczono w sali górnej pamiątki militarne i oznaki dawnej potęgi państwa. Naprzeciwko wejścia znajdowała się framuga mieszcząca w Puławach eksponaty:

Wprost wniścia zasłona z pąsowego aksamitu z bogatą fręzlą, snąc kryje świętości świętościów. Jakoż w złocistym wieńcu zdobyte na nieprzyjaciołach sztandary, pasterskie biskupów kije, laski marszałkowskie, halabardy rycerskie widzę. Tu również spostrzeżę oko zawieszony w murze oręż Jagiełły, miecz Witolda, pałasz Stefana Batorego i twój bułat wraz z powagą obrońco Wiednia nieustraszony.

Główny panoplion królewski w apsydzie sali górnej i las zdobycznych chorągwi, szkatuła królewska, barwne trofea wojenne, królewskie relikwie i klejnoty wzięte z Wawelu, relikty rycerskie i hetmańskie skłaniały do porównań przeszłości z terażniejszością, budziły przekonanie o własnej potędze, poświadczoną bogatą tradycją:



Sztandary – jeden uwalniający Wiedeń od przemyocy Turka, drugi późniejszy, wslawiony pod Samosierrą i Wagram stoją za ołtarzem wśród stosu kul z Raclawic i Dubienki; obok laski marszałkowskie sejmu konstytucyjnego. W szafach otaczających ściany – broje, pancerze, hełmy, pałasze Jagiełłów, Batorych, Sobieskich, Zamoyskich, Żółkiewskich, Chodkiewiczów, Czarnieckich, Kościuszki, Poniatowskiego jak zaszczycają naród, tak zdobią skład jego przypominków.

Militaria zgromadzone w górnej sali muzeum dostarczyły Sokolnickiemu motywów do przywołania w poemacie o Sybilli (1814) takich pojęć jak „religia wolności”, czy „religia wojennego zapału” oraz obdarzenia dawnych wojowników magiczną mocą oddziaływania:

Już pokrzepiony duch Batorego
Wywołuje z grobowców wybranych bohaterów,
Których mścielskie moce są tam zgromadzone jako trofea.
Wszyscy ustawiają się na jego głos.
Widzę naszych przodków, posłańców niebieskich
Zstępujących do świątyni z delikatnych sklepień
Bez błyskawic, bez hałasu...

Miejszc szczególne znaczenia i – jak wierzone – oddziaływania było w muzeum dużo. Według informacji Franciszka Kozłowskiego, archiwisty puławskiego, przed niszą w sali górnej widniała przyciągająca niejedną uwagę „szkatuła królewska”, ozdobna, kuta złotem, wysadzana brylantami. To o odpowiedni postument pod wspaniałą szkatułę prosiła Czartoryska syna Adama Jerzego, przebywającego w Petersburgu, zabiegając jednocześnie o podstawkę do „relikwii” Żółkiewskiego. Dołączony do listu rysunek jej autorstwa, zawierający obliczenie łokci wysokości i szerokości postumentu wykazuje, jak wiele starań wkładała księżna w zdobycie nieodzownych komponentów stylizacji świątyni.

W podzielonej na kondygnacje szkatule mieściły się, obok pamiątek symbolicznych (kawałek szaty Zygmunta III, Marii Ludwiki, Władysława IV, Zygmunta Augusta itd.), także przedmioty unikatowe, drogocenne, przede wszystkim klejnoty i insygnia władzy królewskiej. Znajdował się wśród nich „łańcuch złoty, czarno szmelcowany w którym krzyż złoty i ośm szafirów Anny Jagiellonki, żony Stefana Batorego”, „łańcuch złoty złotego runa Władysława IV”, „krzyż złoty na którym kamieni czerwonych sześć, białych dwa, zielonych dwa, pereł pięć Zygmunta Augusta”, „łańcuch złoty Jadwigi Królowej”.

Szkatuła zabezpieczająca drogocenne skarby narodowe wskazywała zasobność, potęgę, bogactwo dostojnych monarchów, aczkolwiek – o czym pisał Zdzisław

Żygulski (jun.) niekiedy współczesne metryczki pamiątek różnią się od identyfikacji z początku XIX wieku. Wówczas – koncentrowano się na emocjonalnym oddziaływaniu pamiątki, aczkolwiek dbano i o naukową specyfikację obiektów.

Stylizacja sakralna, do której chętnie sięgano w muzeum, służyć miała udostojnieniu treści politycznych i kulturowych. Być może i z tego względu Świątynię Sybilli nazywano często – a cechowali w tych poeci – „kościółem ojczyzny” i „kościółem pamięci”. Na uwagę zasługuje zwyczaj sporządzania relikwiarzy zawierających okrucy pośmiertnych szczątków ludzi obdarzanych wyjątkowym szacunkiem i uznaniem. Izabela Czartoryska oraz Tadeusz Czacki dokładali starań, aby wzbogacić muzeum o pamiątki funeralne, niezwykle ważne dla ludzi z przełomu XVIII i XIX wieku. Symboliczne szczątki bohaterów i ludzi wybitnych, czczonych w Sybilli, etykietowano najczęściej określeniem „relikwie”. Znalazły się więc w muzeum relikwie pierwszego władcy, który zapewnił Polsce potęgę – Bolesława Chrobrego („kości monarchy walecznego”), złożone w miniaturowym pomniczku z białego marmuru. Najwyższym kultem otoczono polskich hetmanów i bohaterów: Stanisława Żółkiewskiego, Jana Karola Chodkiewicza, Stefana Czarnieckiego, Lwa Sapiechę, Jana Zamoyskiego – ze współczesnych w szczególności sposób uczczono wybitnego patriotę Ignacego Potockiego:

Na pomniku zawieszono portret... w ramach wyłancanych; w spodzie złożona Gwiazda Orderu z napisem «Pro Fide, Rege et Lege» w futerale skórzanym, czerwonym. Lornetka w obsadzie rogowej i kalendarzyk z roku 1797, którego używał w niewoli.

Zgodnie z przekonaniem, że o wielkości narodu decydują obok wodzów i bohaterów wybitni ludzie pióra i nauki, uczczono w Świątyni Sybilli Mikołaja Kopernika i Jana Kochanowskiego. Miniaturowy „pomnik” z lawy dla Kopernika usytuowano na czarnej, dębowej podstawie z napisem sta sol.

W 1791 roku Tadeusz Czacki uzyskał z grobowca w kościele parafialnym w Zwoleniu rzekomą czaszkę Jana Kochanowskiego i ofiarował ją w 1796 roku Puławom, aby „...z innymi pamiątkami ojczyzny naszej i zasłużonych w kraju ludzi dla czci od obecnych i przyszłych pokoleń zostawała”. Relikwie Kochanowskiego umieszczono w miniaturowym sarkofagu, ustawionym w półkolistej niszy. Skrzynię z wiekiem, wyrzeźbioną z różnobarwnego marmuru, wspartą na czterech lwich łapach, wzniesiono na dębowym postumencie. Na nagrobku wyryto inskrypcję z Muzy:

I opatrzył to dawno syn pięknej Latony,
Że popiół kości moich nie będzie wzgardzony.

Wieszcz, który poświadczał, że nie może zginąć naród, kiedy istnieje i żyje rodowity język oraz literackie arcydzieła, podlegał kultowi szczególnego rodzaju. Relikwie poety czczono wotami. Najcenniejsze wotum złożyła Maria Wirtemberska. Zawiesiła na pomniczku Jana Kochanowskiego złoty łańcuszek z koralową lirą i czterema złotymi strunami. Przysztrajały ją cztery brylanty i u spodu złoty wąż.

Pierwsze polskie muzeum pamiątek narodowych – Świątynia Sybilli – odegrało doniosłą rolę w ukonstytuowaniu modelu kultury duchowej początku XIX wieku. Był to model etyki patriotycznej, oparty na przekonaniu, że najwyższym celem społeczeństwa jest przechowanie poczucia tożsamości narodowej i dążenie do scalenia rozszarpanego przez zaborców kraju. Świątynia Sybilli już od momentu otwarcia pełniła rolę muzeum dostępnego dla społeczeństwa z trzech zaborów. Nie miała charakteru zamkniętej galerii, czy rodowego panteonu. Czartoryscy eksponaty muzealne zgromadzone w Świątyni Sybilli traktowali jako depozyt narodowy i ułatwiali do nich dostęp przez opracowanie scenariusza zwiedzań, powołanie służby pomocniczej oraz kustosa zbiorów. Zachowane do dnia dzisiejszego „księgi wpisów” zdumiewają dużą liczbą zwiedzających, którzy udawali się do muzeum z pominięciem pałacu. Do Sybilli pielgrzymowały całe rodziny z różnych stron kraju, szczególnie dużo było wojskowych, duchowieństwa, nauczycieli, ale także pisarzy, artystów, młodzieży szkolnej i studenckiej. W księgach wpisów, niezależnie od autografów, odnajdujemy różnej wartości „skorowiersze”, mające dokumentować, w myśl popularnej w Puławach zasady literatyzacji życia, głębię przeżyć i patriotycznej podniety sybillińskiej. Uobecnia się w nich także nowa rola Świątyni jako terenu inicjacji wolnościowej, ewokowanej oglądającymi militariami:

W twoim przybytku Polak wzgardzony,
Co tyle wieków żył w chwale,
Widząc swych przodków orszak wstawiony
Bolesne ukoi żale!
Lub, gdy go zechce zgnać wróg srogi,
Jego ze szczętem byt zwali,
Bo twe Sybillo odwiedzi progi,
By się do walki zapalić.

W tym miejscu można przypomnieć, że już w roku 1809, w czasie postojów w Puławach głównej kwatery ks. Józefa Poniatowskiego, dokonywano w Świątyni Sybilli rodzaju patriotycznego zaprzysiężenia. Kiedy ks. Józef Poniatowski wydał rozkaz dzienny, aby oficerowie wybrali najwaleczniejszych żołnierzy i w nagrodę za ich zasługi pozwolili na wstęp do Świątyni Sybilli – „wielka liczba ich przystąpiła, bo niemal wszyscy”.

Dla upamiętnienia wojska polskiego w roku 1809 przygotowano pięknie oprawioną księgę wpisów, rodzaj sybillińskiego sztambucha. Zainicjowała ona dalsze księgi pamiątkowe, prowadzone do roku 1829. Funkcję dedykacji pełnił w tomie z roku 1809 utwór Izabeli Czartoryskiej *Do Wojska Polskiego*, przekazujący wyrazy nadziei na restytucję wolnego państwa:

[...]

Zebrałem przeszłość polską w przybytek pamięci,
Ażeby szczątki godne wiekopomnej chwały,
Późnym wiekom świadectwo o narodzie dały,
Aby wnuk, drogie przodków uwielbiając ślady
Znał swą krew i hardymi pogardzał sąsiady.

Natomiast wpisy żołnierzy zainicjował podporucznik Ksawery Wesołowski z 5. Pułku Strzelców Konnych, „który pierwszy był w Puławach”. Podpis wodza naczelnego ks. Józefa Poniatowskiego widniał wśród podpisów żołnierzy; księżę chciał być zawsze ze swoimi wiarusami. „Jest to jedyny w swoim rodzaju zbiór autografów, a zarazem najbardziej oczywisty dowód więzi ideowej pomiędzy Wojskiem Polskim a muzeum puławskim” stwierdził Zdzisław Żygulski.

Można przypuszczać, że żołnierskie zainteresowanie Świątynią Sybilli miało wpływ na rozszerzenie zakresu zbieractwa pamiątek narodowych. Pod przewodnictwem założycielki muzeum pamiątki do Sybilli wyszukiwali poeci i uczeni, przedstawiciele rodów arystokratycznych i członkowie najniższych warstw społeczeństwa. Utarł się zwyczaj, że eksponaty przekazywano ze stosownym wierszem, esejem mówiącym o okolicznościach odnalezienia lub nabycia pamiątki, ewentualnie ze świadectwem autentyczności. Idea ratowania relikwów polskości, niszczonej przez zaborcę, zelektryzowała cały kraj. Czartoryska odnotowała, że już w roku 1809 żołnierze, być może z inicjatywy ks. Józefa Poniatowskiego, składali w Puławach swoje trofea wojenne, aby wzbogacić powstającą kolekcję. Przykład Sebastiana Piaseckiego, który ofiarował muzeum ekwipaż pojmanego w niewolę w Zamościu komendanta austriackiego („czaprak, szarfę, krzyż Marii Teresy”) księżna skomentowała słowami „[...] przyjął do Sybilli ten dar, który dowodzi dzielność i odwagę prostego żołnierza polskiego...”. Nawet w *Trzy po trzy* – pamiętniku Aleksandra Fredry, podporucznika w roku 1809 w wojsku dowodzonym przez ks. J. Poniatowskiego, odnajdziemy informację:

Wziąłem własną ręką w kościele św. Pawła kawał belki ze stropu, który miał być z cedru z gór Libanu. W Wiedniu kazałem z niego wyrobić Zbawiciela na krzyżu i za powrotem do kraju posłałem do Świątyni Sybilli księżnie generałowej Czartoryskiej.

W dziejach Polski i w historii Puław rok 1809 znamionował wyjątkowy etos uniesienia patriotycznego i poczucia niecodziennego ładu wspólnotowego. Uświęcony był ze względu na pochód złotych orłów francuskich, zmierzających do oswobodzenia Galicji Zachodniej. Wierzano, że wraz z triumfem Napoleona rozpocznie się dla Polski epoka odrodzonego czasu własnej państwowości. Niestety, wiara ta poddana została niebawem okrutnej deziluzji.

Omawiając doniosłą rolę Świątyni Sybilli w kształtowaniu postaw patriotycznych i wolnościowych w Polsce, należy podkreślić, że w muzeum nie tylko głoszone apologię rodzimego oręża i zasłużonych mężów. Sybilla angażowała społeczeństwo w ideę zbieractwa pamiątek narodowych i upowszechniała zainteresowanie własną tradycją i wyznacznikami rodzimości. Spełniła ogromną rolę w rozszerzaniu wiedzy historycznej – tarczy obronnej przed wynarodowieniem. Z ideowymi tendencjami muzeum korespondowały i doskonale je uzupełniały rozszerzające się dążenia do popularyzowania wiedzy o rodzimej przeszłości, do udostępnienia jej wszystkim warstwom społecznym (J. U. Niemcewicz, *Śpiewy historyczne* – 1816, I. Czartoryska, *Pielgrzym w Dobromilu, czyli nauki wiejskie*, t. 1 – 1819, t. 2 – 1821). Inspiracyjna rola zgromadzonych pamiątek miała wpływ na krystalizowanie się ważnego w naszej kulturze tematu sybillińskiego i sybillińskiego aspektu interpretacji dziejów. Wiązał się on z heroizacją przeszłości, odejściem od pojmowania historii jako samozawinionego upadku, uwzględnieniem elementów proroczych, niekiedy providencjalistycznych w przewidywaniu przyszłości, emocjonalizacją przedstawień.

Znaczenie Świątyni Sybilli ujawniło się również w dziedzinie literackiej. Zbiornica polskich pamiątek stała się wybitnym ośrodkiem poezjotwórczym. Uwagę poetów przyciągały mity sybillińskie, patriotyczne zadania kolekcji, ideologia heroicznych przykładów, symbolicznie zwaloryzowany kontekst przestrzenny „gmachu dziejomownego”. Temat sybilliński stanowił bądź główny wątek rozważań, bądź też jeden z ważnych komponentów całościowego oglądu Puław. Wymienić tu należy czteropieśniowy poemat Jana Pawła Woronicza *Świątynia Sybilli* (1818), *Puławy* Juliana Ursyna Niemcewicza napisane w 1804 roku i prezentujące sybillińskie idee przez pryzmat symboliki dobowej; obraz polskiego muzeum zawarty w III pieśni *Ziemiaństwa* Kajetana Koźmiana czy w *Puławach* Augusta Kretowicza (1831).

Różne etapy powstawania muzeum dokumentowali poetycko Józef Lipiński, Aleksander Linowski, Ludwik Kropiński, Kajetan Koźmian, Franciszek Morawski i inni poeci kręgu puławskiego. Odrębny nurt poetycki

rozwinął się wokół pamiątek przesyłanych do Świątyni wraz z literacką dedykacją. Wiersze tego typu zatracaly cechy okolicznościowych rymowanek i mogły przestawać się w lirykę wyznaniową, historiozoficzną czy konsolacyjną. Tego rodzaju charakter uzyskały np. doskonałe utwory Ludwika Kropińskiego uwzględniające sytuację nabycia lub odnalezienia pamiątki i jej przewidywane miejsce w strukturze kolekcji.

Niektóre dokonania dedykowane Świątyni Sybilli pozostają do dnia dzisiejszego w rękopisie, np. poemat Michała Sokolnickiego napisany w języku francuskim pt. *La Sybille de Puławy ou le Pantheon Polonais*; inne są znane tylko we fragmentach. Wśród literackich wykładników sybillińskiego światopoglądu, dotąd niepublikowanych, jak wiele manuskryptów puławskich, wyróżnia się rodzaj zbioru żywotów zasłużonych dla kraju królów i hetmanów. W antologii, zgodnie z nową postawą wobec historii, nie czekano aż się temat „ucukruje” jak figa, lub uleży jak tytoń, co postulowali klasycy. Sięgano odważnie po tematy współczesne i sytuowano bohaterów przeszłości obok „sławnych mężów”, znanych żyjącemu pokoleniu (ks. Józef Poniatowski, Tadeusz Kościuszko, Stanisław Mokronowski). Uwzględniono również uczonych (Kopernik, Tadeusz Czacki) i poetów (Jan Kochanowski). Zbiór powstał z inicjatywy Izabeli Czartoryskiej i zawierał eseje oraz artykuły znanych pisarzy: M. Wirtemberskiej, A. J. Czartoryskiego, F. Morawskiego, K. Koźmiana, K. z Tańskich Hoffmanowej, A. E. Koźmiana itd. Zainicjowany przez Czartoryską zbiór, utrzymany w konwencji stylistycznej „serdecznej historii”, miał przypuszczalnie uzupełniać dokumentalne i scjencyczne formy sybillińskiego przesłania: rejestry, opisy, inwentarze. Antologię pt. *Opis niektórych pamiątek zachowanych w Świątyni Sybilli w Puławach*, poświęcony omówieniu różnych modeli heroizmu, przygotowaliśmy do publikacji i szerszego omówienia w odrębnej pozycji edytorskiej.

Ponieważ inspiracja historyczna i literacka zbiorów zgromadzonych w Świątyni Sybilli ucieleśniała się w różnych gatunkach i formach przekazu oraz angażowała wielu pisarzy i publicystów, możemy zaobserwować interesujące zróżnicowanie postaw, ocen, prognoz przyszłości, także nastrojów i uczuć ewokowanych kolekcją. Świątynia Sybilli, pobudzając imaginację poetycką, a zarazem respektując konkrety historyczne, legitymowała różne wizje literackie jak i zróżnicowane formy paraliterackie. Wywarła zauważalny wpływ na odchodzenie od stereotypowego widzenia przeszłości. Przyczyniła się do aktywnego rozwoju literatury patriotycznej, jej wzbogacenia i zróżnicowania, dyskursu na temat roli minionego. Pobudziła zainteresowanie historią, monumentami, pamiątkami, kształtowała postawę szacunku wobec tradycji i polskich

zabytków. Była ośrodkiem irradacji patriotycznej, promieniującej na cały kraj.

Piszząc o doniosłym dla polskiego modelu kultury historycznej, literackiej i patriotycznej oddziaływaniu Świątyni Sybilli, nie można pominąć zakresu promieniowania drugiego muzeum puławskiego nazwanego Domem Gotyckim (1809/11) przeznaczonego na pamiątki świata, aczkolwiek i na tej nasyconej wartościami uniwersalnymi przestrzeni umieszczono wiele akcentów polskości. Szerokie horyzonty światopoglądowe cechujące ośrodki Czartoryskich przekładały się na rozwijanie idei europeizacji kraju, na ogląd i ocenę kultury i politycznych aspiracji Polski w kontekście działań światowych. Bardzo znamienne jest umieszczenie na niedużym stosunkowo terenie ogrodu puławskiego, zwanego chętnie przez poetów ogrodem wolności, dwóch gmachów muzealnych, przeznaczonych zarówno na pamiątki narodowe, jak i światowe, realizujące ponadto zasadę polistylowości, właściwą parkom nowego typu. Zbudowana na planie koła Świątynia Sybilli nawiązywała do wzorów antycznych; muzeum pamiątek świata – do gotyku, wzorca architektonicznego znanego z podróży po Anglii, Szkocji, Niemczech i szczególnie preferowanego przez preromantyków. Aby zobrazować klarowniej tożsamość narodu na tle historii własnej i dziejów powszechnych, ukazano w Domu Gotyckim jak miejsca rodzimej pamięci współoświetlają się i współdopełniają z „miejscami pamięci” historycznej wspólnoty. Dzieje bohaterskiego Cyda – Don Rodriga Diaza de Bibara (1040–1099), legendarnego Wilhelma Tella, Lamoralą Egmonta (1522–1568) – przywódcy szlacheckiej opozycji w Niderlandach, Tippto Sahiby, broniącego niepodległości Indii, Joanny D’Arc, zwanej Dziewicą Orleańską, opanowanej myślą uwolnienia Francji od Anglików, wreszcie Jerzego Waszyngtona (1732–1799), wodza naczelnego w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych, współtwórcę i pierwszego prezydenta tego państwa, a także wielu innych, tu nie wymienionych, miały uzmysłowić jedność i interferencję dążeń wolnościowych i niepodległościowych.

Z Domu Gotyckiego promieniowało przekonanie, że niewola jednego narodu jest złem zagrażającym najwyższym wartościom całej ludzkości. I odwrotnie – wolność, dobrobyt, dokonania naukowe czy artystyczne jednego kraju składają się na dorobek całej wspólnoty.

Doniosłe były w tym muzeum i inne wartości. Zachwycała niezniszczalna ranga wielkich uczuć, miłości, przyjaźni, poświęcenia, zaciekał koloryt lokalny różnych czasów i przestrzeni, egzotyczne podróże, zwyczajne „dzikich”, fascynowały trwałe osiągnięcia człowieka w literaturze, sztuce, rzemiośle. „Gotyckość” nabierała

niejednokrotnie znamion swojskich lub ewoluowała w kierunku kultu rycerskich ideałów i zwyczajów.

Dom Gotycki, mimo dużej ilości zgromadzonych tu drobiazgów emocjonalnych, nie przekształcił się w muzeum pamiątek symbolicznych. Umieszczone były tu także najcenniejsze w dziejach Polski eksponaty z kolekcji Czartoryskich: *Dama z gronostajem* Leonarda da Vinci, *Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem* Rembrandta i *Portret młodzieńca* Rafaela. Dziewięć zewnętrznych ścian Domu Gotyckiego inkrustowanych historycznymi lapidariami, relikdami architektonicznymi lub szczątkami eksponatów przywozić miały na myśl wybrane fragmenty dziejów polskich i obcych. Frontowa ściana, w której znajdowały się drzwi wejściowe do budynku uzyskała nazwę Kazimierza Wielkiego, kolejna, obrócona ku bramie do Głębokiej Drogi poświęcona była Janowi Długoszowi, ściana wieżyczki nosiła imię Stanisława Żółkiewskiego. W ścianę zwaną Litewską wmontowano detale architektoniczne z kościołów i zabytków wileńskich. Istniała ściana poświęcona bohaterowi spod Racławic – Tadeuszowi Kościuszce, ale także ściana Boguty i Sędziwoja, Cyda i Chimeny, Rzymska oraz ściana obrócona ku Sybilli zwana Gostynińską.

Oryginalny i pełen ekspresji pomysł inkrustowania murów ułamkami z różnych budowli historycznych znalazł swoje odbicie w literaturze, chętnie inspirującej się wieloma asocjacjami, jakich dostarczały niecodzienne lapidaria ożywiające przeszłość. Można również uznać Dom Gotycki, ze względu na zgromadzone tu zbiory unikatowych książek polskich i obcych, oraz galerię portretów wybitnych pisarzy za pierwsze polskie muzeum literatury. Literatura była w Domu ofertą aksjologiczną podsuwaną enklawom ludzi wrażliwych, także instrumentem dydaktyki społecznej, sposobem na poznawanie tradycji i ważnym ogniwem w procesie kształtowania poczucia wspólnoty różnych kontynentów. Również w tym zakresie inspiracja puławskich muzeów okazała się doniosła i nowatorska dla naszej kultury. Dom Gotycki, podobnie jak Świątynia Sybilli uzyskał swój odrębny wątek literacki, manifestujący się przede wszystkim kultem rycerstwa średniowiecznego i współczesnych bojowników, spadkobierców dawnej idei wierności, cnoty, galanterii. ■

ALINA
ALEKSANDROWICZ

Polski bestseller powieściowy z roku 1816

(„*Malwina czyli domyślność serca*”

Marii z ks. Czartoryskich Wirtemberskiej)

KIEDY W ROKU 1816, A ZATEM 200 LAT TEMU, po długich oczekiwaniach i pełnym fascynacji odczytywaniu rozdziałów powieści w trakcie „błękitnych sobót” warszawskiego salonu Marii z ks. Czartoryskich Wirtemberskiej, ukazała się *Malwina, czyli domyślność serca*, stała się szybko prawdziwą sensacją nie tylko stolicy, ale i kraju rozdzielonego na trzy zakony. Dyskutowano o niej w salonach i na rodzinnych reunionach, polecano sobie nawzajem, chętnie kupowano i pożyczano, często recenzowano, aby chwalić walory zręcznie rozwijanej fabuły, nową aksjologię, oceniać zakres pożyczek literackich, nowatorstwo problematyki ujętej w formułę „domyślnego serca”, próbę dostosowania komunikacji werbalnej do funkcji *linguae emotionalis*, przypisywanej dotąd językowi francuskiemu. Używając określeń współczesnych, można by stwierdzić, że mieliśmy do czynienia z bestsellerem roku 1816, więcej – pierwszej połowy XIX wieku.

Kim była autorka *Malwiny*, powieści uznanej za polski fenomen kulturowy, twórczyni literackiego salonu w Warszawie, ale także „podróż serca w poszukiwaniu natury i tych uczuć, które z niej się biorą”, powieści wiejskich przeznaczonych dla ludu, czułych komedii, opowiadań gotyckich, zbioru „synonimów”, uczestniczka zespołu przygotowującego eseje do almanachu pamiątek zgromadzonych w puławskiej Świątyni Sybilli?

Wielość ról wypełnionych przez Wirtemberską, przewodnictwo lub uczestnictwo w pracach z zakresu kultury, literatury, oświaty, dobroczynności generowane było faktem, że niezależnie od osobistych talentów reprezentowała ona ród znajdujący się na pierwszym planie życia politycznego i umysłowego epoki. Warszawa od czasu Sejmu Czteroletniego awansowała do rangi centralnego ośrodka życia politycznego i kulturalnego i – mimo rozbiorów – utrzymywała się w tej roli przez epokę następną. Natomiast Puławy Czartoryskich, mianowane pochlebnie „polskimi Atenami”¹, „siedzibą muz”, „rodzimum Parna-

sem”, drugim po Warszawie ogniskiem literatury i oświaty w Polsce”², uznane zostały w czasach stanisławowskich za ośrodek dyspozycji kulturowej i oświatowej („godne monarchów Puławy”)³, natomiast w Polsce porozbiorowej – za ważne centrum patriotyzmu i narodowych inspiracji. Kajetan Koźmian w charakterystyce Puław wymienił w jednym szeregu znaczeniowym: „miłość ojczyzny, cnót, oświecenia, nauk, ogłady, zalet, wdzięków narodowych” i twierdził, że „Puław do żadnego z najmożniejszych domów w Polsce równać nie można”. „Każdy by stracił na porównaniu”⁴. Stanisław Łempicki pisząc o idei opiekuństwa kulturowego w kraju oceniał „czasy stanisławowskie i puławskie” jako najświetniejsze rozdziały naszego mecenatu po epoce Zygmunto-Batorowej⁵. Choć wskazywał pewne cechy wielkopańskiego stylu życia, formułował aprobatywną ocenę działalności Puław, zarysowując się wyraziście na tle stylu funkcjonowania innych dworów arystokratycznych:

Puławy [...] stały się na przełomie wolnego i niewolnego bytu Polski, przy końcu XVIII i XIX wieku nie tylko mecenasowskim dworem Czartoryskich, ale zarazem najżywiej bijącym

² P. Chmielowski (*Autorki polskie wieku XIX. Studium literacko-obyczajowe*, Warszawa 1885, s. 11) sugerował:

„Puławy od czasu jak Czartoryscy rozeszli się ze Stanisławem Poniatowskim, z powodów politycznych, stały się drugim po Warszawie ogniskiem literatury i oświaty w Polsce. Pałac książęcy był jakby drugim dworem, prowadzącym politykę na własną rękę, wspierającym teatr, literaturę i sztukę”.

³ I. Krasicki (*Podróż z Warszawy. Do księcia Stanisława Poniatowskiego* [w:] Ibidem, *Dzieła wybrane*, t. I, oprac. Z. Goliński, Warszawa 1989, s. 384. Krasicki wspomina nestora rodu – Augusta Czartoryskiego”

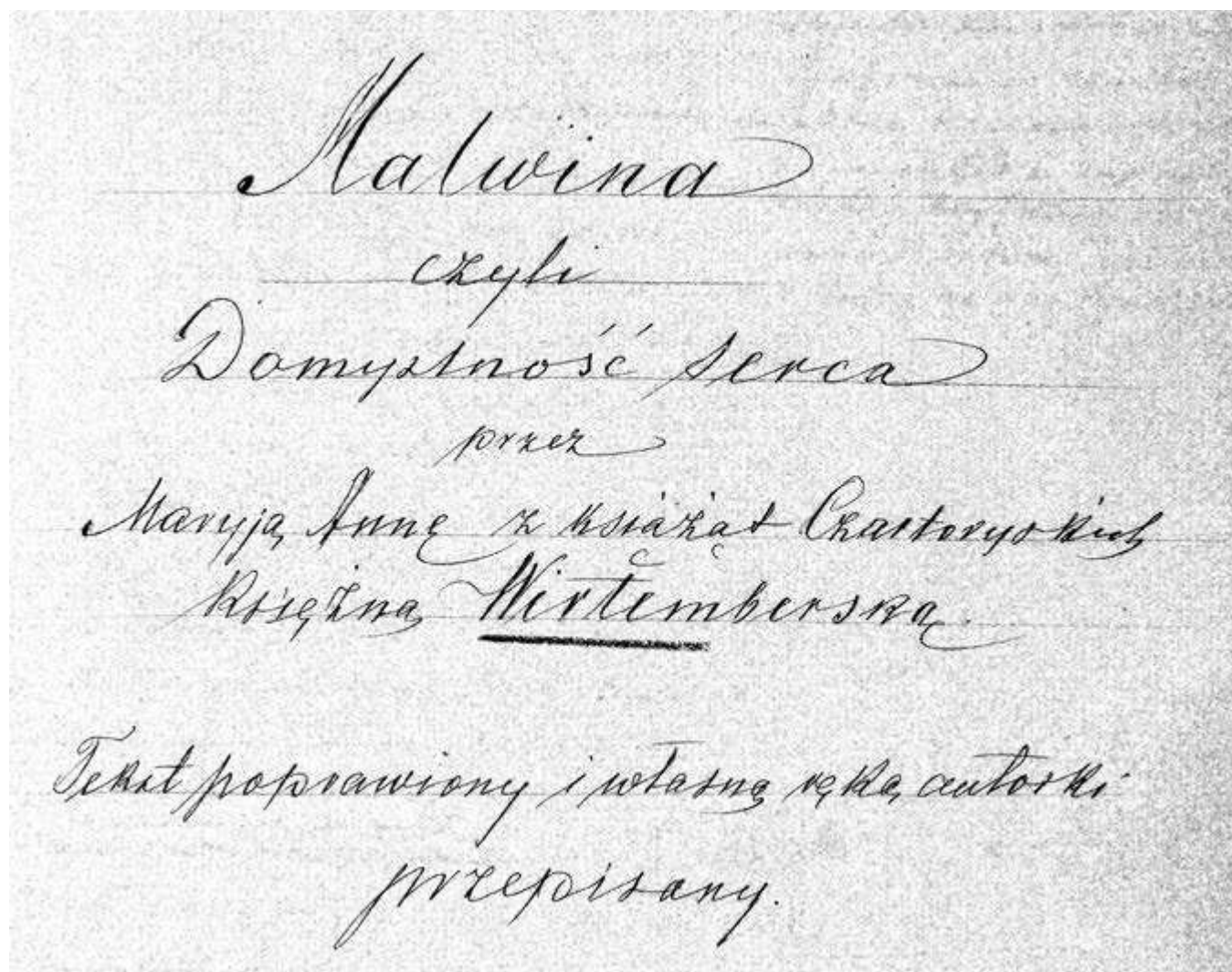
Godne monarchów Puławy,
Gdzie syt wieku, szczęścia, sławy
Młodzież ku enocie sposobił
Starzec, co by kraj przyozdobił.

⁴ K. Koźmian, *Pamiętniki*, t. I, przedmowa A. Kopacz, wstęp i komentarze J. Willaume, wstęp edytorski, ustalenie tekstu M. Kaczmarek i K. Pecold, Wrocław. Warszawa. Kraków. Gdańsk 1972, s. 227.

⁵ S. Łempicki, *Mecenat kulturalny w Polsce (Problemy i postulaty). Osobne odbicie ze studiów staropolskich. Księgi ku czci Aleksandra Brücknera*, Kraków 1928, s. 25.

¹ A. Byszewski napisał:

„Współcześni słusznie nazywali Puławy polskimi Atenami, ponieważ dwór puławski stał się środowiskiem życia cywilizacyjnego i umysłowego w Polsce porozbiorowej”. Por: Ibidem, *Puławy*, „Ziemia Lubelska”, R. 6, 1911, nr 226, s. 2.



źródłem polskiej pracy kulturalnej i gorącego patriotyzmu.⁶

Czartoryscy byli na przełomie XVIII i XIX wieku aktywnymi uczestnikami kształtującego się w Polsce nowego modelu europejskiej kultury oświeceniowej, a niejednokrotnie jej koryfeuszami, utrzymywali „handel umysłowy”, a także kulturowy z zagranicą, poświadczany tłumaczeniami, zasobem bibliotecznym, otwarciem dla obcokrajowców, podróżami, szerokimi kontaktami osobistymi i korespondencyjnymi itd.

Maria Wirtemberska (1768–1854) córka Izabeli z Flemingów Czartoryskiej – twórczyni puławskich ogrodów, założycielki pierwszego w Polsce muzeum pamiątek narodowych – Świątyni Sybilli (1800/1806), zbiornicy pamiątek świata – Domu Gotyckiego (1809/1811), ukochana córka Adama Kazimierza Czartoryskiego – komendanta Szkoły Rycerskiej, opiekuna poetów i uczonych, jednego z głównych luminarych wieku Oświecenia – okazała się kontynuatorką literackiej i kulturowej linii zainteresowań i dokonań roku oraz wniosła do nich własne, niepodważalne wartości.

Złączona emocjonalnymi więzami z rodzeństwem, przede wszystkim z Adamem Jerzym, autorem *Barda polskiego*, początkowo przyjacielem Aleksandra I, skazanym następnie na karę śmierci i konfiskatę dóbr przez cara Mikołaja I za kierowniczy udział w powstaniu listopadowym; z siostrą Zofią Zamoyską, założycielką Towarzystwa Dobroczynności w Warszawie, matką dziesięciorga dzieci; cicha patronka najmłodszego brata Konstantego, usiłująca zniwelować skutki popełnionego przez niego mezaliansu – małżeństwa w tajemnicy przed rodziną z Marianną Dzierżanowską – stała się postacią znaną w epoce, obecną w świadomości Polaków wielu pokoleń. Była to obecność na różnych poziomach pamięci: kulturowej, literackiej, patriotycznej.

Dwory Czartoryskich, wypełniające na przełomie XVIII i XIX wieku rolę ośrodków o dużej sile oddziaływania i dużym potencjale innowacyjności, zyskały w Wirtemberskiej utalentowaną pisarkę, organizatorkę życia towarzyskiego i kulturalnego, inspiratorkę poetów. Księżna Maria uobecniała się twórczo w Puławach, Sieniawie, Warszawie, Pilicy, Wysocku, Paryżu, wypełniając

⁶ S. Łempicki, *Opiekunowie kultury w Polsce*, Lwów 1938, s. 53.

role dyktowane dynamiką historii i wielozakresowym charakterem rezydencji Czartoryskich.

Autorka *Malwiny* żyła w epoce zmuszającej do odwagi i determinacji w decyzjach, wyborach, rozstaniach. Jej biografia rozwijała się w stałym rozwidleniu iluzji i deziluzji politycznej, w stałym oczekiwaniu – nigdy za życia niespełnionym – odzyskania przez Polskę niepodległości, wyniesienia na najwyższe stanowiska ukochanego brata – Adama Jerzego, sprowadzenia na drogę cnoty utracjusza, hulaki i zdrajcy – syna Adama, wychowanego poza rodziną. Księżna śledziła przebieg wojny polsko-rosyjskiej w roku 1792, przeżyła tragedię rozbiorów Polski, rozwód z mężem – grubianinem, do tego wiarołomcą narodowym, wybuch i upadek insurekcji kościuszkowskiej, z którą Czartoryscy wiązali duże nadzieje, iluzje napoleońskie roku 1809 i 1812, powstanie listopadowe i jego upadek, utratę fortuny, wreszcie konieczność porzucenia kraju i życia na obczyźnie. Nieszczęśliwych wydarzeń krajowych i osobistych starczyłoby na kilka biografii.

Nad *Malwiną*, czyli *domyślnością serca* autorka rozpoczęła pracę już w roku 1809, w okresie triumfów rycerskich księcia Józefa Poniatowskiego. W roku 1812 po latach przerwy zakończyła pracę nad powieścią, a w roku 1813, zgodnie z obyczajem organizowania dysput literackich w salonach, poddała swoje dziełko pod dyskusję zaprzyjaźnionego grona bywalców „błękitnych sobót”. Utalentowany recytator Tadeusz Matuszewicz w przeciągu kilku długich posiedzeń zapoznawał społeczność salonową z dziełem księżnej. Nie odnajdujemy wprawdzie potwierdzenia informacji przedrukowanych z fantazją przez Stanisława Wasylewskiego, jakoby „u pani ministrowej Mostowskiej sześć pań płaczących zemdłało w czasie głośnego czytania *Malwiny* ks. Wirtemberskiej”⁷, niemniej zebrani słuchacze ocenili powieść entuzjastycznie i prosili o jak najszybszą edycję interesującego romansu. Jako rewelację uznano fakt, że autorka nie tylko dostarczyła czytelnikom atrakcyjną powieść o dziejach miłości Malwiny i Ludomira i przeszkodach stojących na drodze połączenia się przeznaczonych sobie pary, ale że napisała ją w języku polskim. Coraz wyraźniej ujawniało się dążenie zaborców do ujarzmania polszczyzny, do rugowania własnego języka z życia oficjalnego i półoficjalnego, zastępowanie go słownikiem obcych mocarstw. Po utracie niepodległości program utrzymania i rozwoju języka ojczystego – doniosłej więzi tożsamościowej, postawiło przed sobą jako jedno z pierwszoplanowych zadań Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie (1800–1832):

Zagrzewać ze wszech miar należy prześwieatne Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk – nawoływał Adam Kazimierz Czartoryski – do wzięcia mowy ojczystej

⁷ S. Wasylewski, *O miłości romantycznej*, Poznań 1928, s. 19.

w szczególną swą opiekę; co najskuteczniej dokaże przez pisma, i gdy zachęcać będzie i podawać materie do wydawania książek...⁸

Malwina Wirtemberskiej stanowiła konkretną odpowiedź na apel Towarzystwa Przyjaciół Nauk, aby w pracy nad upowszechnianiem i „cieniowaniem” języka polskiego wzięły udział wykształcone i utalentowane kobiety. Troska o przyswojenie polskiemu piśmiennictwu gatunków poszukiwanych i czytanych chętnie przez kobiety, a zatem te czytelniczki, które podjąć mają obowiązki nie tylko matek, wychowawczyń dzieci, ale także strażniczek tradycji narodowej leżała u podstaw programu literackiego Wirtemberskiej, sprecyzowanego w liście dedykującym, skierowanym do brata – Adama Jerzego i poprzedzającym *Malwinę*:

Nie ma ona innej zalety nad tę, że w ojczystym języku pierwszym jest w tym rodzaju romansem [...] będąc pierwszym, wzbudzi może ciekawość; przebiegającym te kart kilka przypomni, że nie ma tego rodzaju pisma, do którego język polski nie byłby zdolnym; wtedy to, co moja chęć dobra nastęrczyć chciała, wyższa czyja umiejętność dokona.⁹

W świetle przekonania, że polskość nie może istnieć bez pracy nad zachowaniem i rozwojem rodzimej mowy, szczególnej rangi nabierają starania o popularyzowanie czytelnictwa w języku polskim. Miarę w pełni świadomego gestu patriotycznego zyskuje fakt, że autorka wręczała *Malwinę* warszawskim elegantkom, często nieznaną historii i literatury własnego narodu, że celowo wprawiała je w zakłopotanie, powodując, jak informowała ojca, iż niektóre uczą się, zawstydzone nową powieścią, własnego języka, jeszcze inne zamierzają pisać po polsku¹⁰. Można powiedzieć, że dystrybucja *Malwiny* przeistoczyła się w niezamierzony sposób w manifestację polskości!

Książka spotkała się z dużym zainteresowaniem pisarzy i krytyków literackich. Towarzyszyła jej prawdziwa wrzawa w prasie, w salonach i nawet w kręgach uczonych. Tuż po ogłoszeniu powieści zainteresował się nią wybitny organizator polskiego życia naukowego w Oświeceni, matematyk, astronom i filozof, a zarazem znany uczestnik polemik literackich – Jan Śniadecki. Uczony, aczkolwiek nie krył swoich upodobań klasycystycznych, ocenił *Malwinę* bardzo przychylnie i uznał, że jest to wprawdzie

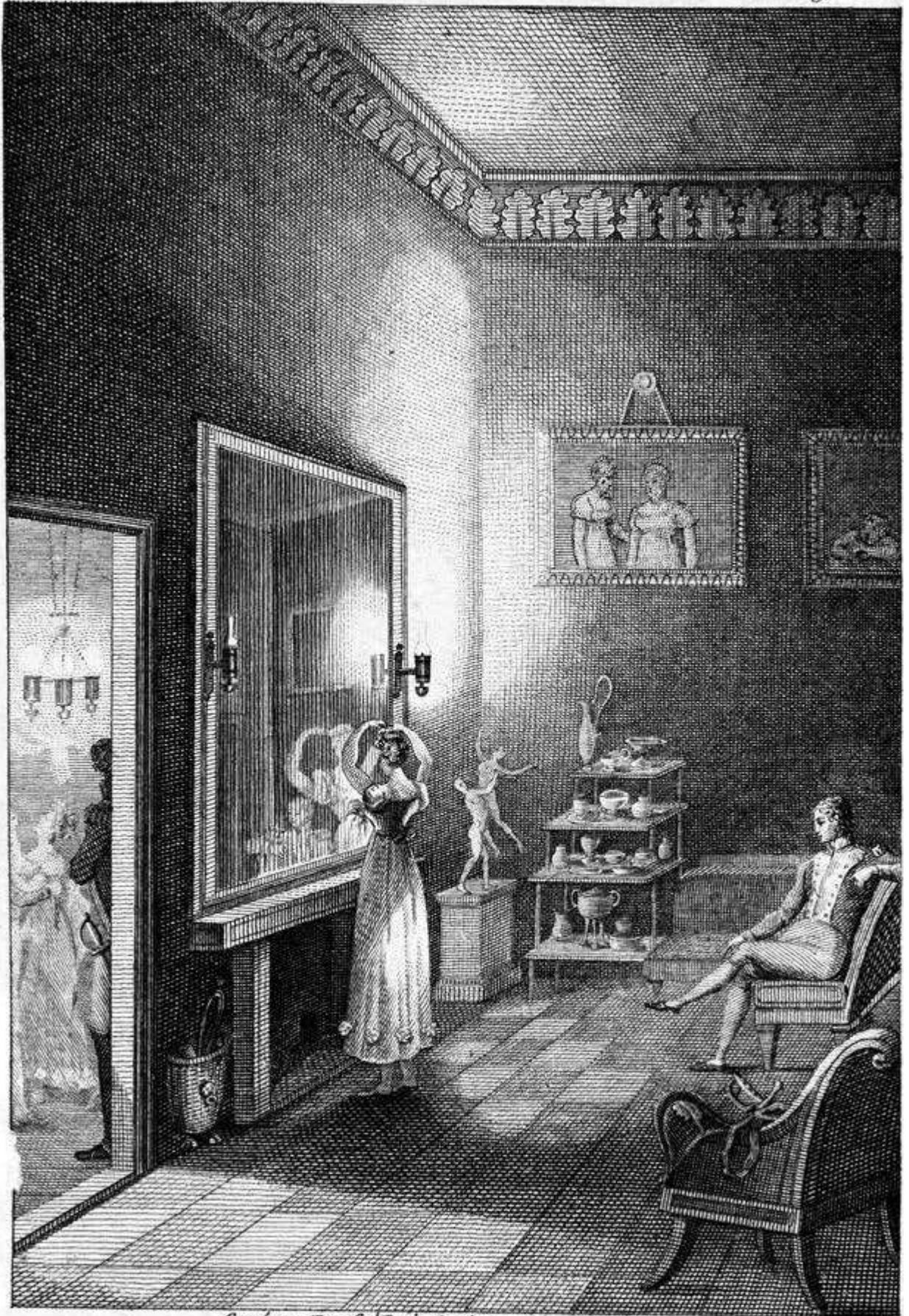
⁸ A. K. Czartoryski, *Myśli o piśmie polskim, z uwagami nad sposobem pisania w rozmaitych materiałach*, Kraków 1860, s. 85. (Rozprawa powstała w 1801 roku).

⁹ M. Wirtemberska, *Malwina, czyli domyślność serca*

¹⁰ Rkps Era XVII/1114, *List M. Wirtemberskiej do ojca* – A. K. Czartoryskiego z 23 I (1816) [w:] Korespondencja.

Tom 1 .

Page 148



Gravé par Levef, à Paris, Quai des Augustins, N° 25..

..... *Posita do swierciadla,*

romans, ale nie „truje spokojności życia” i nie zamierza jak inne niebezpieczne powieści spod znaku serca zajmować się „poduszczeniem namiętności”. Obce są tej powieści, wywodził, „okropne skutki lekcji romansowych” to jest „choroby nerwowe”, „wygórowana w imaginacji czułość”, „niestateczność i dziwactwo humoru”, wreszcie opaczne poszukiwanie, jako rezultat pochopnej lektury, „bohaterów romansowych w świecie rzetelnym”. Polecał więc powieść swojej bratanicy Zofii Śniadeckiej, córce Jędrzeja, brata autora, biologa, lekarza i chemika. Pisał:

„Nie ma w sobie tych wad i nieprzyzwoitości *Malwina*, powieść całkiem narodowa o familiach, miejscach, zdarzeniach, towarzystwach wyższego rzędu i o obyczajach polskich. Lubo opisuje sprawę miłosną, uwikłaną w przypadek nadzwyczajny ale trafić się mogący, nic atoli w tym opisie nie znajdziesz, co by było przesadzone: obok powabów ujrzysz tłum przykrości i udręczeń towarzyszących czułości...”¹¹ Wytykał też autor błędy językowe, powszechne w epoce. Nie pisze się, korygował „uczuciów” tylko „uczuc”, „plotków” tylko „plotek”, nie „mamów” tylko „mam”. Nad niedoskonałościami języka górowało jednakże piękno opisów i stylu. Śniadecki mógł więc z całym przekonaniem stwierdzić: „To są drobne plamki, które się wkradły w piękny obraz przyjemnych opisów, tkliwych poruszeń i rozmaitych charakterów, obraz z przedziwną łatwością i jak od niechcienia malowany ręką wdzięków i talentu”¹².

Józef Zawadzki w liście do Feliksa Bernatowicza z lutego 1816 roku wskazywał rezultaty twórczych impulsów *Malwiny* – aktywizację patriotyczną wokół nakużu znajomości własnego języka i możliwości pojawienia się „rodzeństwa” powieści. Panny z towarzystwa ucza się polskiego, zaczynają interesować się piśmiennictwem krajowym, a nawet zamierzają próbować swoich sił w literaturze narodowej. Oto fragment interesującego listu:

„*Malwina*” przyjęta u nas z taką uprzejmością, jakiej żadne tu nigdy dzieło nie doznało. Wielu jest, co od szkół nigdy może książki w rękę nie miawszy, teraz z ciekawością „*Malwinę*” czytali i z tej okazji może i inne książki czytać ośmielią się. Była ona przez czas niejaki jedyną materią rozmów w wielu towarzystwach. Co większa, obudziła się chęć pisania powieści, malujących narodowe obyczaje z czasów dawnych. Z tego zdarzenia, ja kilku damom przedałem zbiór kronikarzy polskich, o które

nigdy nikt nie pytał się. Biorąc pieniądze rzekłem: daj Boże zdrowie autorowi „*Malwiny*”¹³

POWIEŚĆ O DOMYŚLNYM SERCU

Można stwierdzić, że powieść Wirtemberskiej o domyślnym sercu wychodziła naprzeciw oczekiwaniom i gustom odbiorców. Była atrakcyjną relacją z dziejów miłości *Malwiny* i *Ludomira*. Wprawdzie pomyślnemu zwieńczeniu skomplikowanych meandrów uczucia przeszkadzają spiętrzone zawody i tajemnica, wydawać by się mogło nie do pokonania, ale ludzie i los życzliwy parze młodych pomagają usilnie w ich przewyciężeniu. W tej powieści, inaczej niż w romansach sentymentalnych, zwyciężają piękni i cnotliwi bohaterowie, a historia przychyła się do heroicznego zmagania i walk o wolność narodu. Wirtemberska stworzyła świat idyllicznej rzeczywistości, egzystencję, w której dobro zwycięża nad złem, a marzenia uzyskują siłę do realizacji. Wykreowała arkadyjską romansowość istniejącą w powieści w zgodzie i harmonii z realistyczną, obyczajową warstwą utworu, podbarwioną humorem, nierzadko z satyrycznym podglądem.

Motyw domyślności serca, uwypuklony w tytule, stanowi w *Malwinie* realizację głównej linii znaczeniowej, a także scala typ romansu psychologicznego z typem romanisu intrygi.¹⁴ W ujęciu Wirtemberskiej – domyślne serce – atrybut „człowieka wewnętrznego” – zyskało rangę daru niebios („serce rozkosze niezmiennione”), wyrażało dążność do duchowej tożsamości bohaterów („znaleźć duszę dla swej duszy”), zgodnym z platońskim przekonaniem o bliźniaczych, stanowiących jedność połówek. Motto zaczerpnięte z *L'Imagination* Jacquesa Delille’a oraz drugi człon tytułu powieści miały przekonywać, że „wiedza serca”, choć nie zawsze w pełni uświadomiona, może stanowić główną determinantę postępowania ludzi. Już *Maria Kuncewiczowa*, aczkolwiek nie skrywała dystansu wobec schematyzmu powieści sentymentalnych, stwierdziła, że Wirtemberska jako pierwsza polska autorka usytuowała „serce” w centrum poruszanych problemów, „usuwając je spod wyłącznego władania poetów”! „Serce” – ośrodek naturalnych i nieskażonych dyspozycji ludzkich, stało się kluczowym słowem epiki przełomu XVIII i XIX wieku.¹⁵

¹³ J. Zawadzki do F. Bernatowicza. *Odpowiedź na list F. Bernatowicza z 23 lutego 1816 r.* [w:] *Materiały do dziejów literatury i oświaty na Litwie i Rusi. Z archiwum drukarni i księgarni Józefa Zawadzkiego w Wilnie z lat 1805–1865, t. 1. Czasy Uniwersytetu po rozbiorach (do roku 1841)*, zebrał T. Turkowski, Wilno 1935, s. 125.

¹⁴ K. Wojciechowski, *Historia powieści w Polsce. Rozwój typów i form romansów polskich na tle porównawczym*, wyd. Z. Szwejkowski, Lwów 1921, s. 144.

¹⁵ M. Kuncewiczowa, W. Melcer, *Domyślne serce księżniczki Czar-toryskiej*, „*Bluszczyt*” 1933, nr 5, s. 8.

¹¹ J. Śniadecki, „*Malwina*”. *List stryja do synowicy pisarzy z Warszawy 31 stycznia 1816 r. z przesłaniem nowego pod tym tytułem romanisu*, *Dziennik Wileński* 1816, t. 3, s. 121–139.

¹² *Ibidem*, s. 131.



Można przypuszczać, że niezależnie od apoteozy strony emocjonalnej człowieka, artykułowanej przez wielu dobrze znanych Wirtemberskiej pisarzy, pewien wpływ na ukształtowanie się kultu uczucia, figurowanego metaforą serca, miał jej pierwszy nauczyciel literatury polskiej – Franciszek Karpiński. Jego rozprawa *O wymowie w prozie albo wierszu*, manifest polskiego emocjonalizmu, powstała w latach 1781–1782, a zatem w czasie, kiedy poeta zajmował się edukacją młodej księżniczki. Przeświadczenie, że „serce” jest najważniejszym argumentem decyzji osobistych i dyspozycji poznawczych leżało u podstaw całokształtu poglądów Karpińskiego:

Wejdz pierwszej zawsze, ile możliwości, w serce twoje, radź się go i słuchaj, a dopiero co w nim zaczęłaś, niech głowa i dowcip twój zakończy. Oto najmocniejsza sprężyna sztuki...¹⁶

¹⁶ F. Karpiński, *O wymowie w prozie albo wierszu* [w:] *Zabawki wierszem i prozą*, t. II, Warszawa 1782, s. 506.

W powieści Wirtemberskiej pogląd, że tylko doświadczenie wewnętrzne pozwala zgłębić rzeczywistość, że uczucie prędzej dociecze prawdy niż rozumu, pełni już funkcję nowatorską. „Serce” jako kierowniczy czynnik życia, dysponuje możliwością poznawania i wyróżniania, nie wynikającą z fizycznie pojmowanych zdolności, oferowanych przez zawodne oko i ucho. Takich prerogatyw „serca” nie знаła literatura oświeceniowa, aczkolwiek, szczególnie w nurcie sentymentalnym, niosła ze sobą apologię uczucia i abstrakcyjnie interpretowanego doświadczenia wewnętrznego. Kierując się uczuciem i intuicją, bohaterka powieści usiłuje zgłębić tajemnicę pozornego przeobrażenia się umiłowanego Ludomira oraz własnej, niezrozumiałej obojętności wobec niedawnego ukochanego. Jeszcze nie wie, że spotkała dwóch braci bliźniaków. Jednego poznała w pięknym Krzewinie (odwzorowanym na Puławach), drugiego w Warszawie. Stanisław Tarnowski pochwałał kunszt Wirtemberskiej w fabularnym operowaniu tak przedstawionymi postaciami Ludomirów:

Jest dwóch Ludomirów, bliźniaków, a tak są do siebie podobni, że ich rozpoznać nie można: sztuka autorki zaś tak umiała sceny ułożyć, że ci dwaj bracia nigdy się razem nie schodzą, nie wiedzą o sobie, że są braćmi, nawet, że żyją.¹⁷

Trudność z rozwiązaniem tajemnicy dwóch braci bliźniaków, zewnętrznie identycznych, ale nieznanących się nawzajem, intensyfikuje rolę domyślności, która uporać się musi z piętzącymi się zagadkami. Rozwijany i stale wzbogacany motyw fabularny skutkuje przejmowaniem przez powieść funkcji studium podświadomości – zjawiska niespotykanego w polskiej powieści przedromantycznej. Konfrontacja świadomości z podświadomością, a zatem działalność domyślnego serca, nie jest przedstawiana w powieści jak stan jednorazowy, ale jako długotrwały proces psychiczny. Usprawiedliwia zatem zwroty w akcji i prowadzi do udratyzowanego obrazu wewnętrznego rozdarcia, zasady zmienności, a nawet sprzeczności przeżyć, obrazowanych stwierdzeniem „wiem” i „nie wiem”:

Wando moja! Wiem tedy teraz, kto był ten nieznamy, ten utajony Ludomir [...], a raczej nie wiem, nie rozumiem, nie pojmuję nic z tego, co się jego losu, jego postępów tyczy! (*Malwina...*, rozdz. XI, s. 84).

Mylne reakcje emocjonalne Malwiny wynikają z tego, że rzutuje ona takie oczekiwania na ks. Melsztyńskiego, którym może sprostać jedynie jego brat Ludomir, a wybrańcowi serca przypisuje wszystkie niedostatki drugiego z bliźniaków. Niemożność odwzajemnienia uczuć pary pozornej tożsamości bohatera skutkuje pojawieniem się obrazów wewnętrznych napięć, pytań bez odpowiedzi, ujętych w formę monologu wewnętrznego:

Dlaczego tak się stało? Dlaczego inaczej było w Krzewinie? Tego ja pojąć nie mogę. Ustawnie wymawiam to sobie; to mnie smuci, męczy, wszystko mi truje. (*Malwina...*, rozdz. XII, s. 91).

Umiejętność tworzenia napięć emocjonalnych, wewnętrznego dialogu bohaterki samej ze sobą, polaryzacja postaw liryzmu i humoru pomagają w przekroczeniu konwencjonalnego schematu emocjonalnego i odrzuceniu techniki wyliczania zewnętrznych przejawów uczucia, upowszechnianego w romansach. Trzeba podkreślić, że inaczej niż w znanych powieściach epoki, bohaterka kieruje uwagę nie tylko na przedmiot swojej świadomości, ale i na sam akt świadomości. Malwina obserwuje

własne przeżycia, dokonuje i autoanalizy, ma poczucie odrębności własnej osoby, niepowtarzalności uczuć, niekiedy również ich sprzeczności. Rozpatruje kolejno następujące po sobie niepokoje i uspokojenia, zasmucenia i uśmiechy. Rozdział XXVI powieści zatytułowany *Jednak serce rzadko się myli* można interpretować jako punkt fabularnego dyskursu na temat niepełnych możliwości poznawczych rozumu i niezawodnych rozeznań uczucia. Okres dezorientacji wewnętrznej dobiegł końca. Malwina doszła do prawdy przy udziale „pomocników”, popychających akcję ku pomyslnemu finałowi.

Domyślność serca okazała się intuicyjną mądrością, właściwą sobie logiką, dzięki której tytułowa bohaterka uniknęła pułapki zastawionej na nią przez los w postaci dwóch Ludomirów. Ramy znaczeniowe uczucia uległy poszerzeniu, a wiedza wnoszona wraz z uczuciem, szczególnie tak uniwersalnym jak miłość, uzyskała sens epistemologiczny.

POWIEŚĆ O WOJNIE WYZWOLEŃCZEJ

Malwina Wirtemberskiej, aczkolwiek obrazowała dzieje domyślnego serca, okazała się również wieloaspektowym studium możliwości odnowienia ideałów rycerskich, celem „wybicia się na niepodległość” w wojnie narodowej. Narratorka przetransponowała do powieści wariant zainteresowania rycerskością, ukazała poprzez wprowadzony do powieści obraz turnieju, pożytek z przypomnienia dawnego, malowniczego etosu, eksponującego dzielność, odwagę, kurtuazję. Zanegowała (dodając do powieści tragiczną historię Taidy i Ludomira) stawianie ponad walorami osobistymi prerogatyw płynących z przywilejów urodzenia i fortuny. Wreszcie, w szerokim panoramicznym obrazie wojny narodowej, odwołała się do doświadczeń historii, także czasów Księstwa Warszawskiego, aby przekazać apologię bohaterskich czynów obu Ludomirów, ze szczególnym uwzględnieniem heroizmu Ludomira Płomieńczyka. Wojna wyzwolenicza, rozumiana jako okres przebudzenia narodowego Polaków zyskała entuzjastyczną ocenę narratorki, adresującej powieść już nie tylko do czułych czytelników, ale i rodaków świadomych swojej proweniencji.

Ludomirowie, zanim zostali szczęśliwymi mężami Malwiny i Wandy, wyróżniali się walecznością i heroizmem w wojnie; Ludomir „Warszawski” wyruszył do walki wraz z pułkiem przez siebie wystawionym; Ludomir Płomieńczyk okazał się w bitwie pod Mohilewem „najwaleczniejszym rycerzem”, także bohaterem o wysokich kwalifikacjach moralnych, który ocalił życie pułkownikowi Melsztyńskiemu, swemu nieznanemu bratu:

¹⁷ S. Tamowski, *Romans polski na początku XIX wieku*, op. cit., s. 524.

Tom 2

Pag 170.



Grand par. Jaccot, à Paris, Quai des Augustins, N° 85.

..... i z rozczuleniem odczytała te wiersze.

[...] doprowadził aż na miejsce naszych ułanów, gorliwością swoją dodał im odwagi i wpadłwszy z nimi wśród Kozaków pałaszem drogę sobie otworzył, pierściami swymi zasłonił księcia, (którego po błyszczącym krzyżu poznał, bo twarzy krwią zalanej rozeznac było niepodobne) i tym heroicznym poświęceniem dał czas rannemu księciu uchylecia się i wyjścia z utarczki. (*Malwina...*, rozdz. XXII, s. 174)

Stanisław Tarnowski występujący w literaturze polskiej pierwszych dziesięcioleci XIX wieku sukcesę wydarzeń – najpierw wieniec laurowy, następnie mirtowy – skwitował stwierdzeniem: „[...] koniecznością sine qua non dla wszystkich Ludomirów było bić się i służyć w wojsku. Nie tylko Malwina, Wanda także nie byłaby chciała swojego Ludomira, gdyby nie był poszedł na wojnę i wrócił ranny [...]. Czasy to Księstwa Warszawskiego, czasy

Napoleona...”¹⁸ Według Juliusza Kleinera natomiast, sentymentalny ułan nosił cechy nie tylko z rzeczywistości, ale także z romansu heroiczno-miłosnego, przeżywającego swój renesans w XVIII wieku, dzięki obudzonemu kultowi średniowiecznego rycerstwa.¹⁹

Kreacja melancholijnego bohatera o domyślnym sercu, a zarazem niezwykłego rycerza bez trwogi i skazy, który „cuda waleczności dokonywał” oraz wyróżniał się znajomością strategii wojennej, należy do oryginalnych dokonań literackich Wirtemberskiej. Wprawdzie w powieściach przedromantycznych innych autorów obserwujemy kontaminację walorów uczucia i talentów wojskowych, ale tylko autorka *Malwiny* sytuuje swoich bohaterów na polach bitew rozgrywających się we współczesności, nie zaś odległej przeszłości. Przypomnijmy: akcja *Astoldy* Mostowskiej toczy się w pogańskich

¹⁸ S. Tarnowski, *Romans polski w początku XIX wieku*, „Przegląd Polski”, Warszawa 1871, nr 139, s. 539 i osobna odbitka.

¹⁹ J. Kleiner, *Powieść Marii z Czartoryskich ks. Wirtemberskiej* [w:] *Studia z zakresu literatury i filozofii*, Warszawa 1926, s. 77.

czasach Palemona. Akcja *Julii i Adolfa* Ludwika Kropińskiego rozgrywa się w XVI wieku. *Jan z Tęczyna* Juliana Ursyna Niemcewicza „stawia ludzi wieku XIX w ramach XVI”; *Nierozsądne śluby* Feliksa Bernatowicza mają miejsce w czasach Zygmunta Augusta, *Pojata* – to czasy Jagiełły, *Nałęcz* – Kazimierza Wielkiego itd. Być może, te cechy powieści miał na myśli Jan Śniadecki przekazując synowicy Zosi opinię „[...] *Malwina*, powieść całkiem narodowa, o familiach, miejscach, zdarzeniach, towarzystwach wyższego rzędu i o obyczajach polskich...”²⁰

Postulowana przez Wirtemberską „teraźniejszość” powieści ujawniła się w obrazowaniu wydarzeń nie „ucukrowanych”, nie wymagających stosowania kostiumu czy maski historycznej. Można przypuszczać, że odrzucając model obyczajowej i historycznej powieści stanisławowskiej i proponując własną interpretację zadań romansu autorka miała także na myśli rodzaj „patriotyzmu militarnego”, cechujący okres porozbiorowy oraz rewiwację ideałów rycerskich, bliskich pokoleniu poszukującemu możliwości wybitcia się na niepodległość. Świadomość szczególnej ceny ofiar ponoszonych dla kraju i rodaków, przekonanie, że miarą patriotyzmu może stać się w trakcie wojny ofiara najwyższa – nadają tej powieści znamię narodowej historii krajowej, bardziej sugestywnej niż odległe w czasie przykłady.

Na szczególną uwagę zasługuje związek *Malwiny* z doniosłym momentem dziejowym, w którym powstawała – powszechną aktywizacją uczuć patriotycznych w Księstwie Warszawskim, potęgujących się od bitwy pod Raszynem (1808). Entuzjastyczne przyjęcie wojska polskiego, które pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego wyzwalalo ziemię zabraną przez Austrię w trzecim rozbiore, rozbudziło nadzieję na możliwość odrodzenia państwa polskiego i równać się mogło z emocjonalnym uniesieniem towarzyszącym uchwaleniu Konstytucji 3-go Maja. Wojsko polskie w mundurach na ulicach miast było dla społeczeństwa przywykłego do myśli o „grobie ojczyzny” zjawiskiem typu napoleońskiego cudu, dla Czartoryskich natomiast – spełnieniem dyrektywy znanej od wystawienia *Matki Spartanki* w Puławach i realizacji niepodległościowej wieszczby sybillińskiej o wniesieniu nowej Troi.

Postulat czynu wojennego, walki orężnej w obronie ojczyzny, a zatem ideologia promieniująca ze zbiorów gromadzonych w Świątyni Sybilli – pierwszym polskim muzeum narodowym – założonym w Puławach przez Izabelę Czartoryską, akceptowana była w pełni przez Wirtemberską, która uczestniczyła we wzbogaceniu zbiorów cennymi eksponatami, brała udział w ich opisywaniu, wyrażała

²⁰ J. Śniadecki, „*Malwina*”. *List stryja do synowicy pisarzy z Warszawy*, op. cit.

aprobata dawnych cnót i upodobań, przeciwstawianych upadkowi obyczajów „wieku zepsutego”.

Dlatego też, podobnie jak w Świątyni Sybilli zasobnej w oręż polski i zdobyczny, czy w wierszu Czartoryskiej *Do wojska polskiego* napisanym w 1809 roku²¹ z okazji pobytu odrodzonego wojska w Puławach pod wodzą ks. Józefa Poniatowskiego, również w powieści Wirtemberskiej dochodziła do głosu pełna apoteoza sił bojowych, rodzinnych – jak mocno podkreślała autorka – „złożonych z ojców, braci, synów, kochanków, przyjaciół”, walczących „o swoją własność, o swoje schronienie, za żony, dzieci, prawa, język, byt swój”. (*Malwina*, rozdz. XXIII, s. 164).

Podobnie jak podczas trwania Sejmu Wielkiego dokonywała się w czasach Księstwa Warszawskiego doniosła transformacja obyczaju szlacheckiego w obyczaj narodowy oraz wzrastała ranga wojska jako bastionu polskiej idei wolnościowej.

Aktualizacja płaszczyzny narracji, wprowadzona przez Wirtemberską na nieznaną do tej pory skalę w prozie polskiej, wiązała się z ekspresją uczuć patriotycznych i reminiscencjami osobistymi. Wśród nich znajduje się doniosłe rozróżnienie, kontynuowane przez romantyków, wojen zaborczych i wojen narodowo-wyzwoleńczych, mających „miłość ojczyzny i sławy za godło” oraz uwznioślenie cech Polaków chcących stanowić, wedle osądu pisarki, rękomię przyszłego, niezawisłego bytu:

My wojen nigdy nie prowadzim, aby złupić sąsiadów; zaburzenia i okropności nie wnoszą w kraje cudze dlatego, że odmiany rozumne lub porządek u siebie chcieli wprowadzić! Nasze wojny mają słuszość i prawo własności za pierwsze zasady, miłość ojczyzny i sławę za godło, ale niestety, głód, niedostatek, obnażenie z wszelkich pomocy i wróżbę wszelkich plag za zwyczajne towarzystwo. (*Malwina...*, rozdz. XXII, s. 164).

Kształtowanie patriotycznego modelu kultury i obyczaju uwidoczniło się w poszukiwaniu wyznaczników własnego rodowodu i spójnych systemów zachowań. Według narratorki przymioty miłosierdzia, szlachetnej odwagi, starodawnej gościnności „przywiązania najczystsze- go do ojczyzny” stanowią kanon obywatelskich cnót „... którym wieki nieszczęść, zniszczenie kraju, bieg czasu,

²¹ I. Czartoryska, *Do wojska polskiego*, „*Gazeta Korespondenta Warszawskiego i Zagranicznego*”. Z Warszawy dnia 25 lipca 1809 roku, s. 857–858. Por: [fragment]

...Zebrałam przeszłość polską w przybytek pamięci,
Ażeby szczątki godne wiekopomnej chwały
Późnym wiekom świadectwo o narodzie dały,
Aby wnuk drogie przodków uwielbiając ślady,
Znał swą krew i hardymi pogardzał sąsiady.

gwalt przymusu, strata nawet nadziei wykorzenić z serca Polaków nie potrafiły”. (*Malwina...*, rozdz. XIX, s. 109).

W powieści szczególnego znaczenia nabierają leksemy „Polak”, „Polka”, interpretowane jako rękojmia i moralne zobowiązanie do przedkładania spraw kraju nad interes własny, a także jako uświadamiana czytelnikom więź scalająca rodaków, niezależnie od stanu, płci, wieku. Zamierzone oddziaływanie na wolę czynu, wspomagane charyzmatem heroizmu wojennego z czasów Księstwa Warszawskiego doszło do głosu w starannie wymodelowanej relacji nadawczo-odbiorczej. Nie mieliśmy tu do czynienia z konstrukcją czytelnika „w ogóle”, bliżej nie skonkretyzowanego czy dysponującego przede wszystkim tkliwym sercem i żywą imaginacją, ale z odbiorcą o wyrobionym poczuciu tożsamości narodowej, świadomym Polakiem. Narratorka unaoczniając problemy wojny wyzwoleńczej i zwracając się bezpośrednio do czytelnika sugerowałaby, że posługują się wspólnym językiem. Utożsamiała się ze zbiorowością polską, nie zaś z wybraną postacią, jak to czyniła opisując dzieje domyślnego serca:

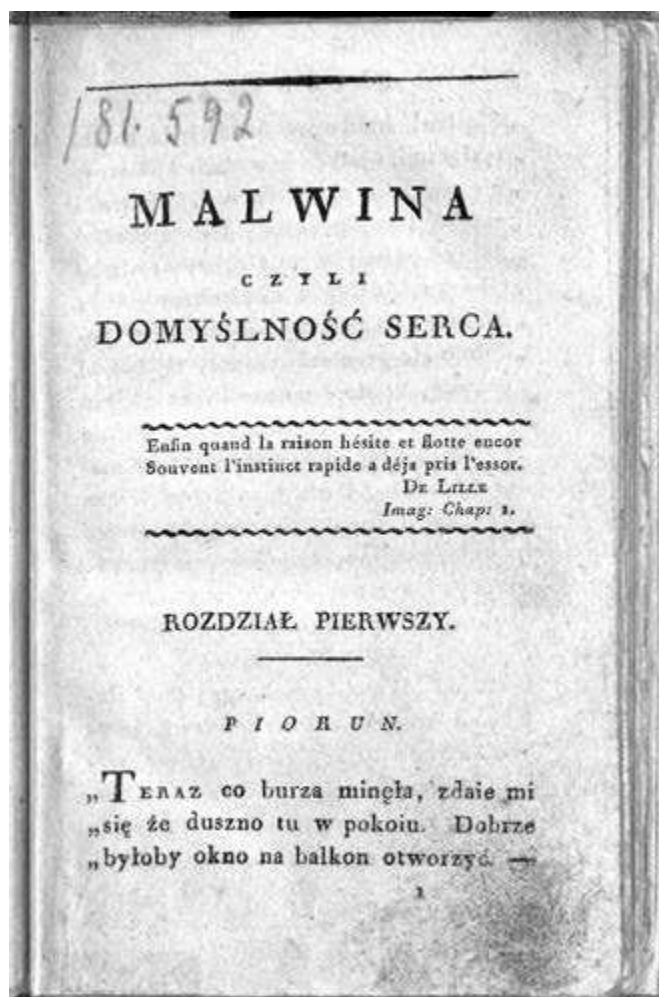
Ale na cóż mam tu powtarzać rozmowę, którą czytelnik łatwo sobie wystawi będąc Polakiem; łatwo pojmie, jak gorliwe i czułe Polki wypytywać się musiały o powodzenie ojczyzstego wojska, na którym wszystkie nadzieje spoczywały, o którego wszystkie obijały się troski! (*Malwina...*, rozdz. XXII, s. 169).

Aktualizacja jakby w *Malwinie* poprzez odwołanie się do problematyki walczącego narodu, najczęściej w badaniach pomijana, niezbędna jest w zrozumieniu całości kształtu zawartej tam problematyki, związków łączących powieść z rzeczywistością historyczną oraz wytłumaczeniu jej dużej popularności wśród polskich patriotów XIX wieku, także filomatów i filaretów.

WYZNACZNIKI POPULARNOŚCI POWIEŚCI WIRTEMBERSKIEJ

Dowodów poświadczających olbrzymią popularność *Malwiny* jest bardzo wiele; skoncentrujemy się więc na wybranych. Przede wszystkim, aby uniknąć nieporozumień, należy włożyć między bajki supozycję Stanisława Wasylewskiego, nie popartą materiałem dowodowym, jakoby Jan Maksymilian Fredro, starszy brat znanego komediopisarza i bywalec salonu Wirtemberskiej przekładał na język polski *Malwinę*, napisaną początkowo przez autorkę w języku francuskim.²²

²² S. Wasylewski, *Kto napisał „Malwinę”?*, „Bluszcz” 1931, nr 8, s. 13.



Wirtemberska już w czasie pracy nad powieścią informowała, że będzie to utwór programowo polski, literacki dowód przydatności języka rodzimego w artykulacji uczuć, nie tylko morałów i dydaktyki. Również w liście dedykującym powieść wyznawała, że jednym z głównych celów podjętego zadania pisarskiego była chęć przekonania czytelników, że język polski jest zdolny do przekazania najtkliwszych uczuć i niuansów wielu doznań.

Mimo niewątpliwego w swej randze faktu posługiwania się językiem rodzimym jako ważnym instrumentem komunikacji emocjonalnej – upowszechnianie powieści wymagało, i nie był to paradoks, aby uprzystępnic ją odbiorcom także w języku francuskim, mającym renomę międzynarodowego kodu elit europejskich. Inicjatorzy tłumaczenia *Malwiny* zamierzali spopularyzować romans wśród francuskich odbiorców, przede wszystkim kobiet, ale uwzględniali także fakt, że nie wszystkie czytelniczki w kraju posługują się sprawnie rodzimym językiem. Mimo wyrażonego zainteresowania polską literaturą, inspirowanego *Malwiną*, francuszczyzna pozostawała jeszcze długo sposobem komunikacji czułych dam, czytujących chętnie

powieści M-me Cottin, M-me de Genlis, M-me Riccobini, M-me de La Fayette i innych pisarek znad Sekwany.

Pracy nad translacją powieści Wirtemberskiej na język francuski podjęła się Anna z Krajewskich Nakwaska (1781–1861) już w roku 1815, a zatem jeszcze przed ukazaniem się *Malwiny* w druku (1816). „Nakwaska przełożyła rozdział o turnieju na język francuski, i to dobrze, jak mówią”²³, informowała Wirtemberska ojca, zainteresowanego wielu losami *Malwiny*. Wirtemberska śledziła z uwagą i napięciem powstawanie przekładu i dzieliła się swoimi uwagami z rodziną. „Fischer przełożył Wieszór księżny W..., ale lichu”, trapiła się; „tylko Chłapowski i panna Ostrowska, którzy opracowali pierwsze listy Ludomira do Telimeny, spisali się należycie”²⁴ itd.

Na podkreślenie zasługuje duża ilość tłumaczy zaangażowanych w prace przekładowe. Wirtemberska wymienia 7 translatorów, ale być może nie jest to jeszcze całość zespołu. Translacja *Malwiny, czyli domyślności serca* na język francuski była dziełem zbiorowym, aczkolwiek o zespole salonowych tłumaczy rychło zapomniano. Przekład firmowała Anna z Krajewskich Nakwaska, a na karcie tytułowej francuskojęzycznej *Malwiny* znalazła się adnotacja: „Tradnit du poloinais par une polonaise” (Przełożona z polskiego przez Polkę).

Pierwsze wydanie romansu przetłumaczonego pod egidą Anny Nakwaskiej pojawiło się w roku 1817 w Warszawie i przeznaczone zostało dla czytelniczek niezbyt jeszcze biegłych w mowie przodków. Natomiast reedycję przekładu, który ukazał się w Paryżu w roku 1822 pt. *La Polonoise on l'instinct de coeur* można uznać za próbę zainteresowania dam francuskich polskich romanssem.

Dwa polskie nakłady *Malwiny* z 1816 i 1817 roku zostały szybko wyczerpane. Autorka poprawiała starannie tekst pod względem językowym i usuwała galicyzmy. Niemniej nie wszyscy czytelnicy mogli zakupić powieść. Jak bardzo poczytny był to tekst, świadczyć może fakt, że Józef Malewski, filomata, w 1821 roku poszukiwał parokrotnie powieści na prośbę Adama Mickiewicza w księgarniach wileńskich. W liście z 7/8 marca 1821 roku z Wilna informował Adama: „*Malwiny* i tak dostać nie mogłem, jednego tylko Tassa posyłam”, a w liście z 10/23 marca 1821 roku przesyłając Mickiewiczowi poszukiwane przez niego książki m.in. *Cierpienia młodego Wertera*, narzekał: „*Malwiny* nie mogę dostać”²⁵.

Zaciekawienie dziełem Wirtemberskiej zataczało coraz szersze kręgi. „W mieszczaństwie wszyscy za nią przepadają, chcą tłumaczyć na język niemiecki” napisała Wirtemberska nie kryjąc zadowolenia. W roku 1834 *Malwina czyli domyślność serca* ukazała się w Moskwie przetłumaczona na język rosyjski i „chlubnie zjednała dla się zdanie rosyjskich dzienników”²⁶.

Mimo rozbudowanej warstwy intertekstualnej powieści, konkretyzującej się m.in. w odniesieniach do literatury Północy (L. Sterne, Osjan, M. Prior) brakowało przekładu *Malwiny* na język angielski, który na przełomie XVIII i XIX wieku zdobywał sobie powoli coraz większą popularność, ale translacja na język angielski dokonywała się również, tyle że w roku 2001, a zatem 185 lat po pierwszej edycji powieści. Książka Wirtemberskiej, w dalszym ciągu czytana, wydawana, omawiana nie nosi cech tylko ogniwa w procesie historycznoliterackim. Wyposażona została we właściwości długiego trwania w kulturze. Przetłumaczoną i opatrzoną obszernym wstępem przez Urszulę Philips, *Malwinę* wydała starannie Polska Fundacja Kultury w Londynie (Polish Cultural Foundation). Edycja została szybko wyczerpana, ponieważ, jak się okazało powieść jest w dalszym ciągu atrakcyjna czytelniczo. W roku 2012 *Malvine of the heart's intuition* ukazała się ponownie z przedmową Urszuli Phillips. Książkę wydało Northern Illinois University Press, DeKalb.

Również w Polsce powojennej nie notują publikacje powieści z początku XIX stulecia. Okazuje się, że *Malwina* realizuje cechy dobrej epoki, mogącej zainteresować czytelników rozwojem akcji, przekonywającym obrazem wewnętrznych przeżyć bohaterów, realistycznym zarysowaniem przedstawionego obyczaju. *Domyślne serce Malwiny*, pokonujące przeszkody zewnętrzne oraz własne wahania i wątpliwości, intuicja bohaterki eksponowana w tytule jako naczelnny problem nie tylko powieści, ale i życia stały się doniosłym elementem w dyskusjach światopoglądowych, w konfrontacji dwóch postaw wobec rzeczywistości: emocjonalizmu i racjonalizmu. Przeciwwstawienie się oświeceniowej despirytualizacji doznań prowadziło do przekonania, antycypującego romantyczne pojmowanie uczucia, że intuicja serca bywa trafniejsza od zimnego rozsądku, czy oka ciała, także wspomaganego „szkiełkiem”. *Malwinę czyli domyślność serca*, można więc uznać, nawiązując do tytułu rozprawy Wacława Kubackiego, za jeden z „pierwiosnków” polskiego romantyzmu²⁷.

ALINA ALEKSANDROWICZ

²³ Ew XVII/1114, Bibl. Czart., Kraków, *List M. Wirtemberskiej do A. K. Czartoryskiego* z 23 I [1815].

²⁴ Ibidem, *List M. Wirtemberskiej do A. K. Czartoryskiego* z 6 II [1815].

²⁵ Por. *Korespondencja Filomatów 1815–1823*, wydał J. Czubek, t. III, 1820–1821, Kraków 1913.

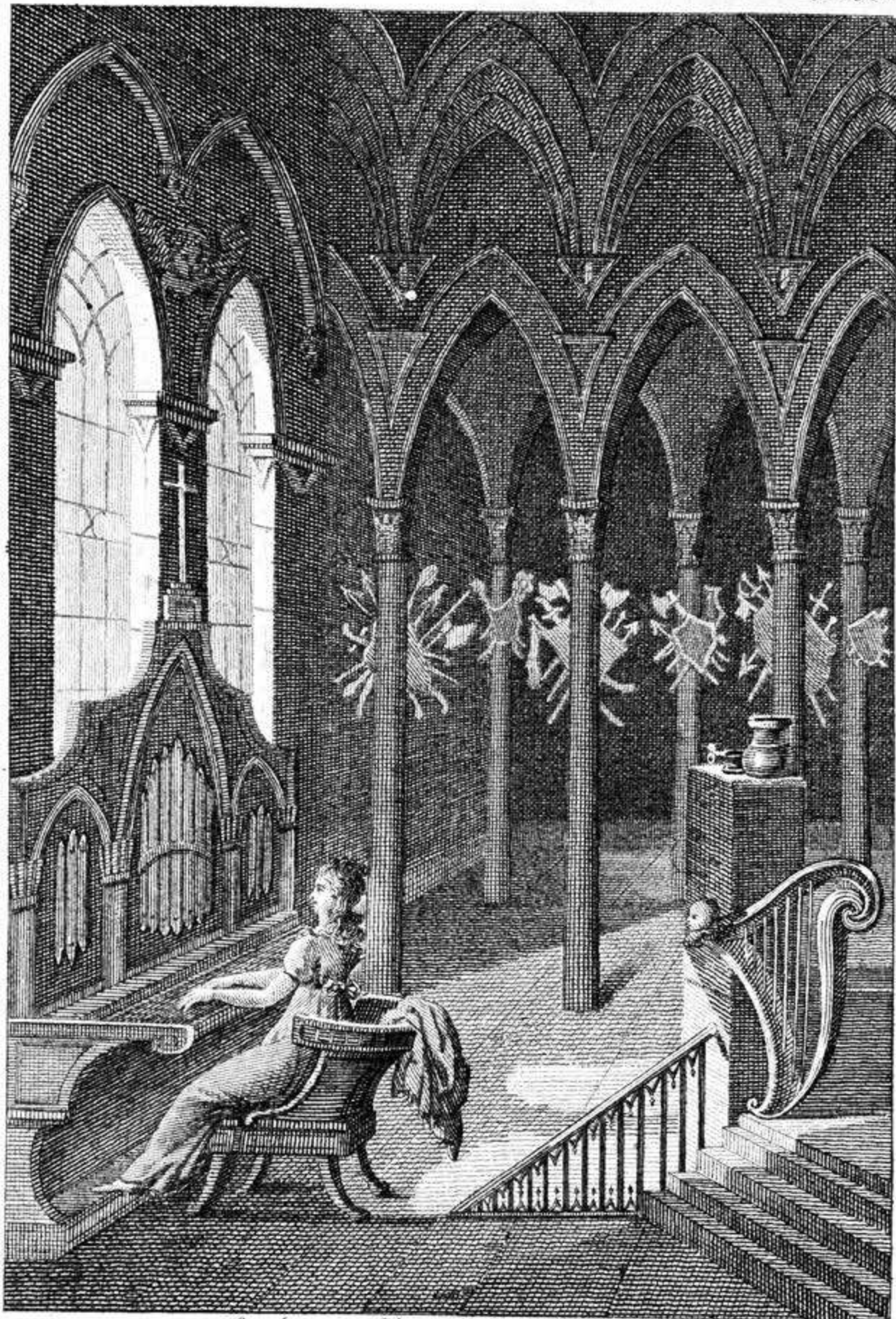
List J. Malewskiego do A. Mickiewicza z 7/8 marca 1821 roku, z Wilna, s. 170; *List J. Malewskiego do A. Mickiewicza* z 10/23 marca 1821 roku z Wilna, s. 206.

²⁶ „Wizerunki i Roztrząsania Naukowe”, R. 1834, cz. II, s. 134.

²⁷ W. Kulbacki, *Pierwiosnki polskiego romantyzmu*, Kraków 1949.

Tom I.

Page 33



Gravé par Zecorj, à Paris, Quai des Augustins, N° 25.

Łącząc metody głoś i powaźną, Organów harmonia,

JAN
SĘK

TEOFIL LENARTOWICZ

– założyciel Akademii Historii
i Literatury Polskiej i Słowiańskiej

TEOFIL LENARTOWICZ TO TWÓRCA, który miał to szczęście, że apogeum popularności osiągnął jeszcze za życia. Dziś jest praktycznie prawie zapomniany. Jego sylwetka godna jest jednak przypominania, był bowiem kroczącym świadkiem i po części uczestnikiem wszystkich istotnych procesów dziejowych zachodzących w XIX wieku na ziemiach polskich: obu powstań narodowych, rabacji w Galicji i Wiosny Ludów w Europie.

Przypomnijmy zatem pokrótce jego koleje losu. Urodził się w Warszawie, na Powiślu w 1822 roku, ale całe życie czuł się związany uczuciowo z Mazowszem, swoistą małą ojczyzną twórcy. Zniewolona zaś przez trzech zaborców Rzeczpospolita i wszystko co „polskie” stanowiły dla niego życiową misję. Służył jej ofiarnie przez całe życie. Powyższe zasługuje na uwagę i zarazem na szacunek. T. Lenartowicz nie był bowiem ani z urodzenia, ani z wykształcenia członkiem ówczesnych elit. Miał wręcz poczucie wykorzenienia społecznego z racji wczesnego osierocenia przez ojca i chronicznego niedostatku w domu, w którym wdowa musiała wychowywać sama trójkę dzieci. Jego sytuacja nie poprawiła się również po powtórny zamążpójściu matki. Ojczym okazał się nieudacznikiem, który na dodatek nie omijał żadnej okazji do towarzyskich spotkań zakrapianych alkoholem. Zagrożona nędzą rodzina wyprowadziła się w końcu ze stolicy i tułała w poszukiwaniu zajęć po okolicznych miasteczkach i wsiach.

Ten etap życia to dla przyszłego poety swoista szkoła kształtowania charakteru. Przyjaźnił się z wiejskimi pastuchami i rówieśnikami pilnującymi bydła i gęsi. Uczył się od nich piosenek ludowych i grania na fujarce, zrobionej własnoręcznie z kory wierzbowej. Do rangi symbolu tych lat urasta epizod wiążący się z przemarszem przez sąsiednią wieś strudzonych kosynierów, uczestników powstania listopadowego. Ubogaca on wspomnienia młodego chłopca o zasługach własnego ojca biorącego przed laty czynny udział w powstaniu kościuszkowskim.



Bliższe i dalsze wędrówki po okolicy zaprowadziły go także do pobliskiego majątku Laskowo-Głuchy, gdzie poznał rodzinę poety C. K. Norwida.

Po powrocie do stolicy, w wieku 13 lat podjął naukę w szkole, co zawdzięczał starszej siostrze oraz intensywnie zaczął się doksztalać. Podjęcie zaś pracy w 1841 roku,



w charakterze kopisty akt w kancelarii prawniczej umożliwiło mu szersze nawiązanie kontaktów z przedstawicielami kręgów opiniotwórczych miasta.

Z uwagi na fakt wzrastającego zainteresowania poezją, szczególne znaczenie ma zbliżenie do młodych twórców ze środowiska tzw. Cyganerii Warszawskiej i kręgu Entuzjastek, propagujących sprawę podniesienia statusu kobiet w społeczeństwie polskim. Wraca też do gromadzenia tekstów pieśni obyczajowych, przyśpiewek i porzekadeł ludowych.

Ta pasja zbliża go do Oskara Kolberga, cenionego badacza rodzimego folkloru i sztuki ludowej oraz malarza Wojciecha Gersona i kompozytora Ignacego M. Komorowskiego.

Z czasem gruntuje i radykalizuje swe przekonania, co prowadzi do związania się z obozem patriotycznym Edwarda Dembowskiego, w którym szczególną aktywność przejawiał w latach 1842–1843. Po rozbiciu kilku ogniw siatki konspiratorów w Warszawie, bojąc się aresztowania wyjechał na dłużej do Poznania. Tam też nawiązał istotne kontakty z działaczami, po części lewicowego Komitetu Poznańskiego oraz członkami redakcji prestiżowego „Tygodnika Literackiego”, będącego wówczas czasopismem skupiającym wokół swej linii literatów tej rangi, co Karol Libelt.

Kontakty z romantycznymi rewolucjonistami i entuzjastami patriotycznych i społecznych uniesień, owocują też pierwszymi publikacjami literackimi w czasopismach i almanachach, związanych z tymi środowiskami. Na przypomnienie zasługują tutaj założone dwa periodyki: „Nadwiślanin” i „Przegląd Warszawski”.

Część jego twórczości ma charakter epigoński, wtórny, a nawet infantylny. I o niej nie musimy dzisiaj pamiętać. Trafiają się jednak i perły liryczne. Tak było w przypadku wydanej w 1845 roku *Kaliny*. Do tekstu poety muzykę skomponował jego dobry znajomy I. M. Komorowski, śpiewano ją powszechnie we wszystkich trzech zaborach i to przez całe dziesięciolecie. I dzisiaj warto rozkoszować się nietuzinkowym jej urokiem:

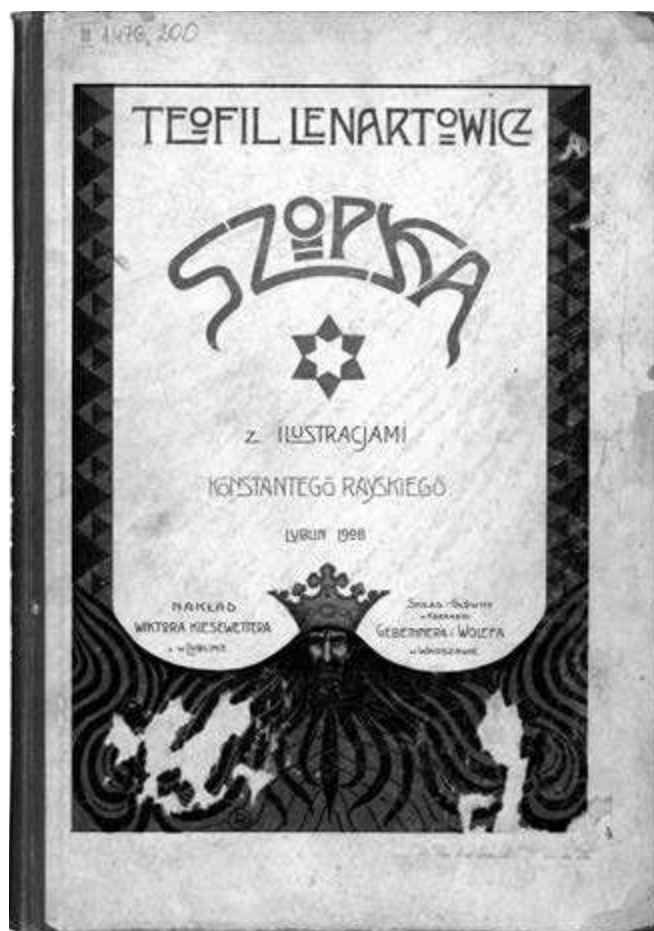
Rosła kalina z liściem szerokim,
Nad modrym w gaju rosła potokiem,
Drobny deszcz piła, rosę zbierała,
W majowym słońcu liście kąpała,
W lipcu korale miała czerwone,
W cienkie z gałązek włosy wplecione.
Tak się stroiła jak dziewczę młode
I jak w lusterko patrzyła w wodę.
Wiatr co dnia cesał jej długie włosy,
A oczy myła kroplami rosy.
U tej krynicy, u tej kaliny
Jasio fujarki kręcił z wierzby
I grywał sobie długo, żałośnie,
Gdzie nad krynicą kalina rośnie,
I śpiewał sobie: dana! oj dana!
A głos po rosie leciał co rana.
Kalina liście zielone miała
I jak dziewczyna w gaju czekała,
A gdy jesienią w skrzynkę zieloną
Pod czarny krzyżek Jasia złożono,
Biedna kalina znać go kochała,
Bo wszystkie swoje liście rozwiała,
Żywe korale rzuciła w wodę.
Z żalu straciła swoją urodę.

Konsekwencją politycznej aktywności i literackiej popularności było wzrastające zainteresowanie twórcą ze strony policji carskiej. Zagrożony aresztowaniem opuszcza w 1848 roku i to już na zawsze zabór rosyjski. Trwałym wspomnieniem po Warszawie i Mazowszu pozostaje tylko przydomek Lirnik mazowiecki. Powyższe określenie zagościło na stałe na łamach prasy i w opracowaniach literackich po wydaniu w 1855 roku tomiku wierszy *Lirenka*.

W okresie burzliwych lat Wiosny Ludów poeta mieszkał i działał głównie na terenie zaboru austriackiego. Z tego okresu pochodzą zbiory utworów: *Polska ziemia w obrazkach* (1848–1850) i *Cztery obrazy* (1848). Obie pozycje to swoisty manifest patriotyczny i zarazem zaprogramowany instruktaż dotyczący realizacji skutecznego zrywu niepodległościowego. Te i inne deklaracje narodowe zwracają coraz bardziej uwagę szpicli. T. Lenartowicz musi opuścić Kraków. Udaje się wpierw do Drezna, gdzie stara się wspierać działania literata Romana Zmorskiego na rzecz odrodzenia narodowego mniejszości słowiańskiej na Łużycach. Policja i tam jest nadzwyczaj zapobiegliwa i nie zezwala mu na dłuższy pobyt. Wyjeżdża więc do Poznania, gdzie dzięki dawnym przyjaźniom może poświęcić się prawie bez reszty literaturze. Publikuje dużo utworów w czasopiśmie, zwłaszcza w „Szkółce dla Dzieci” Ewarysta Estkowskiego, w tym wielce popularne wiersze: *Jak to na Mazowszu* i *Błogosławiona*. Niestety i tutaj, podobnie jak później w Berlinie, władze nie życzą sobie jego dalszego pobytu i grożą wydaleniem na teren zaboru rosyjskiego, co nieuchronnie doprowadziłoby do uwięzienia i skazania.

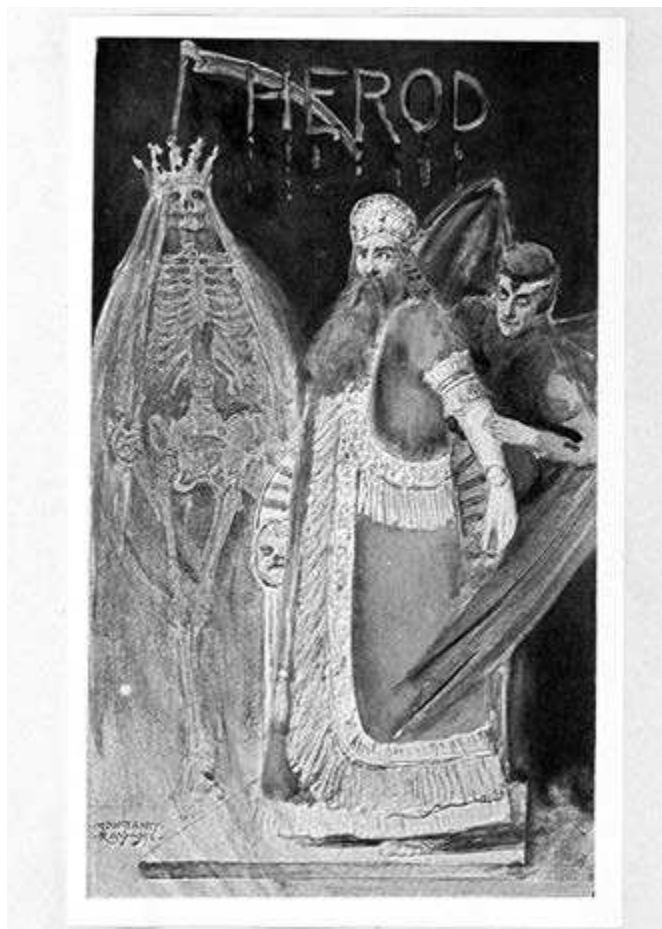
Wyrusza więc już jako emigrant polityczny do Berlina, a potem do Paryża. We Francji odnawia krajowe kontakty, m.in. z C. K. Norwidem i nawiązuje wiele nowych znajomości, głównie w środowisku literackim. Cenił sobie zwłaszcza dobre przyjęcie plonów swojej twórczości przez wieszczka narodowego Adama Mickiewicza. Cały czas pod własnym nazwiskiem lub pod pseudonimami ukazują się jego nowe tomiki poezji lub wznawiane są stare. Gruntuje to pozycję poety wśród twórców modnej fali romantyzmu.

Teofil Lenartowicz zraża się jednak coraz bardziej do czynnej działalności w stowarzyszeniach wychodźców. Konflikty i podziały wśród nich są zbyt głębokie i nadmiernie emocjonalne. Śledzi wprawdzie z zainteresowaniem ich działalność, zwłaszcza aktywność zwolenników Andrzeja Towiańskiego czy kręgu patriotyczno-religijnego skupionego wokół Zakonu Zmartwychwstańców, ale nie nawiązuje z nimi zbyt trwałych więzi i relacji. Zaangażowanie T. Lenartowicza na niwie niepodległościowej coraz częściej ogranicza się już do pisania utworów przybierających formę manifestów politycznych w rodzaju wydanego w 1856 roku wiersza *Wygnańcy do narodu*.



W tym czasie w życiu poety następują istotne przewarżościowania. Zdaje sobie sprawę, że jego dalsze „szlifowanie paryskich bruków” nie ma perspektyw. Ponadto coraz intensywniej zaczyna interesować się rzeźbą. Przenosi się w 1855 roku do Włoch. Zwiedza urokliwe zabytki Półwyspu Apenińskiego, a w Rzymie pogłębia wiedzę z zakresu rysunku, malarstwa sztalugowego i rzeźby. Przejawy oczarowania „nową ojczyzną ducha” znajdują odzwierciedlenie także w poezji.

Ostatecznie osiada na stałe w 1860 roku we Florencji, która jawi mu się, podobnie jak wielu artystom różnych nacji, prawdziwą stolicą kulturalną świata. Po latach tułaczki zapragnął też stabilizacji życiowej. Żeni się z malarką Zofią Szymanowską, przyrodną siostrą Celinny Mickiewiczowej. Życie na uchodźstwie bez perspektyw stabilizacji materialnej było dla obojga małżonków nadzwyczaj trudne. Utrzymanie się z malowania obrazów, zamówień na popiersia i pomniki, a także z honorariów za tomiki poetyckie stało się praktycznie niemożliwe. Sytuacji nie zmieniło nawet apogeum jego popularności w kraju podczas powstania styczniowego i tuż po jego zakończeniu. Literacka popularność miała zbyt nikłe przełożenie na potencjalne dochody. Killkakrotne wyjazdy poety



za przysłowiowym „chlebem” do Krakowa i Lwowa oraz żony do Poznania nie przynoszą poprawy sytuacji. Zofia Lenartowiczowa w trakcie pobytu w Wielkopolsce rozchorowała się i zmarła w 1870 roku. T. Lenartowicz popada coraz częściej w długotrwałe depresje i osamotnienie. Okres euforii twórczej przeplatający się z lękami i niemością stają się łatwiejsze do zrozumienia po zapoznaniu się ze wspomnieniami Marii z Przędzieckich Walewskiej, która wydała w Warszawie w 1930 roku książkę *Polacy w Paryżu, Florencji i Dreźnie*. Z racji dłuższego zamieszkiwania w stolicy Toskanii знаła bardzo dobrze T. Lenartowicza i ludzi, z którymi utrzymywał kontakty. Autorytatywnie można więc stwierdzić, że pogorszenie stanu zdrowia nastąpiło dopiero po śmierci malutkiego synka – Jasia. Stany frustracji pogłębiały na dodatek intrygi i niezbyt pochlebne oceny części jego utworów ze strony wytrawnych krytyków literackich w rodzaju Juliana Klaczki. W tych warunkach prawdziwym lekarstwem na skołataną duszę poety była przyjaźń z Józefem Ignacym Kraszewskim. Pisarz pomagał artyście wydawać kolejne publikacje, przyczyniając się tym samym do zapewnienia mu środków do życia. U schyłku życia T. Lenartowicz poświęcił się popularyzacji literatury polskiej. Napisał i wydał kilka książek

i esejów, z których najistotniejsze znaczenie wydaje się mieć zbiór *Listy o Adamie Mickiewiczu* (1875).

Po gonicie w 1893 roku poeta doczekał się godnego uhonorowania. Zwłoki przewieziono do kraju i po uroczystych obchodach pochowano na Skałce w Krakowie, swoistym w czasach niewoli Panteonie Narodowym. Dwa lata po śmierci wydano też w dwóch tomach jego spuściznę poetycką. Wielka niepowtarzalność poety zdaje się polegać głównie na tym, że w swej twórczości – często jednak na pograniczu banału – potrafił harmonijnie scalać prostotę ludową z subtelnym ornamentem złożonym z najszlachetniejszych dokonań narodowych i tradycją religijną. Najdobitniejszym tego przykładem zdaje się być tutaj *Złoty kubek*. Czarował on swą urodą przez całe dekady najwybitniejszych polskich poetów i pisarzy. Przypomnijmy go zatem w całości:

Złoty kubek

W szczerym polu na ustroni
Złote jabłka na jabłoni,
Złote liście pod jabłkami,
Złota kora pod liśćcami.
Aniołowie przylecieli
W porankową cichą porę:
Złote jabłka otrząsnęli,
Złote liście, złotą korę.

Nikt nie wiedział w całym świecie,
Ludzkie oczy nie widziały,
Tylko jedno małe dziecię,
Małe dziecię z chatki małej.
Pan Bóg łaskaw na sierotę,
Przyleciała znad strumyka,
Pozbierała jabłka złote,
Zawołała na złotnika:
– Złotniczeńku, zrób mi kubek,
Tylko, proszę, zrób mi ładnie.
Zamiast uszka ptasi dzióbek,
Moją matkę zrób mi na dnie,
A po brzegach naokoło
Liść przeróżny niech się świeci,
A po bokach małe sioło,
A na spodku małe dzieci.

– Ja ci zrobię złoty kubek
I uleję wszystko ładnie:
Zamiast uszka ptasi dzióbek,
Twoją matkę zrobię na dnie;
A po brzegach naokoło
Liść przeróżny się zaświeci,
A po bokach małe sioło,

A pod spodem małe dzieci.
Ale czyjeż ręce, czyje,
Będą godne tej roboty?
Ale któż się nim napije,
Komu damy kubek złoty?
Kto się w dłonie wziąć ośmieli,
W złotym denku przejrzyć lice?

– Sam Pan Jezus i anieli,
I Maryja, i dziewice.
Złotniczeńku, patrz weselej,
Czemu twoje w łzach źrenice?
Sam Pan Jezus i anieli,
I Maryja, i dziewice.

W tym miejscu godzi się wyakcentować dytamb pochwalny *Lenartowicz* zamieszczony w wydanym w 1924 roku tomiku *Różowa magia* Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej:

Lenartowicz

Złotniczeńku ty na niebie,
chcę pić życie, nie mam z czego.
Zrób mi kubek, proszę ciebie,
z szczerozłota gwiazdzistego!

Zrób mi kubek! Zrób mi kubek!
Ale, proszę, zrób mi ładnie,
wyrzeźb wszystkim w nim co lubię:
pieska, serce, gwiazdkę na dnie.

Zrób mi lekki i nieduży,
ale mocny zrób i trwały,
niech mi całą wieczność służy!
Chcę pić z niego dla twej chwały.

Otrzyj ręce twe z pozłoty,
którą złocisz świat po ciemku,
dla miłości, dla tęsknoty
uczynź kubek, Złotniczeńku.

Przeczytawszy wiersz Stefan Żeromski dodał od siebie:
O słowo skrzydlate, piękne i prawdy pełne!

Znam nie wydaną korespondencję Lenartowicza leżącą w Raperswilu, i wiem, że to określenie jest złote. W zapomnieniu, w dalekiej Florencji, w pustej rzeźbiarskiej pracowni aż do ostatniego tchnienia „złocił świat po ciemku”. W wolnej ojczyźnie uczciło jego duszę to arcydzieło nowoczesnej poezji.

Istotniejsze i ważniejsze momenty z życia T. Lenartowicza są już w zasadzie gruntownie przebadane i powszechnie znane. Przypominamy je w niniejszym eseju dla klarowniejszego ukazania jeszcze jednej karty z jego arcyciekawej biografii, pomijanej w opracowaniach lub kwitowanej zaledwie lakoniczną wzmianką. Pragniemy więc scharakteryzować losy towarzystwa o szumnej nazwie Akademia Historii i Literatury Polskiej i Słowiańskiej z siedzibą w Bolonii.

Z jej losami najdokładniej możemy zapoznać się z wnikliwego opracowania Ryszarda Kazimierza Lewańskiego, który w 1990 roku, na łamach londyńskiego czasopisma „Pamiętnik Literacki” zaprezentował artykuł poświęcony polskim instytucjom naukowym we Włoszech. Studia w Italii, zwłaszcza na uniwersytecie w Bolonii cieszyły się w czasach I Rzeczypospolitej sporą renomą i to już od czasów późnego średniowiecza i renesansu. Uzupełniały je również podróże o charakterze naukowym i artystycznym. Tak było i w XIX wieku. Sporo też osób polskiego pochodzenia ze sfer artystycznych, bogatego ziemiaństwa i duchownych zdecydowało się pozostać tam na stałe. Kręgi te poszerzała i to znacznie liczna kolonia artystów i literatów. Całość tworzyła korzystny klimat, by w czasach zniewolenia państwa polskiego manifestować swój patriotyzm i przywiązanie do idei odrodzenia się w przyszłości polskiej państwowości.

Taka okazja nadarzyła się w 1871 roku, kiedy to w Bolonii odbywał się międzynarodowy zjazd uczonych, poświęcony stanowi badań w dziedzinie antropologii i archeologii. Rozmowy rodaków, emigrantów i przebywających we Włoszech czasowo Polaków, konsultacje z przedstawicielami włoskich środowisk intelektualnych, szczerze życzliwych sprawom polskim, zaowocowały powołaniem 28 września 1878 roku w Bolonii towarzystwa naukowego, mającego zajmować się wykładami na uczelniach, badaniami naukowymi oraz promowaniem spraw polskich i słowiańskich w Europie. Miano też na uwadze wyszukiwanie poloników w muzeach, bibliotekach i zbiorach prywatnych. Formalnie na czele komitetu organizacyjnego stanął życzliwy sprawom polskim prof. Domenico Santagata z Bolonii. Na pierwszym posiedzeniu sprecyzowano założenia programowe oraz przyjęto oficjalnie nazwę: Akademia Historii i Literatury Polskiej i Słowiańskiej. Patronem, nie bez sugestii T. Lenartowicza, obrano Adama Mickiewicza. Wybór był tym prostszy, że wielu włoskim naukowcom i artystom aspirującym do członkostwa wieszcz był dobrze znany z czasów jego pobytów na Półwyspie Apenińskim. Zestaw symboli uzupełnił jeszcze znak graficzny w postaci lwa i motto: *Fiat ius e iustitia erit.*

Pierwszymi członkami nowej instytucji naukowej zostali: wspomniany już prof. Domenico Santagata, Teofil

Lenartowicz oraz inż. Wiktor Zienkowicz z Mediolanu, dr Artur Wołyński, hrabia Władysław Plater, red. Ludwik Jenike i rzeźbiarz Teodor Rygier.

Łużny związek formalno-prawny powodował, że do Akademii Historii i Literatury Polskiej i Słowiańskiej w Bolonii mogli również należeć Polacy ze wszystkich zaborów i emigracji, co uznać należy za fakt nader istotny! Towarzystwo systematycznie zwiększało liczbę członków, aczkolwiek powoli. W fazie największego rozwoju, w 1883 należało do niego ok. 70 osób. Pierwszym honorowym prezesem Akademii został prezydent miasta Bolo-
nia Carlo Pepoli, a po jego śmierci senator Cesare Correnti, który pełnił tę funkcję aż do ostatecznego przerwania jej pracy. Na uwagę zasługuje fakt, że na członków zapisali się b. prezydent Rzymu Giacomo Scovazzi, minister oświaty Guido Baccelli i wiele innych osób ze świata nauki, sztuki i polityki.

Z czasem do konfraterni przystępowali kolejni lumina-
rze włoscy, a wśród nich m.in. nowy prezydent miasta Bolo-
nia Gaetano Tacconi, rektor miejscowego uniwersytetu prof. Francesco Magni, poeta Enrico Panzacchi.

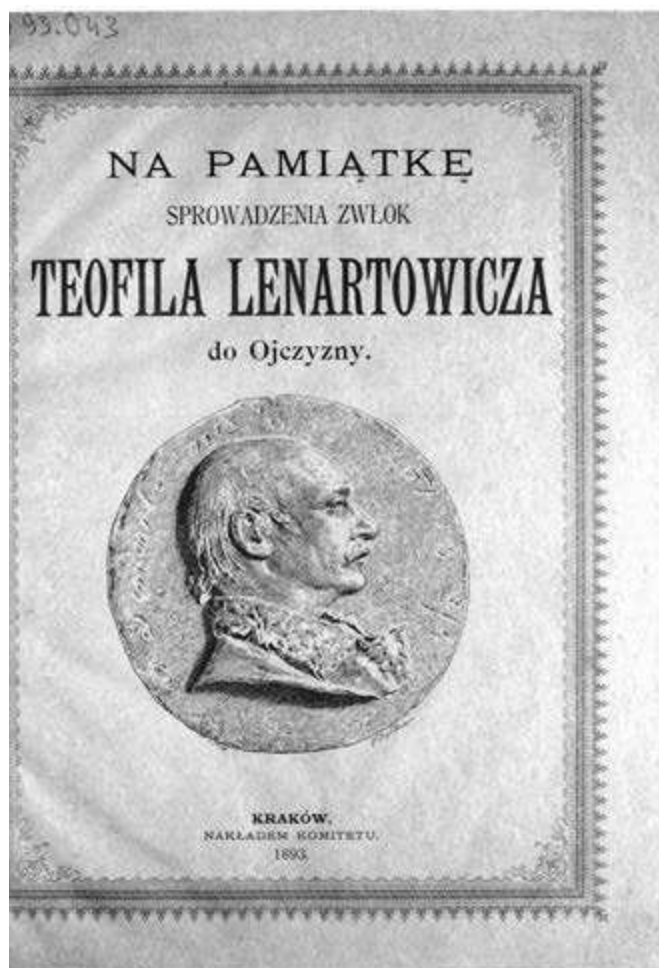
Spośród innych narodowości wspomnieć w pierw-
szej kolejności należy biskupa chorwackiego Józefa Strossmayera, znanego językoznawcę włoskiego żydow-
skiego pochodzenia Izajasza Ascoli czy osobistego sekre-
tarza Adama Mickiewicza Armanda Levy.

Jeszcze godniejszy wydaje się być poczet Polaków, rze-
czywistych członków Akademii. Wspomnę zaledwie kil-
ku: Władysława Mickiewicza – syna wieszczki, pisarza Jó-
zefa I. Kraszewskiego, malarza Henryka Siemiradzkiego
czy prezesa krakowskiej Akademii Umiejętności Józefa
Majera.

Zasadniczy wpływ na kształtowanie oblicza ideowego Akademii miały osobiste pasje T. Lenartowicza, a zwię-
sza tematyka jego wykładów prowadzonych w latach
1879–1883 na uniwersytecie w Bolonii. Problemy naro-
dów słowiańskich, historia ich literatur, kwestie zniewo-
lenia i uciemiężenia, znajdowały żywy oddźwięk wśród
młodzieży akademickiej i profesorów. Poetę uhonorowa-
no nawet tytułem profesorskim i włoskim odznaczeniem
państwowym.

Zwieńczenie dorobku akademickiego T. Lenartowicza
miało miejsce w 1886 roku, kiedy zostały wydane wykłady
w formie skryptu: *Sul carattere poesia polono-slava*.

Trzeba dobitnie podkreślić, że nikt z grona założycieli
nie interesował się tak mocno losem wspólnoty słowiań-
skiej jak T. Lenartowicz. Bliska mu była ta problematy-
ka już w trakcie pobytu w Dreźnie i powtórnym nawią-
zaniu znajomości z Romanem Zmorskim, znanym mu
jeszcze z czasów kontaktów ze środowiskiem Cyganerii
Warszawskiej. Obaj poeci czuli się silnie związani z ideami



panslawizmu, zwłaszcza w wersji, której Polacy odgry-
wać mieli rolę zwornika jednoczącego pozostałe narody
słowiańskie.

Dość wspomnieć, że R. Zmorski przebywając na Łu-
życach, wydawał nawet w Budziszynie dla Serbów Łu-
życkich pismo „Stadło”, a później w Serbii jednał naro-
dy bałkańskie do wspólnej walki z carskim imperium.
Podobnie romantyczne wizje miał T. Lenartowicz, które
najwyraźniej znalazły swe odzwierciedlenie w poema-
cie *Gladiatorzy*, wydanym w Paryżu w 1857 roku. Uka-
zanie rzeczywistego wysiłku T. Lenartowicza w powoła-
nie i profil ideowy Akademii jest konieczne, bowiem bez
jego znakomitego rozeznania i kontaktów z intelektuali-
stami we wszystkich trzech zaborach, środowiskach emi-
gracyjnych, krajach słowiańskich na Bałkanach, wreszcie
serdecznych więzi z artystami i naukowcami włoskimi,
zawiązanie tak uniwersalnie pomyślanego towarzystwa,
posiadającego członków i sympatyków w całej bez mała
Europie, byłoby niemożliwe. Utyskiwanie części rodaków
na jego stan zdrowia czy brak wykształcenia na pozio-
mie wyższych studiów, nie powinno mieć żadnego zna-
czenia. Renoma artysty rzeźbiarza i autentyczne uznanie →

jako poety w tak licznym gronie miłośników poezji były wręcz już autentyczną rękojmią do prowadzenia wykładów na wyższej uczelni. Poeta liczył bowiem, że staną się one zresztą obligatoryjną częścią programu studiów akademickich i znaczącym elementem w strukturze naukowej konfraterni w postaci Akademii. Stało się jednak inaczej, a intrygi części członków wywodzących się spośród polskich wychodźców, doprowadziły pośrednio do zaniechania wykładów o tematyce polskiej i słowiańskiej oraz do osiągnięcia stanu, w którym konfraternia zbyt często miewała długie okresy letargu.

Powołanie omawianego towarzystwa naukowego w Bolonii miało miejsce w atmosferze dużego entuzjazmu młodzieży akademickiej i części profesorów. Główny pomysłodawca, prof. D. Santagata, już podczas studiów chemicznych w Paryżu, utwierdził się w przekonaniu o wadze spraw polskich i słowiańskich w wolnej i demokratycznej Europie. Stąd też jako wolny słuchacz uczęszczał na wykłady Adama Mickiewicza w College de France. Pracując już w Bolonii stale podtrzymywał kontakty z przedstawicielami emigracji polskiej i szczęśliwie doprowadził do oficjalnego powołania nowego towarzystwa naukowego. W praktyce nic się jednak w tej materii nie działo aż do czasu wykładu T. Lenartowicza o Adamie Mickiewiczu w dniu 3 czerwca 1879 roku. Z istotniejszych wydarzeń tamtych lat na uwagę, poza wykładami Lirnika mazowieckiego, na wzmiankę zasługują jeszcze obchody 25-lecia śmierci A. Mickiewicza, ukoronowane poświęceniem w dniu 28 listopada 1880 roku tablicy na domu, w którym mieszkał poeta podczas pobytu w Bolonii. W 1879 roku obchodzono uroczyste w Krakowie 50. rocznicę pracy twórczej J. I. Kraszewskiego. W uroczystościach tych wzięła udział oficjalna delegacja Akademii. Podobne przypadki zaistniały jeszcze kilkakrotnie.

Z innych form działalności na uwagę zasługują jeszcze dwa odczyty w Bolonii w 1884 roku dziennikarza Stefana Buszczyńskiego z Kijowa. Wielkim wydarzeniem w dziejach konfraterni było oficjalne nadanie jej w 1889 roku, dekretem królewskim statusu instytucji użyteczności publicznej.

Wkrótce śmierć jej najbardziej aktywnych członków, Teofila Lenartowicza i dr. Artura Wołyńskiego, oraz sędziwy wiek Domenico Santagaty doprowadziły do „uśpienia” na całe lata szlachetnej idei. Pewien obiektywny wpływ na taki stan miała też polityka rządu włoskiego wyciszająca w społeczeństwie propolski entuzjazm. W ostatnich latach życia D. Santagaty (zmarł w 1901 r. w wieku 90 lat) próbę ratowania pożytecznej placówki naukowej podejmuje rodzina Benedykta Dezyderego Olszewskiego, byłego uczestnika walk o wolność Włoch w szeregach wojsk Giuseppe Garibaldiego. Jego żona Michalina opiekowała

się bogatą spuścizną po Akademii. Pozostało bowiem po niej ok. 750 książek i ponad 500 broszur pochodzących z darów jej członków Akademii Umiejętności. Opracowania wymagała również oficjalna korespondencja placówki.

Dzięki staraniom M. Olszewskiej i jej syna Witolda przekazano co cenniejsze pozycje do biblioteki miejskiej. Reszta uległa rozproszeniu lub zniszczeniu w czasie działań wojennych, w trakcie wyzwolenia Bolonii przez 2. korpus gen. W. Andersa w 1945 roku.

Piękna formuła i idea bolońskiej Akademii Historii i Literatury Polskiej i Słowiańskiej z trudem, bo z trudem, ale przetrwała w pamięci naukowców i społeczników interesujących się problematyką polskiej emigracji.

To wielka zasługa Teofila Lenartowicza, że jego pomysł na oryginalne bractwo naukowe czy konfraternię o charakterze literacko-artystycznym przetrzymał próbę czasu.

Druga odsłona działalności bolońskiej Akademii zaczęła się w 1973 roku, dzięki zabiegom i pasji prof. Ryszarda Kazimierza Lewańskiego. Jego drogę życiową w pełni ukazała Hanna Szwankowska we wspomnieniach pośmiertnych, które zamieściła w emigracyjnym Dzienniku Polskim w numerze z 30 lipca 1996 roku.

Przywołała w nich kilka mniej znanych zdarzeń i faktów z życia profesora, który w całości podporządkował je promowaniu dobrego imienia Polski.

R. K. Lewański urodził się w Warszawie w rodzinie ewangelickiej. Studia historyczne w Uniwersytecie Warszawskim przerwał mu wybuch II wojny światowej. Zaciągnął się do wojska i po perypetiach w niewoli rosyjskiej wstąpił w szeregi 5. Dywizji Kresowej Piechoty, z którą odbył szlak wojenny poprzez Iran, Bliski Wschód aż do Włoch. Brał udział w wyzwoleniu Bolonii i do tego miasta powrócił po zakończeniu działań bojowych. Ukończył tam studia, zrobił doktorat i był przez pewien czas lektorem języka polskiego.

Trudne warunki życia we Włoszech zmusiły go w 1950 roku do wyjazdu, wraz z żoną i synkiem, do Stanów Zjednoczonych. Pracował tam m.in. jako zastępca kierownika zbiorów słowiańskich Biblioteki Publicznej w Nowym Jorku. Wykładał też na kilku uniwersytetach literaturę polską i czeską.

Po wielu latach powrócił do Włoch, by zrealizować najważniejsze dzieło w swej naukowej karierze. Postanowił bowiem reaktywować dzieło T. Lenartowicza. Odszukał dawny statut i herb Akademii i zaczął jednać dla idei polsko-słowiańskich innych uczonych oraz pisarzy i artystów. Odrodzona konfraternia niestety, podobnie jak i poprzedniczka skończyła swój żywot wraz ze śmiercią jej odnowiciela w 1996 roku. Instytucja była de facto całkowicie nowa i poza nazwą nie miała żadnych powiązań ze swoją nobliwą poprzedniczką. Łączyć je miały, w zamyśle



TEATR MAŁY
 BITWA RAĆLAWICKA
 TEOFIŁA LENARTOWICZA
 OSTATNIE CHWILE KOŚCIUSZKI
 OBRAZ HISTORYCZNY W 1-ym AKCIE I. OSTOJ I ŚLĄNICKIEGO
 UROCZYSTE PRZEDSTAWIENIE W ŚMIAŃ ROKNICZĄ ZGONU
 TADEUSZA KOŚCIUSZKI

profesora Lewańskiego podobne cele statutowe i formy działalności.

Tak więc jej nowi członkowie reprezentowali ją często na kongresach i sympozjach naukowych, zwłaszcza poświęconych sprawom polonijnym. Stąd czynny udział w zjazdach naukowców zajmujących się kwestiami migracji i wychodźstwa w Krakowie w 1973 i 1988 roku czy Kongresie Kultury Polskiej w Londynie w 1985 roku. Prof. R. K. Lewański starał się systematycznie robić kwerendy archiwalne i biblioteczne, bywać w antykwariatach i śledzić losy wszystkich publikacji dotyczących spraw polskich. Informował o odnalezionych inkunabułach i białych krukach krajowe uczelnie i naukowców. Pod auspicjami Biblioteki Narodowej w Warszawie wydał nawet w 1978 roku cenny sumariusz Polonica rękopiśmienne w archiwach i bibliotekach włoskich.

Za sukces z tej dziedziny można też uznać zainicjowanie w 1982 roku serii wydawniczej Studia Italo-Polonica, realizowanej wspólnie z Uniwersytetem Jagiellońskim w Krakowie oraz wydanie, z pomocą narodowego archiwum i biblioteki w Zagrzebiu, dokumentacji obrazującej

działalność Kolegium Węgiersko-Ilyryjskiego w Bolonii w latach 1553–1764. Na przestrzeni ponad 20 lat funkcjonowania Akademii, dzięki osobistym staraniom prof. R. K. Lewańskiego do muzeów, archiwów i bibliotek polskich została przekazana znaczna liczba materiałów mających istotne znaczenie dla kultury polskiej.

Za szczególnie cenne uznać należy odszukanie i zrobienie fotokopii dwóch nieznanych utworów poetyckich Teofila Lenartowicza oraz przekazanie do zbiorów Biblioteki Narodowej magazynu oficyny wydawniczej Samuela Tyszkiewicza z Florencji.

Kończąc przegląd dokonań drugiej odsłony Akademii przypomnieć należy zorganizowanie uroczystości w stulecie jej założenia. Obchody odbyły się w sali im. F. Chopina na wydziale Muzykologii Uniwersytetu Bolońskiego. Towarzyszyła nim obszerna wystawa poloników i odsłonięcie tablicy pamiątkowej na gmachu, w którym mieściła się pierwsza siedziba Akademii.

Ostatnia próba reaktywacji Akademii w kształcie i założeniach przypominająca nobliwe poprzedniczki miała miejsce w 2002 roku. Mając w pamięci kontakty osobiste i listowne z prof. R. K. Lewańskim, po konsultacjach z działaczami środowisk emigracyjnych podjąłem się reaktywowania konfraterni.

Miałem bowiem świadomość, że mogę racjonalnie spożytkować swoje doświadczenia wyniesione z uczelni, gdzie zajmowałem się m.in. badaniem aktywności skupisk polonijnych we Włoszech oraz z lat 1993–1997, kiedy piastowałem jako senator funkcję przewodniczącego Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą. Statut odnowionej po raz kolejny Akademii Historii i Literatury Polskiej i Słowiańskiej im. Adama Mickiewicza został przyjęty w dniu 28 września 2002 roku, po konsultacjach z uznanymi autorytetami naukowymi z różnych dyscyplin naukowych i artystycznych.

Wynika z niego, że Akademia powinna posiadać 44 członków. Pierwszy skład został powołany przez zarząd Fundacji Willa Polonia. Uwzględniono przy tym zasadę, że przyjęci uprzednio członkowie przedstawiali kandydatów, którzy ich zdaniem zasługują na tytułowe członkostwo.

Władze Akademii, w osobach prezesa i trzech wiceprezesów, zostaną oficjalnie wybrane przez ogół członków dopiero w trakcie przygotowań do 220. rocznicy urodzin patrona Akademii. Będą je mieli prawo wybierać wszyscy członkowie. Mogą nim zostać naukowcy legitymujący się co najmniej tytułem doktora oraz twórcy posiadający uznany i honorowany przez środowisko dorobek literacki i artystyczny. Przyjęto również zasadę, że tytułarną siedzibą Akademii zostanie miasto Bolonia, a rzeczywistą miasto Lublin.

Uroczystości wręczenia aktów odbywały się kilkakrotnie przy okazji różnych imprez głównie w środowiskach emigracyjnych. Pierwsze z nich wręczone zostały w Ambasadzie RP przy Watykanie podczas VII Międzynarodowego Sympozjum Biografistyki Polonijnej – „Duchowieństwo polskie w świecie. Historia i współczesność”, które miało miejsce w Rzymie w dniu 17 października 2002 roku.

Działalność statutową zainaugurowano uroczystym koncertem organowym „Papież Słowianin – zwiastun nadziei” w kościele farnym w Kazimierzu Dolnym w dniu 12 czerwca 2002 roku. Starano się w ten sposób upamiętnić więź Jana Pawła II z ziemią ojczystą oraz symbolicznie nawiązać do idei przewodniej, pierwszej Akademii Historii i Literatury Polskiej i Słowiańskiej w Bolonii.

Koncerty z tego cyklu odbywają się od tamtego czasu co roku w różnych miastach, najczęściej w Lublinie. Konfraternia wydała też dwie pozycje książkowe. W serii *Ex oriente lux* ukazały się wiersze dwóch członków: Juliana Kawalca *Kochaj mnie za nic* (2002) i Mieczysława Paszkiewicza *Wiersze z Gusen – pegaz w obozie zagłady* (2007).

Spośród wielu członków rzeczywistych obecnej, trzeciej już odsłony Akademii wymienić pragnę tutaj jedynie trzech, zmarłych już członków.

W pierwszej kolejności – w stulecie urodzin – Jerzego Pietrkiewicza, wspaniałego poetę i prozaika tworzącego swe powieści i opowiadania w języku angielskim. Profesor będąc w latach 1950–1979 wykładowcą i kierownikiem Departamentu Języków i Literatur Słowiańskich w Uniwersytecie Londyńskim poczynił wielkie zasługi dla promocji kultury polskiej w świecie, w tym jako tłumacz wielu pomnikowych dzieł literatury polskiej na język angielski.

Uczony zaszczycał mnie przez wiele lat swą życzliwością i przyjaźnią. Z radością przyjął nagrodę *Ex oriente lux* Fundacji Willa Polonia. Satyryczny rysunek ofiarowany mu z tej okazji zawisł na stałe w sali Biblioteki Polskiej w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym w Londynie. W stolicy Anglii zmarł również w 2005 roku prof. Józef Garliński wieloletni prezes Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Pisarz był wziętym historykiem i z tej dziedziny stworzył wiele interesujących i wartościowych prac. Rozgłos byłemu więźniowi Pawiaka i Oświęcimia przyniosła książka o życiu i konspiracji więźniów w byłym niemieckim obozie śmierci w Auschwitz. Członkostwo Akademii przyjął w 2003 roku.

W 2004 roku zmarł inny członek reaktywowanej Akademii prof. Mieczysław Paszkiewicz, wieloletni dziekan Wydziału Humanistycznego Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie w Londynie. Ten prawdziwy koneser sztuki

KOŁO ARTYSTYCZNO-LITERACKIE
W KRAKOWIE. *2 maja - piaski program - koncert*

W Niedzielę d. 11 Czerwca 1893 r.
odbędzie się

W SALI „SOKOŁA”
UROCZYSTÉ
ZEBRANIE

ku uczczeniu
Ś. P. TEOFILA LENARTOWICZA
z łaskawym współudziałem

panny Tekli TRAPSZÓWNEJ, pp. prof. Boł. DOMANIEWSKIEGO, Juliana JEROMINA, artysty opery lwowskiej, p. Edmunda RYGIERA, prof. Jana GALLA, Chóru męskiego Tow. Muzycznego, pod kierunkiem p. dyr. Wiktora BARABASZA.

PROGRAM:

1. CHOPIN	Zapowiedź i ścieżka wstępna. a) Marsz andeoty „S. p. J. J.” b) Polona c) Polona d) Polona	2. DOMANIEWSKI	a) Sonata b) Sonata
3. GALL	a) Znaczenie kodowego b) Pios. żołnierska c) Pios. żołnierska d) Pios. żołnierska	3. MICHUSKO MUNCHEIMER	a) Kawałki b) Czwórka krzyżak c) Czwórka krzyżak d) Czwórka krzyżak
4. LENARTOWICZ	a) Pios. żołnierska b) Pios. żołnierska c) Pios. żołnierska d) Pios. żołnierska	4. LENARTOWICZ	a) Pios. żołnierska b) Pios. żołnierska c) Pios. żołnierska d) Pios. żołnierska

Początek o godzinie 5 popołudniu.

CENY MIEJSC: Krzesło 1 zlr. — Wstęp na Salę 30 ct.
Bilety są do nabycia w Księgarni p. S. A. KRZYŻANOWSKIEGO i przy wejściu do Sali.

Wstępniaka honorowego: Mieczysław Paszkiewicz, p. Wiktor Barabasz i Mieczysław Paszkiewicz.

aktywnie współdziałał z innymi członkami konfraterni przy okazji sympozjów i sesji naukowych.

Pod koniec życia M. Paszkiewicz kierował również Związkiem Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Fundacja Willa Polonia, przy której afiliowana jest Akademia uczciła jego zasługi w 2012 roku, okolicznościową tablicą umieszczoną w murze dzwonnicy kościoła św. Salomei w Zawichoście.

Podsumowując działalność Akademii Historii i Literatury Polskiej i Słowiańskiej im. A. Mickiewicza w Bolonii, jak również kolejnych jej kontynuaterek stwierdzić należy, że nie przejawiały one nadmiernej aktywności. Wszystkie skupiały się na promocji nauki i kultury polskiej w świecie. Udział w sesjach naukowych, rocznicowych uroczystościach czy okazjonalnych koncertach nie uczynił z żadnej znanej i stabilnej instytucji.

Tego typu towarzystwa naukowo-kulturalne silne były zawsze osiągnięciami swych członków i tutaj rolę omawianych konfraterni można uznać za pożyteczną i spełnioną do końca.

Miasteczko aniołów

Nie wszyscy zapewne czytelnicy wielkiego cyklu powieściowego Ewy Szelburg-Zarembiny, zatytułowanego *Rzeka kłamstwa*, w miejscowości oznaczonej nazwą Żeleźno – rozpoznają Nałęczów. Jeśli tak, to lektura poszczególnych ogniw cyklu będzie zgodna z intencją autorki, która pragnęła materiał wspomnieniowy uczynić tworzywem literackim, pisząc powieści, a nie pamiętnik. Oczywiście – miała do tego jako pisarka całkowite prawo, dając miejscowościom inne nazwy, a ludziom nowe imiona i nazwiska.

Dociekliwemu i lepiej obeznanemu z biografią autorki czytelnikowi wolno jednak uchylić zasłon fikcji, postawionych ręką twórcy. Może sobie bowiem kojarzyć sceny, sytuacje czy postacie, spotykane w powieści, z ich wersją o reportażowym niemal ujęciu, czy też z przekazem wspomnieniowym, a więc o wysokim stopniu wiarygodności. W wydanej niedawno książce o wspomnieniowym charakterze, zatytułowanej *Zawiłości prostej drogi*, Ewa Szelburg-Zarembina potwierdziła wprost, iż Joanna, główna bohaterka cyklu *Rzeka kłamstwa*, stanowi literacki portret jej matki. Jeśli więc Kaj i Joanna Gozdawowie noszą rysy rodziców bohaterki, to ich córka – Salomea, Salusia, Mea – zawiera autoportret pisarki. Żeleźno jest więc artystycznym obrazem dawnego Nałęczowa, Karpin – Lublin, a i inne miejscowości bez trudu można by rozpoznawać.

Uczynić trzeba jednak od razu zastrzeżenie, że nie chodzi nam tu o rekonstrukcję biografii autorki, ani też o odtwarzanie w oparciu o powieści Szelburg-Zarembiny historii Nałęczowa z okresu przed pierwszą wojną światową. Intencją tego szkicu jest natomiast ukazanie, w jaki sposób dawny Nałęczów, jego ludzie i sprawy, stał się tworzywem powieści, jak – innymi słowy – rzeczywistość historyczna przekształcała się w rzeczywistość artystyczną.

Autorka *Wędrówki Joanny* i *Ludzi z wosku* urodziła się w Bronowicach pod Puławami, ale od wczesnego dzieciństwa mieszkała już z rodzicami w Nałęczowie. Ojciec jej, Antoni Szelburg, był przez jakiś czas ogrodnikiem w majątku Michała Górskiego (mieszkał wtedy z rodziną w dworskich zabudowaniach), później natomiast pracował przez wiele lat jako kasjer w nałęczowskiej spółdzielni



„Oszczędność”, za niewielkie zresztą wynagrodzenie. Matka pisarki Elżbieta z Kałużyńskich, zajmowała się krawiectwem i to była jedna z podstaw trudnej egzystencji rodziny Szelburgów. Rodzice autorki *Ludzi z wosku*, choć przybysze z zewnątrz, zrosli się z miejscową ludnością bardzo szybko. Odtąd należeli oni do tych, którzy Nałęczów uznali za swoje prawdziwe miejsce. Przy tym był to Nałęczów inny, nie ten – zakładu leczniczego, pałacu, dworu, możny i pełen wielkoświatowego blasku, lecz Nałęczów proletariacki, wyrobniczy, służebny wobec tamtego, „nizinny”.

Dla przyszłej pisarki cały Nałęczów był już j e j miejscem na ziemi, zarówno ten najbliższy i codzienny, ubogi i prosty, jak i ten „wielki”, związany z dworem, willami i zakładem leczniczym, z sezonowym gwarem i zabawami przyjezdnych gości.

Ewa Szelburg już od dzieciństwa stykała się ze sprawami, jakie się tu działy, oczyma dziecka oglądała wydarzenia, które przeszły później do legendy Nałęczowa. Wśród dziecięcych wspomnień zostało też przedstawienie *Dziadów*, oglądane z matką w szopie na Palubach. Z biegiem lat przyszła autorka – przygotowując się choćby do szkoły i korzystając z nauki prywatnej – zbliżała się do ludzi z „góry” nałęczowskiej. Więcej – stykała się już z pisarzami, którzy tu przyjeżdżali na letni wypoczynek. Jest w *Miasteczku aniołów* fragment, gdzie Salomea, na widok dzieci wracających ze szkoły, odnawia przeżycia własnego dzieciństwa:

„Będąc w ich wieku przeżywała głęboko widok Zofii Urbanowskiej siadującej nad rękopisem na cienistej werandzie letniska... spotkania w alejach zdrojowego parku z żartobliwym panem Prusem... recytowanie Orotowskich wierszy Or-Otowi schylającemu się do dziecka, by je lepiej słyszeć...”

Salomea – pamiętajmy – jest literackim autoportretem pisarki, zresztą wspomnienia Ewy Szelburg-Zarembiny potwierdzają prawdziwość tego przekazu. Jest coś symbolicznego w fakcie, że jedna z wybitnych pisarek dla dzieci i młodzieży w XX wieku zetknęła się w Nałęczowie z autorką *Księżniczki*, najlepszej polskiej książki dla młodzieży w XIX wieku.

Ale chyba nie te spotkania zadecydowały o wyborze pisarskiej drogi przez Ewę Szelburg. Na decyzję tę miały bardziej bezpośredni wpływ inne fakty. Najpierw tradycja domowa, gdzie – za sprawą matki – można było mówić o kulcie Mickiewicza. Tanie tomiki jego poezji, przechowywane na dnie kuferka, dostarczyły pierwszych, ale niezapomnianych czytelniczych przeżyć. Później świat książek gwałtownie się rozszerzył, a to za sprawą biblioteki zakładowej, mieszczącej się w pałacu, będącej przez wiele lat królestwem Felicji Sulikowskiej, kasjerki zakładu. W gawędzie o Wiktorze Hugo przywołała pisarka jedno z dawnych swoich wspomnień: „W jej matki domu, a więc w domu ojca i moim, niedziela jest teraz dniem samotności we troje, dniem lampy (nie lampki!) i książki. Książki przygotowanej zawczasu w sobotę”.

Opisy i wspomnienia tych odwiedzin powracają wielokrotnie w różnych ogniwach powieściowego cyklu *Rzeka kłamstwa*. Można już na początku tego szkicu powiedzieć, iż Nałęczów stał się centralnym tematem utworów Ewy Szelburg-Zarembiny. Jego krajobraz przetwarzała wielokrotnie, stąd brała pierwowzory wielu postaci, a wiele z nich ma nawet nazwiska do dziś w Nałęczowie spotykane: Gibuła, Kucaba, Rejmak, Sygnowski.

Jedno z pierwszych jego ujęć spotykamy już w powieści *Chusta Weroniki*. Bohaterka jej porusza się w przestrzeni, w której rozpoznajemy rysy krajobrazu nałęczowskiego:

„Nika szła po trawie, brzegiem wjazdowej alei. Aleja była zupełnie pusta. Cień wielkich lip, zazwyczaj rozpięty w powietrzu po to, by osłaniać błyszczące pojazdy, spadał teraz wprost na ziemię. Brama wjazdowa była zamknięta”. Jesteśmy już bowiem w porze jesiennej, po sezonie. Widok stawu, wokół którego niedawno tętniło życie i przetaczał się gwar głosów, teraz przedstawia obraz opuszczenia:

„Nika skręca teraz na prawo i schodzi w dół. Przyszła nad staw. Stała i patrzy: znikł obraz nieba z chmurkami, który tu zawsze pływał na płask po wodzie. Woda opadła aż na dno muliste. Obnażyło się wnętrze stawu, chore, wzdęte błotnymi gazami, poprzerastane zielonkawymi błonami, żyłami sinymi, pełne rzeczy gnijących.

Na zaskorupiałym brzegu leżą równym rzędkiem wyciągnięte z wody łódki. Przewrócone tak do góry dnem, dziwnie są krótkie i wyglądają zupełnie jak śnięte ryby o białawych, rozdętych brzuchach.

Nika odeszła prędko.

Nie ogląda się już ani na pusty domek łabędzi pod zielonymi jeszcze wierzbami, ani na altanę orkiestry, szczerzącą spróchniały rząd ławek z wysepki pośrodku stawu”.

Czytelnik towarzyszy bohaterce do źródła, gdzie przez pasczę lwa płynie „uzdrowiający strumień”. Już w tej powieści zarysowuje się, na razie dyskretnie, przeciwstawienie ludzi tutejszych, miejscowych i – przybyszów z zewnątrz.

Dotychczasowa tradycja literacka zapamiętała i przekazała wizerunek tylko jednego Nałęczowa: owej „góry” związanej z zakładem leczniczym, gości z zewnątrz przybywających. Tylko wspomnienia mówiące o Faustynie Morzyckiej i Stefanie Żeromskim napomykały, że istniał jeszcze drugi Nałęczów, nie arystokratyczny czy inteligentki, ale ludowy i rzemieślniczy, wyrobniczy i słuźebny. Między tymi dwoma społecznościami istniał, jeśli nie jawny konflikt, to przynajmniej poczucie wzajemnej obecności i przekonanie o sprzeczności interesów. W *Miasteczku aniołów* czytamy:

„Dla ludzi przybywających z różnych stron kraju Żeleźno było miejscem trwającego bez przerwy lata.

Ich oczy cieszyła najpiękniejsza zieleń wspaniałych wieloletnich drzew, rozsiadłych gajami po wzgórzach, a także wszelkie odcienie zieleni różnorodnych krzewów kędzierzawymi falami zapełniających głębokie, kręte parowy, wijące się wśród wzgórz. [...] Toteż tę miejscowość tak bliską Karpina, a niezbyt oddaloną od Warszawy cenili oni sobie za smak słonecznej pogody, miodu w plasterkach, gruszek i renklod od miodu słodszych, słynnego na cały kraj pieczywa, świeżutkich, o południowym słońcu zbieranych poziomek, wreszcie – leczniczej wody



żelazistej i szczególnie za najcenniejszy smak wypoczynku, który był esencją wszystkich tych smaków”.

Wszystko więc, co w Żeleźnie było najlepszego, służyło ludziom obcym, bogatym i wyniosłym. A co pozostawało dla tych, co przywiązani byli do tego miejsca przez cały czas, przez całe swoje życie?

„Dla reszty ludzi poza kuracjuszami – mówi narrator powieści – to znaczy dla swoich stałych mieszkańców, którym nigdy na myśl nie przyszło korzystać z szeroko reklamowanych zalet i dobrodziejstw Zakładu Leczniczego nie tylko przy «ogólnym nerwowym osłabieniu i wyczerpaniu», ale i w rzeczywistej chorobie – Żeleźno miało i długotrwałe deszcze, i przepaściste błoto, i mróz trzaskający, i zadymki śnieżne, i ową najtrudniejszą do zniesienia pustkę między porami roku, w której tylko wiatr gwiżdże i tańczy. [...] A przecież nie kuracjusze znajdujący tu doroczną rozrywkę i wytchnienie, ale oni – wyrobnicy fizyczni i umysłowi, związani z Żeleźnem zarabianiem w pocie czoła na chleb powszedni, znali rzeczywisty urok tego miejsca i cenili je rzetelnie”.

Na tych stronach powieści autorka pod nazwą Żeleźna dokonała niezwykle dokładnej analizy socjologicznej rzeczywistego Nałęczowa sprzed pierwszej wojny światowej. „Góra” Żeleźna była też zróżnicowana, bowiem świat właścicieli willi tworzyli ludzie „wzbogaceni pochodzenia miejskiego i zubożali, pochodzenia ziemiańskiego”. Średnia warstwa nie stanowiła też zbiorowości jednolitej.

Jedną z grup tworzyli lekarze, aptekarz i urzędnicy administracyjni, inna obejmowała nauczycieli różnych instytucji oświatowych, kupca, felczera, właściciela restauracji oraz najbardziej szanowanych rzemieślników. Na dole społeczności żelezieńskiej znajdowali się „niżsi funkcjonariusze zakładowi, niżsi pracownicy poczty, duża reszta rzemieślników, wyrobników, okolicznych małych rolnych chłopów, dorabiających furmanieniem, wszelkiego rodzaju usługami, pośrednictwem”. Proboszcz i organista znajdowali się poza tymi układami. W przekonaniu narratora w *Miasteczku aniołów* tylko „góra” przestrzegła ściśle swojej odrębności, natomiast granice innych pozostawały w ruchu: „Talerze wagi, na jakich stała ta czy owa rodzina, chwiały się i często szło w górę, co było na dole, a co było w górze, opadało w dół”. Jeśli uwidaczniały się różnice między poszczególnymi grupami ludzi zamieszkującymi Żeleźno, to tym bardziej dawały one o sobie znać, gdy chodziło o przyjezdnych: „Zacieranie istotnych różnic między trybem życia przyjezdnych na krótki czas gości a stałych mieszkańek nie jest w zwyczaju Żeleźna”.

Powieściowy cykl Ewy Szelburg-Zarembiny ukazuje – pod nazwą Żeleźna – topografię prawdziwego Nałęczowa i jego ludzi, a także, niemal z dokładnością przewodnika, przedstawia jego historię, poczynając od wskrzeszenia zakładu leczniczego przez słynną trójkę lekarzy. Topografia Nałęczowa i najbliższej okolicy pojawia się w swoim rzeczywistym wyglądzie:

„Lasy.

Niby znała Salusia lasy i – nie znała. Bo czy to były naprawdę lasy, te w Żeleźnie, które nazywały się: Chłopski Las, Dworski Las, Zakładowy Las, Za parowem, Wąwozy, Gaje Młynarzowe, lub dalsze, noszące nazwy od wsi, do których należały. Wszystko to były niewielkie zdrzewione kawałki ziemi, jakie w jeden dzień obejść można było wszystkie, a w dwie, w pięć godzin każdy z osobna przemierzyć”.

Z książkami Ewy Szelburg-Zarembiny można odbywać spacerów po Nałęczowie, a liczne ich fragmenty traktować niemal jak informacje przewodnika. Wielokrotnie opisuje autorka kościelne wzgórze i sam kościół w Bochothnicy (trzeba jednak pamiętać, iż po przebudowie w latach powojennych bryła i wnętrze tego obiektu zmieniły swój wygląd), Aleję Lipową, Wąwozy, park... Inne fragmenty dawnego Nałęczowa także będą się różnić od ich kształtu obecnego. Oto obraz dawnej Góry Krzyżowej, dzisiejszego Jabłuszka:

„Nad śpiewającym wzgórzem jaśniej głębokie wieczorne niebo. Księżyc stoi na niebie. W rzadkim wysokopiennym lesie widno od księżyca.

Kapliczka leśna jest niewielka. Polanka, na której stoi kapliczka, jest najmniejszą z polanek”. Niestety piękny, stary las sosnowy, porastający Jabłuszko, przestał istnieć tuż po ostatniej wojnie.

Natomiast niezwykle dokładnie przedstawiła autorka kaplicę przy Armatniej Górze, projektowaną przez Jana Witkiewicza, a fundowaną przez doktorową Benniową. Oto fragment jej poświęcony:

„W Żeleźnie była kaplica, która stała się ulubioną dla całej okolicy. Projektował ją (rzecz znamienita dla Żeleźna) architekt, człowiek młody, przedsiębiorczy, z przekonania socjalista, traktujący to zamówienie jako nadarzącą się sposobność ukazania zacofanej prowincji tonącej w powodzi pseudoszwajcarskich szaleństw i tyrolskich gospód – nowego stylu, stylu polskiego, narodowego... zakopiańszczyzny wchodzącej w modę wśród burzliwych dyskusji artystów i publicystów trzech zaborów.

[...] kapliczka ta, w kształcie góralskiej chaty, okapista, z grubych modrzewiowych tramów, zamiast okien mająca obrazy na szkle malowane, stanęła na wzgórzu w lesie, odosobniona, nad otoczeniem górująca, niezwykła”.

Na kartach cyklu powieściowego Ewy Szelburg-Zarembiny utrwalony został Nałęczów ze swoim krajobrazem, jego ludźmi i bogatym życiem społecznym. Ukazano tam pracę zwykłych ludzi i ich zabawy, majówki, festyny, koncerty, przedstawienia, wiosłowanie na parkowym stawie...

W *Miasteczku aniołów* została obszernie opowiedziana historia doktora Laskowskiego, w którym bez trudu

rozpoznamy osobę Wacława Lasockiego, jednego ze wskrzesicieli nałęczowskiego zakładu leczniczego.

„To on – czytamy w powieści – z kolegą z dawnych lat akademickich, również lekarzem balneologiem, drem Fortunatem Starzyckim, przed kilkunastu laty zwrócili niebezinteresowną uwagę na znajdujące się w wielkim zaniedbaniu, znane ongiś, centralnie położone uzdrowisko.

Zostali pierwszymi jego nowoczesnymi organizatorami. Akcjonariuszami także. Gdyż za ich obu staraniem powstałe towarzystwo akcyjne odkupiło miejscowość od prywatnego właściciela, ściślej: od jego wierzycieli”.

Właściwemu „wskrzesicielowi” Nałęczowa autorka zostawiła rzeczywiste imię, natomiast nazwisko Nowicki zamieniła na Starzycki, łatwo więc i tę postać zidentyfikować. Nie pisze o nim więcej, co jest zrozumiałe, bowiem Szelburg-Zarembina przetwarzała w swoich utworach przede wszystkim materiał własnych wspomnień i to, co oglądała na własne oczy. Nowicki zmarł na wiele lat przed urodzeniem się autorki *Miasteczka aniołów*, Konrad Chmielewski spoczął na bochothnickim cmentarzu dokładnie w roku jej przyścia na świat. Jedynie Wacława Lasockiego autorka dokładnie zapamiętała. On zresztą – jedyny z trójki wskrzesicieli zakładu – doczekał, jak to określa napis na jego pomniku nagrobnym – cudownego zmartwychwstania Polski.

W powieści tej odnotowano nawet zmiany mieszkania Laskowskiego: „Z dnia na dzień opuścił umeblowane ze smakiem paropokojowe mieszkanie, jakie zajmował po kawalersku w jednym z budynków zakładowych i przeniósł się poza obręb zakładu do niewielkiej murowanej willi w ogrodzie przytykającym do głównej alei osiedla. [...]

W tym obcym, bez wielkiego namysłu zakupionym domu wewnątrz zostało ściśle upodobnione do rodzinnego domowego wnętrza. Te same stare cenne sprzęty tak samo rozmieszczone po niskich, wilgocią tchnących ciemnowych pokojach, te same głuźące krok dywany, te same poczerniałe, umownej już tylko piękności obrazy, prawie te same lub takie same drobiazgi, owe małe nic, wartające tak wiele”.

Rzeczywiście, Wacław Lasocki, pierwowzór postaci Laskowskiego, mieszkał najpierw przez wiele lat w pałacu i tutaj gromadził swoje imponujące zbiory, a dopiero później, w 1911 roku, przeniósł się do willi przy końcu Alei Lipowej. Nie był to zresztą dom ani całkiem obcy, ani będący wyłączną własnością Lasockiego. Obiekt ten, willę „Pod Kraszewskim” – wznosił dla siebie Fortunat Nowicki, dawny, stary druh Wacława Lasockiego.

W *Miasteczku aniołów* Ewa Szelburg-Zarembina przedstawiła historię życia Lasockiego – jego zesłania, a zwłaszcza wędrówki tułaczkiej wraz z towarzyszącą mu

W dniu _____ 1946 r. o godz. 11-ej

W SALI TEATRU „DOMU ŻOŁNIERZA“

zostaną odegrane przez działkę „Dziecińców” Pow. Rom. Op. Sp.

UTWORY:

- 1) Sceniczny pióra Ewy Zarembiny p. t. „Zabawa jakich mało”
- 2) Historyczny „Dopływ Wisły” Deotymy
- 3) Tańce narodowe i fantastyczne

NA SCENIE: żabki, krasnoludki, muchomorki, kwiaty i motylki

Ceny biletów od 20 do 60 zł. wejściówki, stojące po 10 zł. do nabycia w biurze PKOS Krak.-Przedm. 51 w godz. urzędowych od 8 do 15. W dniu przedstawienia w kasie Teatru (Dom Żołnierza).

dobrowolnie młodziutką żoną. Opowiedziane też zostało żelezieńsko-nałęczowskie życie doktora Lasockiego. Narrator powieści ukazuje między innymi wędrowki Laskowskiego w poszukiwaniu śladów dawnej przeszłości i prowadzenie przezeń wykopalisk archeologicznych, w czym często towarzyszyła mu mała Salomea Gozdawianka.

Podobnych historii spotykamy w pięcioksięgu Zarembiny wiele, chociaż nie wszystkie występujące postacie potrafimy dziś łączyć z ich rzeczywistymi pierwowzorami. Pamiętać przy tym powinniśmy, iż obok osób powieściowych, mających odpowiedniki pośród ludzi dawnego Nałęczowa, mogą tu być bohaterowie zupełnie fikcyjni, będący dziełem pisarskiej wyobraźni albo też łączący cechy jednej i drugiej grupy.

W powieści Szelburg-Zarembiny bez trudu rozpoznajemy również obraz rzeczywistych zdarzeń, jakie rozgrywały się w Nałęczowie między 1905 a 1914 rokiem, a nawet i później. Już ostatnie strony powieści *Ludzie z wosku* poświęcone zostały wydarzeniom 1905 roku, które zapoczątkowały i rewolucję, i głębokie społeczne przemiany, i odrodzenie uczuć narodowych. To właśnie Joanna Gozdawina szła na zamówienie pań z zakładu leczniczego i pałacu kokardki o barwach narodowych, przygotowywane na

pochód związany z ogłoszeniem przez cara nowej konstytucji i zapowiedzią większych swobód. Był to ten sam pochód, o którym tyle wspomnień przekazali jego uczestnicy – ludzie z kręgu Żeromskiego i on sam:

„W ten dzień jesienny przedśmiertny, przez puste wzięble powietrze, nad skostniałą, martwiejącą ziemią szedł podmuch potężny. Ogarnął sobą ludzi. Uwierzyli na progę zimy, że kwitnie i zieleni się Wiosna. Radość stała w powietrzu jak rozpylone miody i wszyscy byli nią tego upici. Płonęły głowy. Tajały serca. Obcy obcemu zarzucał ramiona na szyję, a wielkie łopocące słowo: «Wolność», leciało skroś świat jak zwycięskie «Alleluja» w dzień Zmartwychwstania!”. Autorka powieści, posługując się zapewne nie tylko czytanyymi później wspomnieniami, ale i zasobami własnej pamięci, wiernie ukazała przebieg narodowej uroczystości:

„Po nabożeństwie utworzono pochód. Wysoko się wzniosły, roztoczyły szeroko chorągwie. Na czele ta biało-amarantowa, [...] prócz wizerunku Matki Boskiej – lśni na jej adamaszku haftowany srebrem Biały Orzeł; objęte jego skrzydłami, niebieska Pogoń bratniej Litwy i Michał Anioł z mieczem, który strzeże Rusi. Znad czerniałego już napisu: «Boże zbaw...», bije We wszystkie oczy wielkie,

nową złocistą nicią dziergane wołanie: «Niech żyje Polska wolna i niepodległa»».

I dalej:

„Ochotnicza orkiestra strażacka dmie w świecące trąby, a chór dziewczuch i parobczaków zaczyna zgodnie pod batutą organisty *Boże, coś Polskę...* Wtem, o ramię przed poświęconą chorągwią z adamaszku, wyśmigło z tłumu ściągłe czarne drzewce i – rozpostarł swój cień nad głowami – nowy sztandar!... Wśród zwałów surowej płócienej czerwieni trzy samotne litery bielą się żrąc oczy jak wapno: – P.P.S.».

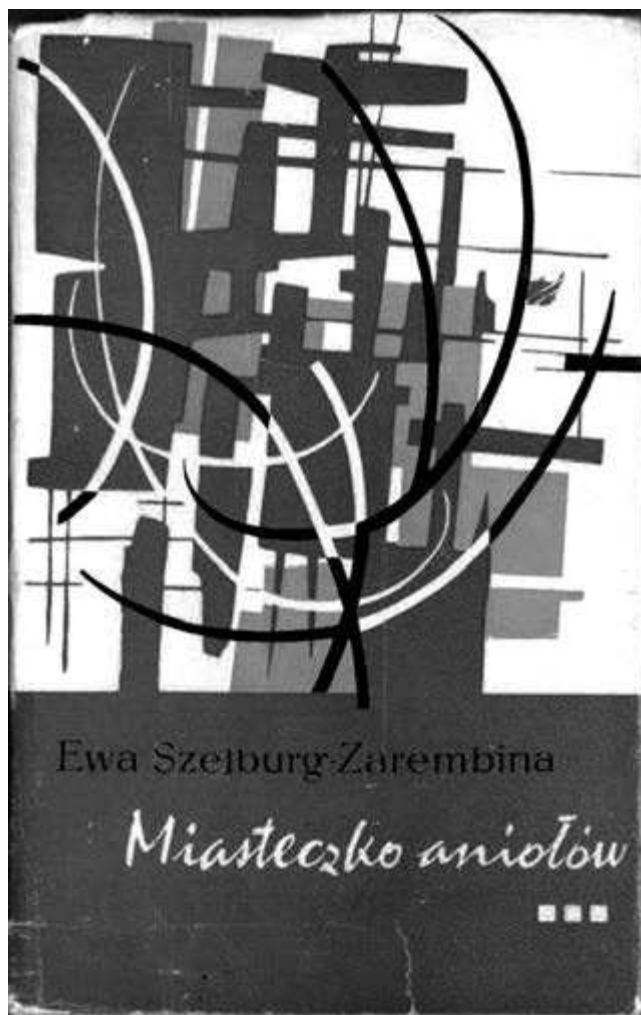
Scena końcowa zawiera jeden bardzo znamieny element, który mówi wiele o ówczesnej społeczności żeleźnisko-nałęczowskiej. Pojawienie się dwu różnych sztandarów rozbiło początkowo jednolitość pochodu, teraz zaś „Zwar-te ciało tłumu zostało nagle rozdarte na części. Jakbyś ciął toporem”. Czy te dwa pochody objęły całą miejscową ludność? Otóż nie. Główna bohaterka wraz ze sporą grupą ludzi nie włącza się do żadnego z nich, pozostała na uboczu:

„Joanna zawahała się. Spuściła z rąk Meę. Wstrzymała się w rozwidleniu dwu dróg, dwu pochodów. Mijali ją ci uroczyści z kokardami na piersiach i ci drudzy, wyrzucający w górę czapki i krzyczący «hurra!»

Przeszli. Przewalił się śpiew, kurz i krzyki».

Nie włączył się też do żadnego pochodu mąż Joanny – Kaj Gozdawa – spóźniony. Nie mówi się już w powieści o zakończeniu tej odbywającej się rzeczywiście w Nałęczowie – manifestacji. Czy tylko dlatego, że nie uczestniczyli w niej rodzice pisarki, ani ona sama, czy też stało się tak z innych powodów? I dlaczego Gozdawowie oraz spora część ludności osiedla pozostali poza pochodami? Na te i podobne pytania dają odpowiedź następne tomy cyklu powieściowego Ewy Szelburg-Zarembiny.

Mają one w literaturze poświęconej Nałęczowowi miejsce szczególne. W przeciwieństwie do ogromnej większości tekstów, które ukazują przeszłość tej miejscowości w sposób apologetyczny, powieści z cyklu *Rzeka kłamstwa* przynoszą jej rewizję. Bohaterowie główni: Joanna i Kaj Gozdawowie, reprezentują tutaj tę część społeczeństwa, która tworzy jego fundament. Gozdawowie w powieściowym Żeleźnie, tak jak Szelburgowie w prawdziwym Nałęczowie, należeli do świata „niskiego”, związani byli z „ludźmi stamtąd” – spoza dworu Górskiego, zakładu leczniczego i pałacu. Odległość a nawet przepaść między „nizinami” a „górami” społeczeństwa była większa niż różnice i podziały istniejące wewnątrz owej „góry”. Nie chodziło w tym wypadku tylko o samo ubóstwo jednych a bogactwo – rzeczywiste lub domniemane – innych, lecz o postawę „uzurpanckich obrońców, samozwańczych opiekunów, ludzi mało co mniej ubogich, lecz wiele więcej pysznych, aż do przypisywania sobie takiego



lub siakiego, ale apostołstwa, płynącego rzekomo z idei im akurat, i im tylko, powierzonych przez historię czy to rewolucyjną, czy konserwatywną, zależnie od upodobań i skłonności osobistych apostoła zwanych górnymi przekonaniem. Politycznymi oczywiście».

To, co działo się w Żeleźnie-Nałęczowie po 1905 roku, co przeszło – dzięki pracom i utworom Żeromskiego do legendy, przyjmowane było przez ogół mieszkańców sceptycznie i podejrzliwie. Pamiętał o tym zresztą sam Żeromski, czemu dał wyraz w *Róży* i w *Nawracaniu Judasza*. W *Iskrach na wiatr* wiele stron poświęciła autorka – pod pozorami literackiej fikcji – właśnie wydarzeniom i sytuacji Nałęczowa z czasów rewolucji, z czasu odradzania się ducha narodowego. Z punktu widzenia narratora nie był to jednak obraz zbyt budujący:

„Żeleźno było podówczas miejscem, gdzie wśród zabawiających się mniej lub więcej serio sprawami *de publicis* licytowano się nie tylko przy pomocy czynków nie będących w istocie swej przeciwstawnymi to sprawiało, że ostatecznie ogół mieszkańców rozróżniał i oceniał nie treść pompacyjnych lub krzykliwych wypowiedzi, ale rzeczywisty lub

domniemany interes «działaczy» obnoszących się z nimi publicznie, bo tak czy siak to ostatecznie kryło się w mniemaniu nieskorego do uzewnętrznienia ogółu za fasadą bez fundamentów i zaplecza».

Miasteczko aniołów oraz – zwłaszcza – *Iskry na wiatr* w niemal reportażowy sposób ukazują działanie takich instytucji, jak kasa oszczędnościowa czy sklep w domu ludowym, ale nie szczędzą obrazowi barw ciemniejszych i satyryczno-ironicznych przejawów. Oto wyraz stanowiska „dołów” żeleźnińskich wobec inicjatorów różnych poczynań społecznych na terenie miejscowości:

„Nic bo nie wywoływało tylu kpiących uwag wśród żeleźnińskiego «ludu», co zachowanie się «panków» odzgujących się od największej wady przeszłości, od pańskiej tradycji, gdy nie śmierdzieli groszem... owych panów-wyrobników, zarabiających na utrzymanie swoje i swoich rodzin pensyjkami po urzędach, redakcjach, honorariami płaconymi im przez «każdych» ich lekarskich pacjentów, adwokackich klientów. [...] Rozdający w słowach to, czego sami nie posiadli, osądzeni byli trochę jak dzieci, trochę jak komediani gdy przez sympatię, gdy traktowani serio – niecierpliwili i drażnili».

Niechęć społeczności Żeleźna do nowych instytucji wynikała nie tylko z podejrzliwości i nieufności ludzi wobec rzeczywistych intencji ich organizatorów, ale i stąd, że ich istnienie naruszało dotychczasowe przyzwyczajenia społeczności Żeleźna.

Ze szczególnym krytycyzmem powieści Ewy Szemberg-Zarembiny ukazały działalność tzw. „postępowej” części inteligencji Żeleźna, a zwłaszcza powstanie ochronki i sposób jej prowadzenia. O ile bowiem w kasie pożyczkowej czy w sklepie spółdzielczym zwykli członkowie mieli coś do powiedzenia, choćby na zebraniach, o tyle urządzenie ochronki odbyło się bez udziału „dołów”. Co więcej, instytucja ta – co publicznie podkreślano – miała wyraźnie filantropijny cel, nadano jej charakter „półsierocińca, półprzytulku dla dzieci, o jakie ich rodziny nie potrafią się zatroszczyć, dzieci, którymi nie ma kto w domu się zająć, czym racjonalnie karmić, w co je dostatecznie odziać” – a więc dzieci, jakie trzeba poddać opiece, kontroli i karności z zewnątrz, aby „nie rosły w zaniedbaniu, dziko ale wychowane zostały na przyszłych świątliwych obywateli i użytecznych dla społeczności pracowników, gdyż – rodzice sami ze siebie nic im publicznie wartościowego przekazać nie mogą».

Według narratora *Iskier na wiatr* tak „pomyślana ochronka raczej odstraszała, niż przyciągała”, a oddać dziecko do niej równało się całkowitej społecznej degradacji, „publicznie wystawić swojemu domowi, swej rodzinie świadectwo materialnej nędzy i moralnego nieładu, umysłowego niedorozwoju».

Ludność Żeleźna – czytamy w powieści Szemberg-Zarembiny – wierzyła nie tyle odczytom i pokazywanym przeżroczom, co postępowaniu ich organizatorów i wykonawców. Tymczasem zaś: „Spomiędzy noszących z całym zapalem kaganki oświaty nikt swoich własnych dzieci dla przykładu nawet do ochronki nie posyłał. Ich dzieci w rodzinnych domach mają to, czego nie dostawało tym innym. Że nie będą miały i one instynktownego poczucia wspólnoty z całą resztą społeczeństwa jak ich własni uspołecznieni rodzice? to akurat wcale nie przyszło rodzicom do głów tak bardzo zapalonych».

Z podobnie krytycznym przyjęciem bohaterów powieści spotkał się pomysł (znany ze wspomnień mówiących o nałęczowskich inicjatywach Żeromskiego) wspólnej z „ludem” wigilii. „Ani szczerości ani tym mniej prostoty nie widzieli [w tym] prości żeleźnińscy ludzie” – skomentował to wydarzenie narrator.

Takie widzenie i ocena działalności „siłaczek” i „Judyków”, zaprezentowane zwłaszcza w *Miasteczku aniołów* i *Iskrach na wiatr*, jeszcze ostrzej zostało zarysowane we fragmencie pochodzącym zapewne z wcześniejszej wersji jednej z tych powieści, a drukowanym w 1949 roku w *Księżce pamiątkowej ku czci Leopolda Staffa*. Otóż w tekście tym, zatytułowanym *Niech jak najdalej mnie owoc mój padnie*, występują znane nam już doskonale postacie: Joanna, Kaj i Salomea Gozdawowie, ale zamiast Żeleźna mamy tu N., a więc pierwszą literę nazwy Nałęczów, zamiast Karpina – L. (to jest Lublin), natomiast sąsiadujące z Nałęczowem miejscowości – Charz i Chruszczów występują pod własnymi nazwami. Ukazana tu wersja dawnych wydarzeń otrzymała charakter niemal reportażowy. Posłuchajmy:

„Właśnie szedł jeszcze wtedy przez zamożniejsze domy, domy tutejszej inteligencji, stygnący już w kraju dech chwilowej wolności. Domy w N., zwane willami, podzielone od paru lat na dwa zwalczające się obozy, kończyły między sobą porachunki. Ostatkiem dogasającej rywalizacji były dwie naraz założone spółdzielnie: «Światło» i «Oszczędność», z których jedna wraz z wyjazdem z N. ich głównych a chwilowych założycieli skończyła krótki żywot, a druga, oparta o okoliczne dwory, poderwawszy z lekka byt paru żydowskich sklepików i unicestwiwszy jedynego polskiego sklepikarza, trwała».

Szczególnie wymowny jest fragment tego tekstu, mówiący o zamiarze Gozdawów kształcenia swojej córki i o staraniach co do wyboru odpowiedniej szkoły. Gozdawowie zastanawiają się, do kogo zwrócić się o poradę. Kandydatura proboszcza z pewnych względów została wyłączona. Może więc zasięgnąć języka u żony znanego pisarza? Okazuje się, że i z jej przysługi Gozdawowie nie mogą skorzystać:

„Żona pisarza (którego książki o ludziach bezdomnych znali), przyniosła do szycia bluzki dla siebie i koszule dla męża. Ale gdy ktoś rozprawiający z oburzeniem o wyzysku, urywa szwacze pół rubla na bluzce, a trzydzieści kopiejek na męskiej koszuli – To czy ja mam iść do nich po poradę. Sam powiedz? – mówi Joanna do Kaja, brwi zmarszczywszy, niechętna”.

Aluzja literacka jest tu aż nadto wyraźna i czytelna, odbiera ona temu obrazowi charakter fikcji, a zbliża nas do spraw rzeczywistych, poświadczonych przez liczne wspomnienia i relacje.

Powieści Ewy Szelburg-Zarembiny przynoszą najpełniejszy obraz wyglądu i życia dawnego Nałęczowa, najwszechstronniejszy, a przy tym bardzo krytyczny. Autorka przyjęła inny punkt widzenia, odmienną perspektywę, dzięki czemu odeszła od ujęcia hagiograficznego, które całą tradycję przyjmuje z dobrodziejstwem inwentarza. W obrazie przekazywanym przez liczne wspomnienia i teksty literackie dokonuje pisarka zasadniczych zmian, poprawek i przewartościowań. Oczywiście – pośrednictwo artystycznego ujęcia pozwala i autorce zachować dystans, bowiem osąd przeprowadzają już postaci literackie – narrator i powieściowi bohaterowie. Obraz rzeczywistości powstaje jako wynik wielu spojrzeń i stanowisk, tworzy się w ich dialogowym spotkaniu. Niemniej takie właśnie ukształtowanie powieści było wynikiem decyzji pisarskiej i wyrazem własnego widzenia historycznej przeszłości Nałęczowa, ukrytego pod pseudonimem Żeleźna. W miejsce tradycji inteligenckiej czy nawet arystokratyczno-szlacheckiej postawiła tradycję plebejską, stała się – poprzez swoje dzieła – rzecznikiem tego środowiska i ludzi, które przez dawniejszą tradycję pozostawione były w cieniu.

To co w powieściach Ewy Szelburg-Zarembiny szło niejako na konto literackich kreacji – narratora i bohaterów – w jej ostatniej książce pt. *Zawiłości prostej drogi* przeniesione zostało na plan rzeczywistości historycznej. Do książki tej włączyła autorka wiele fragmentów z *Miasteczka aniołów* i innych powieści cyklu, nadając im tym razem charakter osobistego wspomnienia i poświadczając wiarygodność tego, co na obu planach – literackim i pamiętnikarskim – zostało wyrażone.

Ujawniony tam przez autorkę krytycyzm i dystans wobec wielu spraw, zdarzeń i ludzi z historii dawnego Nałęczowa nie kłóci się jednak z wielką miłością i sentymentem, jakimi Ewa Szelburg-Zarembina darzy dzieje Nałęczowa. Kiedy zaś trzeba, oręduje publicznie jego sprawom. W liście do redakcji „Życia Warszawy” z 1972 roku, nawiązującym do głównego wystąpienia w sprawie Nałęczowa, sygnowanego przez Władysława Tatarkiewicza,

Annę Żeromską, Stanisława Lorentza, Pawła Hertzta, Antoniego Słonimskiego, Juliana Krzyżanowskiego, Kazimierza Michałowskiego i Jana Parandowskiego – autorka *Miasteczka aniołów*, jakby na przekór temu, co sama pisała dawniej, upominała się o pamięć dla zasług ludzi dawnego Nałęczowa. Stwierdzała w swym liście: „chcę zwrócić uwagę tych, których interesuje historia Nałęczowa, że oprócz słusznie wymienionych we wspomnianym liście nazwisk, a często publikowanych przy innych okazjach, trzeba by przywrócić pamięć obywatelskich, patriotycznych, społecznych i kulturalnych zasług całych rodzin związanych z Nałęczowem, którym i Nałęczów, i jego okolice zawdzięczały tak wiele w polskich niełatwych dziejach. Przypomnę tu tylko przykładowo rodziny: Malewskich, Górskich, Śliwińskich, Lasockiego, Sulkowską itd., twórców spółdzielczości, założycieli muzeum regionalnego, różnych szkół – artystycznych, rzemieślniczych, rolniczych, gospodarczych”.

Echem tamtego listu zdają się być słowa zakończenia książki *Zawiłości prostej drogi*, gdzie pisała:

„Wracając często do Nałęczowa choćby tylko w myślach, za każdym razem zastanawiać się muszę, czy wszyscy godni pamięci nałęczowianie zostali uczczeni trwałym wyrazem pamięci, chociażby tylko zwyczajnymi tablicami na murach domów, w których przebywali i pracowali”.

W tej tradycji – bardzo konsekwentnie i świadomie – wpisywała się też swoją pracą literacką Ewa Szelburg-Zarembina. „Chciałabym bardzo – pisała dalej – aby moja twórczość jako nałęczowianki i lublinianki, dziecka ziemi lubelskiej, ziemi, która była kolebką mowy polskiej i która wydała tylu polskich twórców – mogła być nie tylko literaturą, ale świadectwem pracy społecznej, tak bardzo przenikającej całe moje życie”.

Związek autorki *Miasteczka aniołów* z Nałęczowem trwa już przeszło osiemdziesiąt lat. Ewa Szelburg-Zarembina, jak niewielu już ludzi, pamięta Nałęczów z kilku epok – od początków XX wieku po lata obecne. Opuściła ona tę miejscowość we wczesnej młodości, zamieszkała w Warszawie, ale powracała tu często, jako do miejsc najbliższych sercu i pamięci. Dzięki tym odwiedzinom odnawiały się jej wspomnienia, stając się w coraz większym stopniu tworzywem literackim. W okresie powojennym pisarka nadal interesowała się losem tej miejscowości i troszczyła się stale o utrwalenie związków wielkich pisarzy z tą miejscowością. Nade wszystko zaś dała ona w swoich utworach najpełniejszy i najbogatszy obraz dawnego Nałęczowa, obraz prawdziwy i niczym niezastąpiony.

Sto lat zorganizowanego życia literackiego

PRZED STU LATY Z INICJATYWY Stefana Żeromskiego odbył się w dniach 12–14 maja 1920 roku w Warszawie Wszchedzielnicowy Zjazd Pisarzy Polskich. Na tym Zjeździe Żeromski przedstawił opracowany w 1918 roku projekt powołania Polskiej Akademii Literatury, która ze zmienionym programem powstała w 1933 roku. Po ożywionej dyskusji powołano Związek Zawodowy Literatów Polskich. Nie obejmował wszystkich środowisk, gdyż prawie jednocześnie powstały niezależne związki regionalne: w 1920 r. we Lwowie i w Krakowie, w 1921 r. w Poznaniu i w 1925 r. w Wilnie.

Według założeń ZZLP miał być silną i zwartą organizacją, skupiającą wszystkich ludzi pióra dla wspólnej obrony interesów: materialnych, prawnych, moralnych i kulturalnych. Pomysł był chwalebny, ale trudny, a właściwie niemożliwy do zrealizowania, gdyż działały już w Polsce zwalczające się grupy poetyckie o bardzo różnych i odległych programach. Niektóre kultywowały w sposób zmodyfikowany literacką tradycję, inne czerpały wzory z zachodnich nowinek i programów „awangardowych”.

Trudno sobie wyobrazić, by w jednej organizacji obok siebie siedzieli futuryści, członkowie awangardy krakowskiej i skamandryci, nie wspominając żyjących i tworzących poetów młodopolskich, których Julian Przyboś nazywał „chamułami poezji”.

Uchwalony wówczas Statut ZZLP ustalał, że terenem działania organizacji jest Rzeczpospolita Polska, a siedzibą zarządu „głównego” Warszawa. Oddział Warszawski miał pełnić obowiązki administracyjnej centrali. Statut upoważniał władzę centralną do zakładania oddziałów terenowych. Ta propozycja od początku nie uzyskała poparcia przez powoływane w miastach (dawnych dzielnic) niezależne organizacje literackie.

Po wielu sporach powołano w 1925 roku Zrzeszenie obejmujące autonomiczne związki zawodowe literatów polskich. Działalność i dorobek oddziałów w różnych ośrodkach została już podsumowana, lub wymaga oddzielnego opracowania.

Statut nie ograniczał przyjęcia do Zrzeszenia nowych członków. Artykuł 7 tego Statutu głosił, że: „Członkiem

Zrzeszenia staje się każdy Związek Zawodowy Literatów Polskich, który na zebraniu założycielskim zgłosi swoją przynależność”.

Warunkiem przyjęcia było wykazanie się co najmniej piętnastoma członkami rzeczywistymi. Poza tym wymagano wniesienia opłaty po 5 zł wpisowego od każdego członka oraz przekazywanie 10 procent od składek członkowskich.

Zrzeszenie miało stanowić naczelną przedstawicielstwo wszystkich zorganizowanych w nim literatów polskich, ochraniać i bronić ich interesów moralnych i materialnych. Tak ogólnikowe sformułowania miały stworzyć szeroką płaszczyznę dla zjednoczenia najróżnorodniejszych twórczych doświadczeń, dokonań i poszukiwań.

Żeromskiemu przyświecała idea zjednoczenia pisarzy w kształtującym się państwowym organizmie, którzy powinni uczestniczyć w integracji polskiej państwowości. Obrona interesów „zawodowych” (materialnych i moralnych) była w praktyce drugorzędna. Trudniących się „zawodowo” i żyjących tylko „z pióra” literatów i pisarzy było wówczas (obecnie też jest) niewiele. Funkcję centrali związkowej miał spełniać oddział warszawski.

W rzeczywistości była to organizacja raczej formalna, bez ściśle określonego programu działania. Życie literackie rozwijało się w oparciu o efemeryczne czasopisma literackie, powoływane dla zmanifestowania powstających grup literackich. W pewnym sensie założenia Związku Zawodowego Literatów Polskich realizowały „Wiadomości Literackie”, które jednak faworyzowały skamandrytów, zwalczając Krakowską Awangardę.

Oficjalną reprezentacją polskiego piśmiennictwa artystycznego była powołana w 1933 roku Polska Akademia Literatury. Liczyła 15 dożywotnich członków. Siedmiu mianował minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego; pozostali pochodzili z wyboru. Akademicy otrzymywali wysokie uposażenie rządowe. Nie akceptowały tej „zależności” środowiska opozycyjne. Andrzej Strug odrzucił proponowaną mu godność. W 1937 roku K. H. Rostworowski i W. Rzymowski z różnych powodów zrezygnowali z członkostwa PAL.



Ze względu na wybitnych pisarzy, m.in. W. Sieroszewski, L. Staff, J. Kaden-Bandrowski, W. Berent, K. Irzykowski, J. Kleiner, B. Leśmian, Z. Nałkowska, Z. Przesmycki, J. Szaniawski, T. Boy-Żeleński PAL cieszyła się dużym i niekwestionowanym autorytetem.

Do statutowych zadań Polskiej Akademii Literatury należało: inicjowanie poczynąń zmierzających do podniesienia poziomu i autorytetu literatury polskiej, współdziałanie z rządem w przedsięwzięciach literackich i sztuki, wypowiedanie opinii na życzenie władz państwowych w sprawach języka, literatury i kultury, przyznawanie nagród literackich, stypendiów i wyróżnień. W 1934 roku ustanowione zostały doroczne odznaczenia PAL – Wawrzyn Akademicki (złoty i srebrny), które przyznawało ministerstwo W.R. i O.P. W tym też roku ustanowiona została Nagroda PAL dla Młodych, nadawana pisarzom, którzy nie ukończyli 30. roku życia. (W 1937 roku za tom wierszy „Rozmowa z Ojczyzną” otrzymał ją Józef Łobodowski). Nagroda nie tylko „nobiletowała” młodego pisarza, ale otwierała możliwości publikacji w reprezentacyjnych czasopismach...

W Lublinie początki życia literackiego po odzyskaniu niepodległości wiąza się z powstaniem w 1918 roku

uniwersytetu. Studenci zainteresowani twórczością literacką i młodzi, początkujący poeci, założyli kółko literackie. Pozostawali jeszcze pod przemożnym wpływem poezji młodopolskiej. W 1921 roku zmanifestowali swoją obecność przygotowaniem czasopisma „Lucifer”. Inicjatorem był Waław Gralewski, nadzwyczajny student pierwszego roku prawa. (Formalnie, jako redaktor i wydawca, podpisała pierwszy numer Dzięwanna Włodarska.)

Za zamieszczenie wiersza Konrada Bielskiego *Dytyramb szatański*, podpisanego pseudonimem Wicher Huraganowicz, numer został skonfiskowany. Interwencja cenzury wywołała protest kilku pism oraz spowodowała interpelację poselską klubu SL „Wyzwolenie”. W Lublinie incydent ten przybrał rozmiary skandalu. Dzięwanna Włodarska miała odpowiadać przed sądem, a Waław Gralewski wyzwał Józefa Kanarowskiego, redaktora „Głosu Lubelskiego”, autora szyderczego pamfletu o poczynaniach młodych adeptów pióra, na pojedynek. Do rozlewu krwi nie doszło, gdyż honorowy sąd rozjemczy uznał, że inkryminowany artykuł nie może być przedmiotem obrazy. Drugi numer „Lucifera” nie został skonfiskowany i przeszedł bez echa. Waław Gralewski i Konrad Bielski, główni bohaterowie skandalu, nie weszli w skład jego redakcji. Cieszyli się jedynie z uzyskanego rozgłosu, na którym młodym poetom szczególnie zależało.

Na Uczelni Gralewski i Bielski poznali nieco starszego kolegę, Stanisława Czechowicza. Dzięki niemu po raz pierwszy spotkali się z jego młodszym bratem, Józefem, wiejskim nauczycielem ze wsi Słobódka. Znajomość po wymianie korespondencji przekształciła się w przyjaźń. Młodzi adepci pióra wymieniali poglądy na temat współczesnych tendencji życia literackiego. Fascynowali się poezją awangardową.

Duży wpływ wywierała na ówczesną młodzież literacką wydawana w Krakowie, redagowana przez Tadeusza Peipera, „Zwrotnica”. Pod jej wpływem Waław Gralewski i Konrad Bielski postanowili wydawać w Lublinie też awangardowe pismo poetyckie. Nadali mu tytuł „Reflektor”. Pierwszy numer ukazał się w 1923 roku. Waław Gralewski podpisał je jako redaktor i wydawca.

„Reflektor” ukazywał się do 1925 roku. Wobec zawieszenia pierwszej serii krakowskiej „Zwrotnicy” stał się do pewnego stopnia jej kontynuatorem. Przy „Reflektorze” ukształtowała się grupa poetycka. W jej skład wchodził: Konrad Bielski, Józef Czechowicz, Waław Gralewski i Stanisław Grędziński. Teoretykiem i przedstawicielem redakcji w Warszawie był późniejszy znany ekonomista, Czesław Bobrowski. „Reflektor”, jak i inne czasopisma awangardowe, był periodykiem efemerycznym. (Ukazało się tylko 5 jego numerów.)

Po „Reflektorze” funkcję integrującą lubelskie środowisko literackie przejęły inne czasopisma, które drukowały utwory różnych autorów niezależnie od rodzaju uprawianej twórczości, dorobku i „literackiej orientacji”. W latach 1927–1930 najważniejszą rolę spełniała „Ziemia Lubelska”, która drukowała kolejne literackie dodatki. W roku 1927 pod redakcją Feliksa Araszkiwicza ukazywała się „Literatura i Nauka”, w 1929 r. – „Kadra”, redagowana przez Jana Szczawieja, w 1930 r. – „Dodatek Literacki” pod redakcją Franciszki Arnsztajnowej i Józefa Czechowicza. Ponadto w 1925 roku w „Przeglądzie Lubelsko-Kresowym” ukazywał się „Dodatek Literacki”. Z początkiem 1932 roku Józef Czechowicz wznowił wydawanie „Kurierza Lubelskiego”. Od marca pod redakcją Józefa Łobodowskiego zaczęła ukazywać się „Trybuna”. Dla środowiska literackiego duże znaczenie miało, że redaktorami byli poeci.

Czechowicz zamieszczał w „Kurierze” teksty: F. Arnsztajnowej, A. Fleszarowej, K. A. Jaworskiego, J. N. Kłosowskiego, A. Madeja, B. L. Michalskiego... Preferowanie w dzienniku materiałów literackich nie podnosiło nakładu pisma, ale miało duże znaczenie dla miejscowego, kształtującego się lubelskiego środowiska literackiego.

12 maja 1932 roku Franciszka Arnsztajnowa i Józef Czechowicz, występując w imieniu „Komitetu Organizacyjnego”, podpisali i wysłali zaproszenie na zebranie Towarzystwa Literackiego w Lublinie. Termin zebrania wyznaczono na 21 maja o godzinie ósmej wieczorem w domu przy ulicy Niecałej 6. Mieściła się tam szkoła specjalna, której Czechowicz był kierownikiem.

To on mógł być inspiratorem powołania w Lublinie związkowej organizacji. Bezpośrednim bodźcem mógł być też „Wielki wieczór poetycki” zorganizowany 7 maja 1932 roku w Sali Towarzystwa Muzycznego. Wystąpili na nim: J. Czechowicz, A. Galis, J. Łobodowski, A. Madej i B. L. Michalski. Nie łączył ich poetycki program.

Związek, mimo różnych literackich doświadczeń, mógł być płaszczyzną wspólnego środowiskowego działania. To zapewniał opracowany, podobno przez Wacława Gralowskiego, projekt statutu. Czechowicz przyjął tę propozycję, ale na organizacyjnym zebraniu przedstawił własny program poetycki. Mówił: [...] „spotykamy się z różnych mórz i różnych stron. Szukaty, torpedowce i krążowniki, barki rybackie, giganty Pacyfiku i śmiałe fregaty podbiegunowe – zbieramy się w porcie, zapuszczamy kotwice...”

Port nie stanowił dla Czechowicza spokojnej i bezpiecznej przystani, gdyż: „Świat płonie i w porcie pożar. Wybuchy i błyski. Przeobrażają się rzeczy istniejące, przeobraża się, co było nieprzeobrażalne. Na wszystkich poziomach trzaskają iskry krótkich spięć. Gdy zasypiamy i gdy się budzimy, trwoży nas złowieszczy syk

nieznanego. Katastroficzne odczuwanie świata przestaje być symbolem słownym – ciałem się stało. Człowiek wśród płonących barek nie przesuwając sobie dowolnie pierwiastków myślowych, nie tworzy koncepcji katastrofy – on katastrofę widzi [...]. W obliczu grozy stwierdza człowiek całym sobą, że jest nieznacznym fragmentem ogromu, a rola jego wówczas tylko nabierze wartości przeciwwagi szalejącego ognia, gdy zespolony wyższego rzędu z gromadą. Ślepiej musi się przeciwstawić inna moc, siła świadomej zbiorowości...”. Przemówienie Czechowicza zapewne przyjęliby z aplauzem wileńscy katastrofiści „żagaryści”, ale uczestnicy lubelskiego organizacyjnego zebrania nie potrafili rozszyfrować poetyckiej metafory i odczytać zawartego w niej poetyckiego programu. Może go nie akceptowali? Nie podjęli z Czechowiczem dyskusji.

Powołując Lubelski Związek Literatów chcieli tylko, by, jak dalej mówił Czechowicz: „Oparci o grunt, związani z glebą ojczystą regionu, pewni łańcucha przyjacielskich rąk inaczej będziemy patrzyli na życie. Lublin, miasto ojczyznie, jest również jednym z odcinków wielkiego frontu przeobrażeń. Gdyśmy gromadą, zespołem istotnie świadomym, zaważyć możemy na szali niewidzialnej”.

Przyjęty Statut mówił: „Celem organizacji jest nawiązanie ściślejszego kontaktu między miejscowym gronem literackim oraz ułatwienie mu zetknięcia się z publicznością w słowie i piśmie”. Czechowicz został prezesem Lubelskiego Związku Literatów, by już 6 czerwca, na najbliższym zebraniu zarządu, przekazać tę godność Franciszce Arnsztajnowej.



Wacław Gralewski, 27 listopada 1932 roku na walnym zebraniu, złożył wniosek, by powołana lubelska organizacja stała się oddziałem Zrzeszenia Związku Zawodowego Literatów Polskich. Tłumaczył, że udział w Zrzeszeniu daje szereg korzyści: wspólne organizowanie akcji wobec władz państwowych, pośrednictwo między prowincjonalnymi związkami oraz możliwość uzyskania dla działalności Związku finansowej pomocy. Józef Czechowicz twierdził, że Lubelski Związek Literatów nie spełnia wymaganych przez Zrzeszenie warunków, gdyż ma tylko czternastu członków. Ponadto uiszczenie wpisowego będzie zbyt wielkim obciążeniem Związku, który musiałby wpłacić osiemdziesiąt złotych, przy aktualnym saldzie ujemnym wynoszącym dwadzieścia sześć złotych i siedemdziesiąt pięć groszy. Według Czechowicza cele Zrzeszenia i LZL są rozbieżne. Zrzeszenie zajmuje się sprawami organizacyjnymi i zawodowymi, lubelski Związek preferuje cele kulturalne z uwzględnieniem obowiązków wobec regionu. Znacznie więcej korzyści dawało przystąpienie do regionalnego związku skupiającego wszystkie organizacje kulturalno-oświatowe.

Z inicjatywą powołania takiej organizacji wystąpiło Lubelskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, które dysponowało funduszem wydawniczym, który można było wykorzystać dla potrzeb członków Lubelskiego Związku Literatów. Wzięto pod uwagę przedstawione argumenty i LZL do Zrzeszenia nie przystąpił. Traktowany był jednak jako oddział. W zaproszeniu na organizowany w Krakowie, w dniach 27–28 listopada, Zjazd Związków Zawodowych Literatów Polskich informowano, że biorą w nim udział członkowie ZZLP: Krakowa, Lublina, Lwowa, Poznania, Warszawy i Wilna. (Brak informacji, czy ktoś z Lublina w tym Zjeździe uczestniczył.) 11 lutego 1934 roku Lubelski Związek Literatów zgłosił akces przystąpienia do Lubelskiego Związku Pracy Twórczej.

Destrukcyjny wpływ na działalność regionalnych związków literackich, a w szczególności Lublina wywierała Warszawa, która oferowała znacznie korzystniejsze warunki pracy i stwarzała pomyślniejszą perspektywę kariery literackiej. W roku 1933 przeniósł się do Warszawy Józef Czechowicz. W jego ślady poszła Franciszka Arnsztajnowa, Domiński, Michalski, Madej i wkrótce J. Łobodowski, który na krótko jeszcze pełnił funkcję przewodniczącego lubelskiej organizacji. W efekcie Związek formalnie istniał w Lublinie, a jego członkowie mieszkali w Warszawie lub na prowincji (K. A. Jaworski w Chełmie, K. Bielski i J. N. Kłosowski w Krasnymstawie).

Podobna sytuacja istniała w innych środowiskach. (Z Wilna do Warszawy przenieśli się żagaryści.) Mimo migracji Kraków, Wilno i Lublin uznawano za ośrodki „drugiej awangardy”. 10 marca 1934 roku na afiszu „Najazd

awangardy na Warszawę” obok poetów z Wilna i Krakowa znalazły się nazwiska: K. Bielskiego, J. Czechowicza, H. Domińskiego, J. Łobodowskiego i B. L. Michalskiego.

Pod koniec 1937 roku niemal zupełnie zanikła działalność Lubelskiego Związku Literatów. Niejako podzwonym stała się, wydana w 1939 roku, przygotowana przez ks. Ludwika Zalewskiego, „Antologia współczesnych poetów lubelskich”. Zapieczętowała ten okres 9 września tragiczna śmierć Józefa Czechowicza.

Działalność związkowa polskich pisarzy została uniemożliwiona przez okupantów. Nie znaczy to, że zupełnie zamarło życie literackie. W Generalnej Guberni zeszło do podziemi i konspiracji. Utwory ukazywały się w wydawanych czasopismach. W Warszawie, między innymi, najbardziej znanym podziemnym periodykiem literackim był ukazujący się od 1942 do 1944 roku periodyk „Sztuka i Naród” (16 numerów). Zainteresowanych odsyłam do podstawowego monograficznego opracowania prof. Jerzego Świącha: *Literatura polska w latach II wojny światowej*.

Pewnego rodzaju przedłużeniem ciągłości „oficjalnej związkowej” działalności literackiej w czasie sowieckiej okupacji stał się Lwów. Jak pisze Jerzy Świąch: „W planach radzieckich Lwów miał odegrać specjalną rolę. Będąc skupiskiem inteligencji polskiej, ukraińskiej i żydowskiej, teraz miał stanowić przykład zgodnego współdziałania przedstawicieli kilku narodowości, pracujących razem nad stworzeniem jednolitego modelu



kultury radzieckiej; miał być poligonem doświadczalnym nowej literatury i przykładem wcielenia w życie zasad nowej polityki kulturalnej, zgodnie z którą pisarzom przypadała w udziale zaszczytna rola «inżynierów dusz». [...] Jednym z pierwszych posunięć władz radzieckiej Ukrainy było powołanie już na jesieni 1939 roku komitetu organizacyjnego («komorgu») przyszłego Związku Pisarzy Zachodniej Ukrainy, który niebawem się ukonstytuował jako związek zawodowy zrzeszający przedstawicieli trzech narodowości: ukraińskiej, polskiej i żydowskiej. Każda z nich posiadała własną «sekcję». [...] Pierwszoplanową rolę w nowym związku odgrywali pisarze działający z pobudek niewątpliwie ideowych, byli członkowie lub sympatycy KPP, więźniowie Berezki Kartuskiej lub w inny sposób represjonowani przed wojną. Przewodziła im Wanda Wasilewska, zasiadająca razem z krakowskim krytykiem i publicystą, przedwojennym komunistą Adamem Polewką (1903–1956) w Radzie Najwyższej ZSRR, jedna z czołowych osobistości politycznych tego okresu na terenie ZSRR, bliska współpracowniczka Stalina, oficjalna reprezentantka interesów ludności polskiej w Związku Radzieckim, inicjatorka powołania w r. 1943 Związku Patriotów Polskich oraz I. Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki. Rozliczne funkcje i obowiązki publiczne starała się Wasilewska pogodzić z pracą literacką.

Obok Wasilewskiej w zarządzie Związku Pisarzy Ukrainy znaleźli się Tadeusz Boy-Żeleński, Elżbieta

Szemplińska i Leon Pasternak (1910–1969), były członek KPP, więzień Berezki. Członkami zostali m.in. Paweł Hertz, Adam Ważyk, Julian Przyboś, Jerzy Putrament, Mieczysław Jastrun, Stanisław Jerzy Lec, Włodzimierz Sokorski, Halina Górska, Tadeusz Holender, Adolf Rudnicki, Stanisław Wasylewski, Jan Brzoza oraz późniejsi marksistowskie działacze polityczni PRL, jak Melania Kierczyńska, czy Jerzy Borejsza. Działo się to w czasie, kiedy dawny lwowski ZZLP tracił stopniowo swoje wpływy w środowisku. Narazony na szykany władz, zawiesił ostatecznie swoją działalność. Wcześniej sekretarz oddziału, Teodor Parnicki, został aresztowany przez NKWD”.

Użyłem tak obszernego cytatu, by zwrócić uwagę, jak wielki wpływ na organizację życia literackiego w PRL mieli członkowie sekcji polskiej Pisarzy Zachodniej Ukrainy, którzy starali się wcielać w życie „zasady nowej polityki kulturalnej, zgodnie z którą pisarzom przypadała zaszczytna rola «inżynierów dusz»”.

Wraz z PKWN-em przybyli do Lublina m.in. Jerzy Putrament, Adam Ważyk, Leon Pasternak, Lucjan Szenwald, Jan Huszcza i wiceprzewodnicząca PKWN Wanda Wasilewska. (Członkowie sekcji polskiej Związku Pisarzy Zachodniej Ukrainy.)

Z inicjatywy Jerzego Putramenta zostało zwołane w dniu 12 sierpnia 1944 roku zebranie organizacyjne literatów. 14 sierpnia w notatce „U literatów” zamieszczonej w „Rzeczypospolitej” poinformowano, że na zebraniu reprezentowani byli literaci warszawscy, lubelscy, lwowscy, wileńscy oraz literaci z Chełma, Lubartowa i Nałęczowa. (Listy obecnych nie wydrukowano.) Zaszczycił zebranie Wincenty Rzymowski, kierownik Resortu Kultury i Sztuki PKWN, który nakreślił ogół zadania, jakie stoją przed literaturą w odradzającym się państwie. (Tę przemówienia też nie opublikowano.) Nie wiadomo, czy mówił o literatach jako „inżynierach dusz”? „Po krótkiej dyskusji wybrano komitet organizacyjny Związku Zawodowego Literatów Polskich z tymczasową siedzibą w Lublinie”.

Komitet organizacyjny zwołał 1 września 1944 roku Walne Zebranie Związku. W porządku dziennym przewidziano: 1) Wznowienie działalności Związku Zawodowego Literatów Polskich. 2) Omówienie zadań pisarzy w czasie wojny. 3) Sprawy organizacyjne. 4) Wolne wnioski. Na ten „zjazd literatów” przygotowano i wydano pierwszy numer tygodnika literackiego „Odrodzenie”, który zredagował, przywieziony samolotem ze Lwowa, były redaktor „Sygnałów”, Karol Kuryluk. Na zebraniu przybyło kilkadziesiąt osób. Słowo wstępne wygłosił Wincenty Rzymowski, a zjazd powitał prof. M. Grigoriew, wyrażając nadzieję, że stosunki między literatami polskimi i radzieckimi będą układały się na zasadach serdeczności, przyjaźni i współpracy.



Życzenie to przez większość pisarzy przybyłych wraz z PKWN-em już we Lwowie zostało spełnione, a Wanda Wasilewska utrzymała tę przyjaźń, wychodząc za mąż (po raz trzeci) za radzieckiego (ukraińskiego) pisarza i dramaturga, honorowanego wieloma wysokimi odznaczeniami, pełniącego od lutego do lipca 1944 roku godność ministra spraw zagranicznych USRR, O. Korniejczuka. (Wanda Wasilewska nie brała bezpośredniego udziału w powołaniu w Lublinie Związku Zawodowego Literatów Polskich.)

W czasie zjazdu referat „programowy” o najbliższych zadaniach literatury w wyzwolonym kraju wygłosił Jerzy Putrament. Postulował, by literatura bardziej związała się z losem narodu i społeczeństwa. Nie opublikowano tego wystąpienia, ale można się domyślać, że ten „związek z narodem i społeczeństwem” oznaczał poparcie dla zupełnie nie cieszącego się autorytetem, narzuconego przez nowego „okupanta” PKWN. Na taki związek literatów z polityką partii oczekiwały władze przez cały okres PRL.

Na zjeździe wybrano tymczasowy zarząd Związku Zawodowego Literatów Polskich. Prezesem został Julian Przyboś, który we Lwowie był członkiem sekcji polskiej Związku Pisarzy Ukrainy, sekretarzem został Adam Ważyk, też członek tej organizacji, jak i skarbnik – Mieczysław Jastrun. (W 1974 roku twierdził, po spotkaniu w Muzeum J. Czechowicza, że nie wchodził w skład tego zarządu.) Do zarządu dokooptowano przybyłych później do Lublina Halinę Boguszewską i Jerzego Kornackiego.

Zarząd przystąpił do opracowania wytycznych organizacyjnych działalności. ZZLP miał być jedyną organizacją powołaną do reprezentowania literatów i ich interesów wobec wydawnictw i państwa. Miał skupiać poetów, powieściopisarzy, nowelistów, eseistów, krytyków literackich oraz tłumaczy literatury polskiej. Struktura organizacyjna związku miała być oparta na pracy oddziałów terenowych. Władzę naczelną Związku miał sprawować Zarząd Główny upoważniony do powoływania oddziałów lokalnych.

Ze względu na „płynność zawodu literackiego” proponowano wprowadzić podział na członków rzeczywistych i kandydatów. Członków rzeczywistych miał prawo przyjmować tylko Zarząd Główny. Dla wzmożenia życia literackiego w kraju zalecono organizowanie przy oddziałach lokalnych klubów literackich. Celem Związku miała być obrona interesów zawodowych literatów, opieka nad nimi i organizowanie życia literackiego w kraju. Postulowano utworzenie funduszu literackiego oraz organizowanie domów wypoczynkowych i pracy twórczej dla literatów.

Dom taki zorganizowano w zarekwirowanym dworze w Ciechankach Łańcuchowskich. Wobec trudności

lokalowych w Lublinie i zdobycia wyżywienia (literaci otrzymywali kartki na obiady w zorganizowanej stółce) nieźle zaopatrzony dwór stwarzał znacznie lepsze warunki. Kilka osób tam zamieszkało, między innymi państwo Parandowscy. Kierowniczką została żona Jana Parandowskiego. Niestety, wkrótce musieli z tego „domu pracy twórczej” zrezygnować, gdyż nocami nachodzili ich „walczący z komuną uzbrojeni ludzie z lasu”. Z obory wyciągali krowy, z chlewa świnie, a Janowi Parandowskiemu zabrali zegarek.

Władze KRN i PKWN łączyły z powołaną organizacją literacką duże nadzieje. Wprawdzie jeszcze nie głosiły, że literaci mają być „inżynierami dusz”, ale wykorzystali powołaną organizację do legitymizacji niepopularnej własnej działalności. ZZLP miał udowodniać, że nowa władza kontynuuje przedwojenne tradycje. Literaci i ich twórczość miała służyć celom propagandowym, popularyzując przywiezioną ze Związku Radzieckiego indoktrynację.

Monopol powierzono powołanej we wrześniu 1944 roku Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”. 18 września w redakcji „Rzeczypospolitej” złożyli wizytę: Bolesław Bierut, przewodniczący Krajowej Rady Narodowej i Edward Osóbka-Morawski, przewodniczący Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Celem wizyty było rozpatrzenie podstaw organizacyjnych mającej powstać instytucji. Na tym spotkaniu wyłoniono komisję organizacyjną pod przewodnictwem Zofii Dębińskiej. W skład komisji weszli przedstawiciele PKWN, wydawnictw prasowych, organizacji politycznych i spółdzielczych.

Spółdzielnię powołano z myślą oddziaływania na cały kraj z siedzibą w Warszawie. Celem Spółdzielni miała być działalność wydawnicza i propagandowa zmierzająca do podniesienia wiedzy społeczno-politycznej w Polsce oraz do udostępnienia najszerszym masom obywateli korzystania z pism codziennych, periodycznych i wszelkiego rodzaju wydawnictw o treści politycznej, społecznej, ekonomicznej [marksistowskiej – J. Z.], literacko-artystycznej i popularno-naukowej.

Dla osiągnięcia tego celu Spółdzielnia miała wydawać pisma codzienne i periodyczne, wydawnictwa popularne [broшуry propagandowe – J. Z.], organizować ich kolportaż, otwierać kioski, księgarnie [z szyldem „Propaganda” – J. Z.] i biblioteki, zakładać drukarnie, organizować propagandę czytelnictwa, zaopatrywać w pomoce naukowe, organizować odczyty, koła samokształceniowe, kursy itp.

Wobec braku i niedostępności innych środków masowego przekazu (jak w czasie poprzedniej okupacji posiadanie odbiornika radiowego było karane) monopol „Czytelnika” umożliwiał upowszechnianie „jedynie słusznej” ideologii, jedyne politycznego programu Polskiej Partii Robotniczej i „demokracji ludowej” [reżymowej – J. Z.].



Koziołek

Trzeba z żywymi naprzed iśe...

Klio
Melpomena
Talia
Kaliopa
Euterpe
Erato
Urania
Polhymnia
TERPSYKORA

DWUTYGÓDNIOWY DODATEK LITERACKI „GŁOSU LUBELSKIEGO“.

№ 1 **NIEDZIELA 30 PAŹDZIERNIKA 1938 R.** **ROK I.**

Bardzo przydatni do realizacji tych zadań byli ludzie sprawnie umiejący posługiwać się piórem, gdyż partyjni notable mieli z tym spore trudności.

W początkowym okresie jeszcze tolerowano powoływanie „niezależnych” czasopism i prywatnych wydawnictw i drukarni, ale wkrótce je z „różnych powodów” likwidowano, a prywatnym wydawcom nie udzielano przydziału papieru i okładano tak wielkimi podatkami, że po zamknięciu wydawnictwa biedacy nie byli w stanie ich spłacić. (Przykładem może służyć lubelskie wydawnictwo „Lamus”).

Po styczniowej ofensywie Zarząd Główny ZZLP przeniósł się do Łodzi. W Krakowie, Warszawie, Katowicach, Gdańsku... powoływano oddziały i kluby literackie. Pisarzy przyciągała (zwodziła?) przedwojenna nazwa związku i możliwość druku w ukazujących się i powoływanych czasopismach. Od znanych pisarzy wstępujących do ZZLP nie żądano „samokrytyki”, ideowej, czy politycznej deklaracji. Przystąpienie do Związku było już poparciem nowej władzy.

Życie literackie kształtowały (i kontrolowały?), bepośrednio po zakończeniu wojny do 1950 roku, dwa społeczno-literackie tygodniki „Odrodzenie” i „Kuźnica”. Pierwsze numery „Odrodzenia” ukazały się w Lublinie, w latach 1945–47 w Krakowie, a następnie w Warszawie, od 1948 redagowane przez J. Borejszą. Pismo nie formułowało początkowo bliżej określonego programu ideowo-artystycznego. Dążyło do konsolidacji środowisk twórczych na gruncie aprobaty dla „demokratycznego kierunku przemian społecznych” i odbudowy zniszczonej przez wojnę kultury narodowej. Dzięki temu na łamach „Odrodzenia” ukazywały się utwory i wypowiedzi wybitnych pisarzy, którzy niekoniecznie akceptowali politykę partii i rządu.

„Kuźnica”, wydawana najpierw w Łodzi, a następnie w Warszawie powołana z inicjatywy J. Borejszy, była trybuną pisarzy związanych z Polską Partią Robotniczą. Polemizując z „Tygodnikiem Powszechnym”, dążyła do laicyzacji życia kulturalnego, popularyzowała ideologię marksistowską. Te dwa nurty w dużym uogólnieniu: bardziej otwarte „bezpartyjny” i „dogmatyczny” partyjno-marksistowski kształtowały życie literackie i związkowe w okresie PRL.

W styczniu 1949 roku na IV Zjeździe Literatów Polskich w Szczecinie Włodzimierz Sokorski (w latach 1941–1945 członek Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii /bolszewików/, współorganizator Związku Patriotów Polskich, zastępca dowódcy do spraw polityczno-wychowawczych, „politruk” I. Dywizji Piechoty im T. Kościuszki, wiceminister, a następnie minister kultury i sztuki, w 1988 r. awansowany na generała brygady), wygłosił referat programowy wprowadzający w Polsce obowiązujący w Związku Radzieckim „realistyczny w formie, a socjalistyczny w treści” socrealizm, urzędowo sankcjonując sowietyzację kultury polskiej.

Socrealizm obowiązywał i obejmował wszystkie dziedziny sztuki: literaturę, malarstwo, rzeźbę, architekturę, muzykę, teatr... W konsekwencji wielu wybitnych pisarzy, i innych twórców, nieakceptujących socrealizmu, nie mogło drukować i udostępniać swoich utworów. Byli szykanowani w prasie przez usługowych „krytyków” i działaczy partyjnych, których obdarzano różnymi przywilejami i nagrodami. (Niektórych aresztowano.)

Na szczecińskim zjeździe zmieniono przedwojenną (burżuazyjną?) nazwę Związek Zawodowy Literatów Polskich na Związek Literatów Polskich. W wyniku zjazdu obydwie tygodniki „Odrodzenie” i „Kuźnica”, w 1950 roku zostały połączone (zlikwidowane?). W wyniku powstała „Nowa Kultura” programowo realizująca socrealizm. Do

„najwybitniejszych dzieł” literackich, realizujących program socrealizmu, honorowanych państwowymi nagrodami zaliczano: Jana Wilczka „Nr. 16 produkuje”, Aleksandra Ścibor-Rylskiego „Węgiel”, Kazimierza Brandysa „Obywatele”, Tadeusza Konwickiego „Przy budowie” i „Władza”, Leopolda Lewina „Poemat o Dzierżyńskim” i „Kantata o Bierucie”, Władysława Broniewskiego „Słowo o Stalinie”.

Przy okazji różnych rocznic i obchodów ukazywało się w prasie mnóstwo pisanych „na zamówienie społeczne” wierszy, pieśni i artykułów wstępnych. Rzewnie też opłakano śmierć Stalina. Po okresie smutku i żałoby nastąpiła początkowo lekka, następnie postępująca „odwilż”. Referat Nikity Chruszczowa wygłoszony na X Zjeździe KPZR w marcu 1956 roku, odsłaniający zbrodnie Stalina, wywołał w całym bloku komunistycznym „trzęsienie ziemi”. W Polsce opłakiwano przy okazji śmierć zmarłego podczas tego zjazdu Bolesława Bieruta.

W październiku, po krwawo stłumionych w czerwcu „wypadkach poznańskich”, doszło do partyjnego przewrotu. Pierwszym sekretarzem został Władysław Gomułka. Głosił (krótko), że nie będzie już „powrotu do słusznego minionego okresu”. Kajali się gorliwi propagatorzy socrealizmu, a spora grupa oddała nawet partyjne legitymacje. Prezesem Związku Literatów Polskich został po obranym w Szczecinie Leonie Kruczkowskim, Antoni Słonimski.

Krótki to był czas nadziei i twórczej „wolności”. Partia zwarła szeregi, wsparli ją zawsze dyspozycyjni partyjni związkowcy. Po przykrych doświadczeniach „epoki” socrealizmu, nie udało się już zniewolić i ujarzmić wszystkich polskich twórczych środowisk.

W środowisku literackim ujawniła się polityczna „rewizjonistyczna” opozycja. Literaci pisali listy, domagając się ograniczenia albo zniesienia cenzury, zbierali pod petycjami podpisy, protestowali przeciwko niektórym paragrafom nowej konstytucji. Władze karcily „rewizjonistów”. Cenzura nie pozwalała publikować nie tylko książek, ale nawet obejmowała zakazem nazwiska. Skazywano w ten sposób nawet znanych autorów na „twórczą banicję”. (Sprawy te zostały już wielokrotnie i dostatecznie omówione, więc tylko je tutaj wspominam.)

W tym trudnym okresie przewodniczył Zarządowi Głównemu Związku Literatów Polskich, wybierany na kolejne kadencje od 1959 do 1980 roku, Jarosław Iwaszkiewicz. Tolerowały go środowiska niezależne i opozycyjne. Władze rządowe i partyjne wyróżniały państwowymi nagrodami: I stopnia w 1963 i 1977 r., Order Budowniczych Polski Ludowej w 1964 r. i Międzynarodowa Nagroda Leninowska w r. 1970. Dzięki umiejętności politycznego lawirowania i kompromisom, mieszkający we dworze w Stawisku, sanacyjny dyplomata był tolerowany, szanowany, a nawet imponował prymitywnym partyjnym „notabdom”.

Szarą, partyjną eminencją w Zarządzie Głównym ZLP był Jerzy Putrament, członek KC PZPR. Pełnił funkcję sekretarza generalnego, wiceprezesa i sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej. Przyjaźnił się z Jarosławem Iwaszkiewiczem i nigdy do konfliktów między nimi nie dochodziło.

Prezes walczył o związkowe przywileje, z których sam chętnie korzystał: oprócz państwowych nagród otrzymał służbowe auto z kierowcą, za publikowane utwory wydawnictwa płaciły specjalne, wyższe honoraria, korzystając ze stypendiów wyjeżdżał do Włoch, po cenach bankowych (płacąc 3 zł za dolara, kiedy rynkowa cena wahała się od 70 do 100 zł) mógł wymieniać niewymienialne złotówki na obce waluty, przez szereg lat był naczelnym redaktorem „Twórczości”... Dla członków Związku załatwiał fundusz stypendialny, wysokie honoraria za spotkania autorskie, nagrody, środki na działalność domów pracy twórczej, prawo autorskie z tabelą honorariów stosowaną przez wydawców (w widełkach „od” dla literackiego pospólstwa – „do” dla znanych pisarzy, specjalne stawki były przewidziane „dla szczególnie zasłużonych”, a skazani na indeks nie mogli drukować). Iwaszkiewicz potrafił chronić i bronić, poprzez związkowego prawnika, atakowanych członków Związku. Tak było, gdy Gomułka osobiście zaatakował Grzędzińskiego, Jasienicę i Kisielewskiego, domagając się usunięcia ich ze Związku Literatów Polskich. Prezes przyjął żądanie i odesłał ich sprawę, zgodnie ze Statutem ZLP, do rozpatrzenia przez Sąd Koleżeński, który nie mógł się zebrać... (Kisielewskiego tylko pobili „nieznani sprawcy”).

Na jubileuszowym XX Zjeździe w Katowicach (6–8 IV 1978 r.) Iwaszkiewicz został wybrany na ostatnią kadencję. Obrady były bardzo burzliwe. W obecności sekretarza KC PZPR Jerzego Łukaszewicza zabierali głos przedstawiciele literackiej opozycji. Andrzej Braun domagał się zniesienia cenzury i przywrócenia pamięci wydarzeń historycznych, m.in. bitwy warszawskiej i prawdy o Katyniu. Jan Józef Szczepański odczytał „tajną” listę nazwisk i książek nie dopuszczonych do druku.

Z wystąpieniem Brauna próbował polemizować wicewójewoda katowicki. Iwaszkiewicz ostro zaprotestował, by do obrad Związku nie włączały się osoby nie będące członkami literackiej organizacji.

Krytyczne wystąpienia literatów wyrażały niezadowolone polskiego społeczeństwa i zapowiadały mające nastąpić w 1980 roku robotnicze strajki i powstanie „Solidarności”. Członkowie Związku Literatów Polskich w przeważającej większości popierali ruch solidarnościowy. Stali się doradcami strajkujących robotników...

Zwołany w grudniu, po śmierci Jarosława Iwaszkiewicza (2 III 1980 r.), XXI Zjazd Związku Literatów Polskich

przebiegał w atmosferze napięć i emocji. Jeszcze próbowali bezskutecznie bronić reżimu niektórzy partyjni członkowie Związku. Jerzy Putrament nie przyszedł. W umiarkowany sposób wypowiedział się Józef Tejchma, piastujący godność ministra kultury.

Wybrany nowy Zarząd Główny z prezesem Janem Józefem Szczepańskim był całkowicie „solidarnościowy”. Pisarze partyjni zostali „wycięci” z list kandydatów do władz związkowych. Nie znaczy, że przestali istnieć. Popierali politykę partii i rządu zmierzającą do likwidacji „Solidarności”.

Z aprobatą przyjęli wprowadzenie stanu wojennego i zawieszenie działalności wszystkich „zbuntowanych” organizacji twórczych. Akceptowali internowanie twórców związanych z ruchem solidarnościowym. Tworzyli i wchodził w skład powoływanych „komitetów ocalenia narodowego”.

Jan Józef Szczepański, prezes Zarządu Głównego zawieszono Związku Literatów Polskich, podjął dramatyczne starania o wznowienie działalności organizacji. (Opisał je w „Kadencji”). Władze reżymowe stwarzały trudności, gdyż były pewne, że Związek Literatów Polskich cieszy się autorytetem i zaufaniem gnębnego społeczeństwa i jest silnym ośrodkiem opozycji. Literaci wydawali poza cenzurą podziemne czasopisma, broszury i książki. Protestowali przeciw reżymowym restrykcjom. Wobec nieprzejednanego stanowiska Jana Józefa Szczepańskiego i większości literackiego środowiska postanowiono w lipcu 1983 roku rozwiązać Związek Literatów Polskich.

Władze reżymowe, na mocy „uprawnień” stanu wojennego, pogwałciły zatwierdzony sądownie Statut Związku, w którym zapisano, że rozwiązanie organizacji może nastąpić tylko mocą uchwały przyjętej na Walnym Zjeździe. Nękanie ciągłymi manifestacjami reżym Jaruzelskiego nie

mógł dopuścić do zwołania zjazdu, gdyż byłaby to kolejna antyreżymowa manifestacja, której stłumienie odbiło się szerokim echem poza granicami Polski.

Przez kilka miesięcy zastanawiano się i kaptowano partyjnych i „bezpartyjnych” pisarzy, by trudny problem środowiska literackiego rozwiązać. Wspierające władzę reżymową komitety „ocalenia narodowego”, w których partyjni literaci obok innych brali udział, nie dawały nawet złudzeń społecznego poparcia.

Nie wiadomo kto wpadł na pomysł, by przywłaszczyć nazwę Związku Literatów Polskich i wraz z nią stworzyć iluzję, że cieszące się zaufaniem społecznym środowiska literackie popierają reżymowe władze. Nie zależało im na dobru literatury polskiej. Po zawieszeniu stanu wojennego chciano udowodnić, że życie społeczne i kulturalne „swobodnie” rozwija się w nowej rzeczywistości, a środowiska opozycyjne akceptują decyzje reżymowej władzy,

Z inicjatywy? nakazu? KC PZPR utworzono, na wzór PPR, „grupę inicjatywną”. Jej celem było zagarnięcie związkowego majątku wraz ze zgromadzonym przez środowisko literackie prestiżem, społecznym autorytetem i zaufaniem. Dla zmylenia opinii społecznej kolaboracyjną organizację uposażono skradzioną nazwą: „Związek Literatów Polskich”. „Prezeską” została „bezpartyjna” Halina Auderska, po raz kolejny sprzedająca reżymowi piękną kartę swego okupacyjnego życiorysu.

Pod zrabowanym? odziedziczonym? szyldem „Związku Literatów Polskich” (nazwa powstała na słynnym Zjeździe Szczecińskim), uzurpatorzy? (spadkobiercy tamtego Zjazdu?) usprawiedliwiali „w imię mniejszego zła” reżymowy terror, i wielbili „opatrnościowego męża stanu”, dyktatora, generała Wojciecha Jaruzelskiego (w jednej osobie, premiera i pierwszego sekretarza Komitetu Centralnego PZPR).

NUMER PODWÓJNY POŚWIĘCONY WARSZAWIE Cena 10 zł.

ODRODZENIE

T Y G O D N I K

Nr. 6-7 Lublin, 22 października 1944 r. Rok I

ANTONI RUSZKIEWICZ

Powstanie warszawskie

Droga połowa lipca 1944 r. nie zapowiadała w niczym, że Warszawa zostanie wydana na zagładę i zniszczenie, jakimi nie uległo żadne miasto w tej wojnie. Każdy z nas, kto mieszkał i przebywał wówczas w Warszawie, widział wyraźnie oznaki zbliżającego się frontu. Przez miasto ze wschodu na zachód przewalały się kolumny samochodów naladowanych zrabowanymi rzeczami, ciągnęły baterie najcięższej artylerii przeciwlotniczej, widać było

...mucha dżiał frontowych, ale odczuwało się coraz bardziej, że lada dzień może nastąpić zahamowanie ofensywy sowieckiej, że Niemcy nad Winią będą stawiać zdecydowany opór. Dla tych, którzy liczyli na szybkie uwolnienie Warszawy przez Armię Czerwoną, niepokojący był fakt ustania nalotów na Pragę. Gdy noc z piątku na sobotę minęła spokojnie, ludzie z niepokojem pytali siebie nawzajem, dlaczego nie było nalotów? Natomiast nocie mi-

...dotąd żadnego współdziałania między dowódcami AK a dowództwem Armii Czerwonej, że jeśli nawet dowództwo AK myśli poważnie o rozpoczęciu powstania, to nie będzie miało odwagi brania na swoje barki całkowitej odpowiedzialności za poważną decyzję w tym kierunku i porozumie się z innymi organizacjami wojskowymi, lub przynajmniej odwoła z nimi sytuację, jaka wytworzyła się w Warszawie w związku z prze-

...o to, aby opanować Warszawę po opuszczeniu jej przez Niemców, a przed wkroczeniem Armii Czerwonej i Wojska Polskiego. Gdyby ten manewr się udał, reakcja polska uzyskałaby aut, który wygrałby Mikojaszew w trakcie rokowań moskiewskich. Ale takie założenia politycznej są założeniami zupełnie banalnymi i absurdalnymi, którzy nie mając nic do stracenia szafują życiem setek tysięcy ludzi.

W telewizji natychmiast powiadomiono o „wznowieniu działalności” Związku Literatów Polskich, którego członkowie gorąco popierają wszystkie rozporządzenia władz i są wdzięczni za przekazanie Zarządowi Głównemu wraz z całym majątkiem i związkowymi przywilejami Domu Literatury w Warszawie. Odpieczętowano i udostępniono, też z całym majątkiem, lokale terenowych oddziałów. „Życzliwość” władz zjednywała, liczących na profity i związkowe przywileje, nowych członków. Nie podnosiło to jednak społecznego zaufania i autorytetu nowej organizacji. „Związek Literatów Polskich” nazywano pogardliwie „neo-zlepem”, albo po prostu „zlepem”.

Dywerysyjna działalność założycieli „zlepu” zeszmaciła wizerunek literata, uznanego za reżymowego kolaboranta. Kolejni prezesi Zarządu Głównego ZLP przez swoje „chlubne” życiowe dokonania opinię tę utrwalali. Halina Auderska już w 1964 roku potępiła autorów listu 34, była działaczką i członkinią Komitetu Wykonawczego Rady Krajowej PRON, prezeską Prezydium Krajowej Rady Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, zasiadała przez dwie kadencje (VIII i IX) w sejmie PRL...

Wojciech Żukrowski, też sprzedający reżymowi PRL piękną kartę okupacyjnego życiorysu. „Bezpartyjny” poseł aż czterech kadencji sejmiku PRL, popierający publicznie wprowadzenie stanu wojennego i Wojciecha Jaruzelskiego, przewodniczący Krajowej Rady TPPR i członek Rady Krajowej PRON. (Za te „zasługi” czytelnicy odsyłali mu jego książki.)

Piotr Kuncewicz, znany publicysta, historyk literatury, w latach 1990–2003 prezes ZG ZLP; od 2004 roku Wielki Mistrz Łoży Masońskiej Wielkiego Wschodu Polski. (Do kolejnych stopni masońskiego wtajemniczenia dopuszczany w czasie prezesowania Związkowi Literatów Polskich.)

Marek Wawrzekiewicz, od 2003 roku do chwili obecnej piastujący godność prezesa ZG ZLP, już w 1967 roku został „zaszczycony” zespołową nagrodą III stopnia Ministra Obrony Narodowej za widowisko plenerowe *Balada partyzancka*. (Jeśli to był rok 1967 i nagroda ministra MON, to bez wątpienia „ballada” tylko opiewała dzielnych żołnierzy GL i AL walczących „ramię w ramię” z partyzantką radziecką.) Od 1972 r. członek PZPR, attaché kulturalny ambasady PRL w Moskwie, według IPN w 1980 roku konsultant SB...

Po upadku reżymu Jaruzelskiego, grupa pisarzy rozwiązanego Związku Literatów Polskich, którzy odmówili wstąpienia do „zlepu”, podtrzymujących w konspiracji niezależne życie literackie, przystąpiła do powołania nowej literackiej organizacji.

31 maja 1989 roku odbył się w Warszawie Zjazd, na którym powołano Stowarzyszenie Pisarzy Polskich.

Wybrano Zarząd Główny, w którego skład weszli prawie wszyscy członkowie solidarnościowego Zarządu Głównego ZLP. Prezesem został Jan Józef Szczepański, też prezes tamtego Zarządu. Legitymację SPP z numerem 1 otrzymał Laureat Nagrody Nobla, Czesław Miłosz.

Przed powołaniem nowej organizacji nie wystąpiono do sądu o likwidację bezprawnie utworzonego „Związku Literatów Polskich”. Skutki tego niedopatrzania trwają już trzydzieści siedem lat. Na zasadach „zasiedzenia” już nawet prawnie nie można zlikwidować ani organizacji, ani nazwy. Legitymacja tego związku nie świadczy o profesjonalnej wartości dorobku literackiego jego członków, gdyż dążąc do powiększania szeregów, zaniżano kryteria oceny przyjmowanych kandydatów spełniających tylko „warunki formalne”.

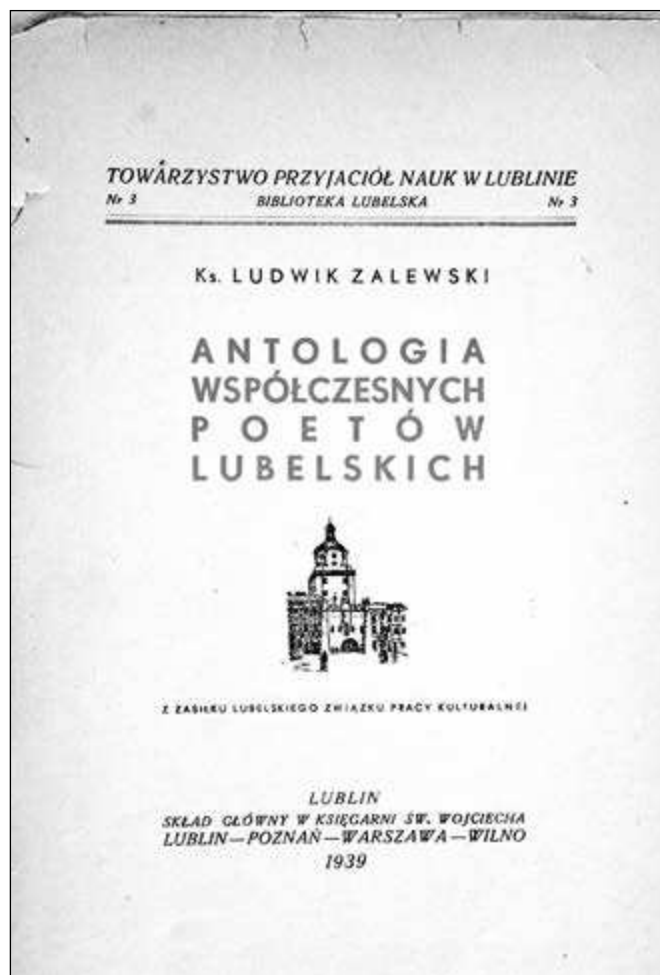
W konsekwencji w III Rzeczypospolitej działają dwie organizacje literackie, skupiające literatów i pisarzy o różnych tradycjach i niejednoznacznej profesji dorobku literackiego. Obydwie organizacje twierdzą, że przedłużają tradycję powstałego z inicjatywy Stefana Żeromskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich. (Należy dodać, że w okresie stulecia były to chlubne, niechlubne i kompromitujące tradycje.)

Na podstawie zawartego porozumienia został podzielony majątek dawnego Związku Literatów Polskich. Nie podzielono przywilejów dawnego ZLP, gdyż zostały zlikwidowane. Zarządy główne obydwu organizacji, bez głośnych konfliktów, mieszczą się pod jednym dachem, w Domu Literatury przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Grozi im eksmisja, gdyż władze stolicy zwiększyły kilkakrotnie czynsz za użytkowane lokale.

Prestiż moralny i materialny literatów i pisarzy w III Rzeczypospolitej znacznie się obniżył. Zyskali wprawdzie nieograniczoną wolność druku i wypowiedzi, chroni ich prawo autorskie. Najpopularniejsi otrzymują nagrody. Wielu odznaczenia, wsparcie finansowe, a nawet stypendia Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Niestety, dużo wartościowych pozycji ginie w zalewie ukazującego się grafomaństwa, którego nikt nie próbuje opanować. Łatwiej jest, zamiast ślęczyć nad książką, oglądać telewizyjne seriale... Przy okazji stulecia należy zastanowić się nad rolą literatury i autorów uprawiających twórczość literacką. Może po ustaniu pandemii należy zorganizować sesję naukową, na której w sposób obiektywny omówiono by dzieje organizacji oraz przedyskutowano perspektywy życia literackiego w III Rzeczypospolitej? Poza dyskusją i politycznymi sporami pozostaje fakt, że tylko pisarze i poeci w ostatnim stuleciu potwierdzili potencjał twórczy polskiego narodu czterema Nagrodami Nobla.

Lubelska parafia poetów

LEŻY PRZEDĘ MNĄ KSIĄŻKA, KUPIONA DAWNO TEMU w jednym z lubelskich antykwariatów (kiedy jeszcze takie były) i jeszcze dawniej wydana, bo w pamiętnym roku 1939 (wtedy się urodziłem), sfatygowana i przez to jeszcze bardziej cenna, prawdziwe cymelium: *Antologia współczesnych poetów lubelskich*¹. Była dziełem księdza (!), Ludwika Zalewskiego, co stanowiło pewnego rodzaju ewenement w skali krajowej, postaci mocno wrośniętej w miejscowe środowisko literackie, który w przedmowie mianował się żartobliwie proboszczem tej osobliwej parafii złożonej z poetów, których znał i z którymi się przyjaźnił. Nie wiadomo mi, czy – kapłan z powołania, historyk z wykształcenia, bibliofil i – jak się rzekło – przyjaciel poetów – sam pisał wiersze. Jeśli tak, to byłby prekursorem kapłanów-poetów, których tylu namnożyło się w czasach powojennych... Ale na poezji się znał. Miał, oczywiście, swoje gusta i preferencje, co widać zarówno po doborze autorów, z których znaczna część jest dzisiaj (niestety) prawie zupełnie nieznana, jak i ilości stron, jakie im poświęcił. Ale tak bywa w każdej antologii, tu zaś trudno było o obiektywizm w stosunku do osób, z którymi łączyła antologistę serdeczna przyjaźń, spotkania w gronie miejscowych bibliofilów (do „księdza Ludwika” zwracał się Czechowicz w wierszu *Z kroniki bibliofilów lubelskich*, czym z pewnością sprawił mu przyjemność), atmosfera miasta, o którym mówiono, że jest przyjazne poezji. Było jednak paradoksem, że w roku, w którym ks. Zalewski ogłaszał swoją antologię Lublin był miastem... bez poetów. Ścisłej, zostało ich tu zaledwie trzech – czterech, reszta zaś wyjechała do Warszawy, oddając się tam różnym zajęciom, włącznie z sędziwą poetką Franciszką Arnsztajnową (ur. 1865). Czyżby Lublin nie gwarantował sukcesu w szerszej skali, jak tego dowodził przykład Czechowicza i poetów jego „kręgu”, o których zaczęto mówić dopiero wtedy, kiedy opuścili miasto? Drugi paradoks polegał na tym, że zrobili karierę (niekiedy przeciętą



w pół drogi, jak w przypadku Bronisława Ludwika Michalskiego) jako poeci prowincji, bynajmniej nie dlatego, że w ich wierszach pojawia się Lublin i miasta Lubelszczyzny, ale dlatego, że sceneria prowincjonalna dobrze odpowiadała nastrojom katastroficznym, przecuciom grozy wiszącej nad światem: „w prowincji tej, gdzie salwa co dzień błyska”, pisał Miłosz w *Kołyсанce*, dedykowanej Czechowiczowi.

A pozostali? Wolno wątpić, czy należeli ściśle do „parafii ks. Zalewskiego”, jeśli ich umieścił, to dlatego, że przez pewien czas związani byli z kulturalnym i literackim życiem miasta (kryterium to miało znaczenie), ale →

¹ Ks. Ludwik Zalewski, *Antologia współczesnych poetów lubelskich*. Lublin. Skład Główny w Księgarni św. Wojciecha Lublin–Poznań–Warszawa–Wilno 1939. Ukazała się jako trzeci numer Biblioteki Lubelskiej pod patronatem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Lublinie.



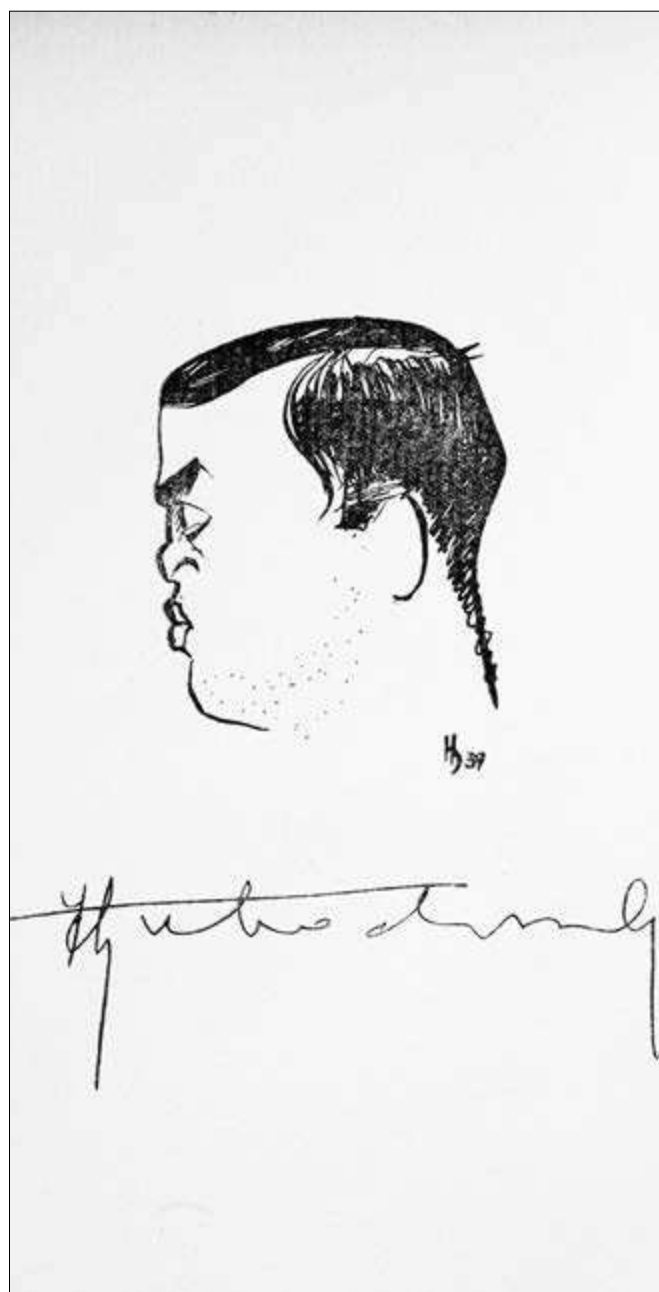
i oni także znaleźli się poza Lublinem: Tadeusz Bocheński, Mieczysław Kossowski (kto ich dzisiaj pamięta?) czy Stanisław Grędziński. Osobną grupę stanowili autorzy wywodzący się ze wsi lubelskich (co starannie odnotował w biogramach ks. Zalewski); Stanisław Ciesielczuk, Władysław Podstawa i Jan Szczawiej, którzy wprawdzie opuścili rodzinne strony i swą dalszą karierę zawodową i poetycką zawdzięczają miastu (w Warszawie Ciesielczuk związał się z grupą Kwadrygi), to jednak realia wsi i przyroda stanowiły dominujący motyw ich twórczości. Nie zabrakło też w książce wierszy Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, założyciela „Kamenu”, który przecież także mieszkał nie w Lublinie, a w Chełmie. Antologia poezji lubelskiej ukazała się w mieście, gdzie poetów było jak na lekarstwo.

Nie była zbiorem wierszy o Lublinie, choć znalazły się też i lubliniana. Począwszy od Arnsztajnowej. Sędziwa poetka, starsza od Leśmiana (ur. 1865), podówczas mieszkająca w Warszawie, spędziła w Lublinie najlepsze lata swego życia (ofiara likwidacji getta warszawskiego w roku 1943), czego nie omieszkła zaznaczyć w biogramie redaktor antologii, przypominając, że już na „ławie szkolnej rozpoczęła konspiracyjną pracę oświatową”, biorąc potem udział „w pracy niepodległościowej”, czego aż nadto wyraźny ślad pozostał w jej wierszach (*Na złotym moście, O wodzu, Głos poległym*). Topografia Lublina, wspomnienie miejsc, za którymi tęskniła, obecne są w wierszach tej poetki: *Pod kościołem księży misjonarzy w Lublinie, Wiatr nocny Starej Fary*, co jest o tyle ciekawe, że na tej płaszczyźnie nawiązał się jej dialog z Czechowiczem w postaci wspólnie wydanego tomiku wierszy *Stare kamienie* (1934). Nazwisko Arnsztajnowej słusznie znalazło się w antologii poetek Młodej Polski², gdyż to w tej epoce biją źródła jej twórczości, poezji na swój sposób oryginalnej, co może nie znalazło pełnego wyrazu w wyborze, ale i on daje wyobrażenie o wysokiej kulturze literackiej autorki, biegłości wierszowania, co prawda naznaczonego stylem epoki, ale wolnego od manieryzmów. Dla poetów, którzy opuścili Lublin, miasto młodości stało się obiektem sentymentalnych westchnień i wspomnień, miastem-mitem. Ze swymi placami, zaułkami, kościołami, osnute zmierzchem i snem, położone na łąkach, źle okonturowane jako całość, ulokowane na pagórkach, które stopniowo wyłaniały się z mroku itp., spychało jakby wszystko inne na margines historii, odsuwało teraźniejszość w mityczną przeszłość. Ta zaś stanowiła kontrast dla innego mitu. Mitu nowoczesnego miasta, bo wszak i on jest jakoś obecny w tej poezji pretendującej przecież do miana awangardowej. Ale ciekawe, że pejzaż wielkomiejski, znany z tylu wierszy przedwojennych poetów, dzisiaj już trochę naiwny w doborze rekwizytów, jakoś nie przystaje do Lublina. W wierszu Domińskiego (od Arnsztajnowej dzieliła go niebagatelna różnica 48 lat!) zmierzch, który osnuwa miasto zdaje się być wciąż „lubelski”, tylko reszta, zdecydowanie mniej ciekawsza, zdaje się być atrybutem wielkiego miasta: tętno życia, dynamika, sznury anten, muzyka tramwajowych dzwonek, elektryczne reklamy, melodia tanga, krzyki, hałasy, samotność w tłumie (*Zmierzch*). *Polesie* tegoż poety (wcale dobry wiersz) zawiera, jak u Łobodowskiego, wyraźne akcenty społecznego buntu, ale i tu Lublin jawi się wciąż w tej samej oprawie, którą przywykliśmy wiązać z Czechowiczem: „Namiotem murów opada w pachnące kosze łąk”, „pomarszczonym zaułkom idę na przeciw/ młodość

² *Poetki Młodej Polski*. Zebrał i opracował J.Z. Jakubowski, Warszawa 1963.

na barkach kołysząc”, „szedłem z dalekich miast/ do ciebie, Lublinie, po sny” (*Wspomnienie o Lublinie*). Trudno byłoby oczekiwać od autora antologii dystansu do takiego wizerunku miasta, owszem, gdzie tylko mógł starał się ów *genius loci* wydobyć z wierszy powierzonych mu „parafian”, nieświadomy, że utrwała wizerunek, który miał przetrwać lata.

Antologia ks. Zalewskiego jest retrospektywą, spojrzeniem wstecz na dorobek poetyckiej grupy, która grupą w sensie literackim nigdy nie była, zbyt silne były bowiem różnice pokoleniowe, nigdy też nie przyszłoby nikomu do głowy upatrywać w ówczesnej poezji lubelskiej znamię odrębnego prądu czy kierunku, czegoś, czego nie było gdzie indziej. Ale był „Reflektor”, pismo i grupa złożona z czterech poetów, lubelska awangarda, jedna z pierwszych (1924–1925), wcale nie gorsza od innych, żywiąca nadzieje i jak one – skazana na krótki żywot. Pismo przestało istnieć po wydaniu trzeciego numeru, zaś „reflektorowcy” rychło jako grupa też zamilkli, rozjechali się po świecie, przestali istnieć, zasłużyli (z jednym wyjątkiem) na wzmiankę w podręcznikach, jako lokalna, lubelska osobliwość. Niemniej obecność w antologii „spółki czterech poetów”, jak ich kiedyś nazwał Czechowicz: Konrada Bielskiego, Czechowicza, Wacława Gralewskiego i Stanisława Grędzińskiego z wielu względów zasługuje na uwagę³. Pozwala odpowiedzieć na pytanie, jakie standardy nowoczesności, gdyż takie były aspiracje grupy, obowiązywały w tej poezji i czy istotnie Czechowicz wywarł na nią jakiś ożywczy wpływ. Na przykład wiersz Konrada Bielskiego *Przygoda*, choć nie najlepszy, jest godny uwagi, bo pokazuje, w jakim kierunku szły poszukiwania nowej poezji. A szły ku temu, co wtedy uchodziło za nowe, a więc niespodziewane, tajemnicze, niewyraźne, słowem – nowoczesne. Świat codziennych zdarzeń obfituje w nieoczekiwane obroty rzeczy, za rogiem czeka poetę spotkanie z niewiadomym, „z głębi zaułków i placów skrzydlatych” wyłania się coś, czego istnienia nikt przed nim nie podejrzewał, gdyż „czaru wyrazić nikt nie potrafi”, „zamknięte drzwi od proga,/ w oknach firanki–/to już otwarta droga/ do niespodzianki”. Jak program brzmią słowa poety: „Szukałem rzeczy nowych na każdej ulicy” (ostatnio popularnością cieszyło się hasło „Lublin – miasto inspiracji”, można by rzec, że Bielski wymyślił go znacznie wcześniej). Egzotyki nie trzeba szukać w miastach północy, gdzie blask swój roztacza zorza polarna, w Paryżu czy w Bagdadzie, skoro jest na wyciągnięcie ręki: „nie wiedziałem, że jest tak blisko”. Inny wiersz tegoż samego autora, *Ewokacja*, traktuje o podobnym: poszukiwaniu słowa magicznego,



takiego, które byłoby w stanie odsłonić rąbek tajemnicy, objawić to, co skryte pod powierzchnią zjawisk: „najtrudniej jest o słowo. Jeśli się ono objawi,/ świat w biegu można zatrzymać, zrównać się z Bogiem prawie”. Jest to prośba o „zakłęcie” twórcze: „Magiczne pentagramy na ścianach rozmieściłem”, a wszędzie chodzi o jedno: objawić rewelatorską moc słów, wejść w fazę „przemysłną”. Była to idea, jaką znajdziemy u wszystkich ówczesnych awangard.

Mógłby ktoś zarzucić, że zbyt wiele miejsca poświęcamy poecie, który talentem nie dorównywał Czechowiczowi i że to, co w tych wierszach brzmi jak program, tylko on potrafił zrealizować w poezji. Owszem, chodzi nam jednak o wspólną dla ówczesnych awangard, jeszcze nieopierzonych, tendencję do poszukiwania nowego uchwytu z teraźniejszością, by przypomnieć znane słowa →

³ Określenie takie padło w artykule *Reflektor* w „Ziemi Lubelskiej” w r. 1930 (zob. J. Czechowicz, *Pisma zebrane*, t. 5. *Szkice Literackie*. Oprac. T. Kłak, Lublin 2011, s. 150–152.

Peipera, znalezienia nowego języka, który byłby w stanie udźwignąć takie zadanie. Wszak kolejny wiersz Bielskiego *Do przyjaciół* pisany jest w imieniu grupy, jest to kolejny manifest Reflektora, nie wiadomo, wcześniejszy czy późniejszy od podobnego wiersza Czechowicza *We czterech* z tomu *Kamień*. Oto Bielski:

Tworzymy nową treść, nowe formy.

Siły mierzymy na zamiary.

Mamy wytknięte cele,

A wciąż ścigają nas przeszłości mary

I wciąż nas tak mało, przyjaciele!

No cóż, taka była skala talentu Bielskiego, że najłatwiej przychodziło mu pisać programy, ale ich realizację zostawiał już jednak innym. Sam nie miał na to siły. Podobnie było z drugim „reflektorowcem”, Gralewskim, który do nowoczesności szedł krętą drogą, a tam, gdzie próbował mówić własnym głosem, okazywało się, że tylko naśladuje mistrza (*Knajpa* wydaje się być tylko echem wiersza Czechowicza pod takim samym tytułem z *Kamienia*). Grędziński, starszy od Czechowicza (ur. 1895), nim znalazł się w Reflektorze, uczył się sztuki awangardowej od krakowskich futurystów, wiążąc się z lepiej znaną, choć też lokalną, Katarynką. Ale i o nim można powiedzieć to, co o dwóch poprzednikach, że jako poeta skromnego talentu okazywał się mało odporny na wpływy, tak że z jednej strony ten rodzaj poezji, jaką uprawiał przypomina Jasińskiego (dowody nietrudno znaleźć), z drugiej równie łatwo można wydobyc ślady lektur wierszy Przybosia, zwłaszcza z tomu *Sponad* (bohater *Drogi* to bliski kuzyn postaci *Mimochodem o jednookim*). Wreszcie Antoni Madej, który jak na skalę talentu jest ilością wierszy wyraźnie w antologii nadreprezentowany, mało pod tym względem ustępując Czechowiczowi. Najlepsze są o tematyce religijnej, ale to za mało, by przyznać twórcy, autorowi licznych tomików wierszy, jakiegokolwiek większe znaczenie. Rezumując, czwórka z Reflektora, jeśli ubiegała się o laur nowoczesności, to poza Czechowiczem, który poszedł własną drogą, nieosiągalną dla innych, świeciła odbitym blaskiem ówczesnych awangard i jeśli budzi dziś zainteresowanie, to z powodów natury historycznej, bardziej jako dokument chwili, niż fenomen poezji

Zupełnie inaczej było z „kręgiem Czechowicza”, a przypomnijmy, że należeli do niego różni poeci z lat trzydziestych, niekoniecznie związani z Lublinem, ale z lublinian są to trzy nazwiska, wymienione wcześniej: Łobodowski, Michalski i Domański. Wszystkich autor *dnia jak co dzień* miał jakby pod swoją opieką, z uwagą śledził ich rozwój i udzielał wsparcia, co skłania oczywiście do poszukiwania wpływów i zależności, czego wykluczyć nie można, ale w stopniu dalekim od dosłowności. Łobodowski



reprezentowany jest zaledwie przez parę wierszy (dla innych ks. Zalewski okazał się bardziej łaskawy), począwszy od wczesnego tomiku *W przeddzień* z roku 1932 (*Ostateczne, Mickiewicz*), do *Rozmów z ojczyzną* z roku 1936 (*Noce lubelskie, Do ojca, Rozmowa z Rosją*). Wyłania się z nich wizerunek poety-buntownika, dla którego poezja była formą wyrażania protestu przeciwko krzywdzie i niesprawiedliwości, ale też poety, dla którego sceneria Lublina stała się zachętą dla wyrażenia katastroficznych przeczuć i proroctw, szkołą wizjonerstwa, które swym kosmicznym rozmachem zdawało się obejmować ludzkie uniwersum, postawione w obliczu zagłady zbliżającej się wielkimi krokami. Jeszcze mniej jest wierszy Domańskiego, utalentowanego poety, z którego paru wierszy



umieszczonych tutaj bije sugestywna atmosfera sielanki i zgrozy. Cytowany już *Zmierzch* czy *Noc* wskazują na niepoślednią umiejętność wywoływania nastroju zgrozy przy pomocy obrazów, z których każdy stanowi układ odniesienia dla szerszej wizji splatającej urok i spokój przyrody z grozą rzeczy ostatecznych, jasność z ciemnością, dobro ze złem.

rzeki szumią, zwierzęta i bór,
grają drzewa zieloną struną,
dom mój śpiewa niebu na wtór,
wschodzą trawy mosiężną luną

Można w tym odkryć elementy typowe dla poetyki katastroficzej, do której akces zgłosiło wielu poetów mających Czechowicza za swego mistrza, Domiński wszakże

broni się dzielnie jako poeta o własnym obliczu, czego udowodnić w pełni się nie da na przykładzie zaledwie paru wierszy. Wreszcie Michalski, o którym Miłosz powiedział, że był „za dobry i za wrażliwy żeby żyć”⁴ (w r. 1935 popełnił samobójstwo), jest reprezentowany nieco lepiej, ale i ten wybór nie jest przecież na skalę jego talentu. A posiadał go w stopniu zdolnym zaspokoić wybredne gusta, celując w poezji „z drugim dnem”, otwierającej perspektywy na wieczność, a przecucie śmierci w takich wierszach, jak *O fiołkach wieczorów...* („cóż odpowiesz groźnej siostrze, śmierci,/ gdy warkoczem zetlałym zabłyśnie”), *Zachód* („Wnet oddam złą czerwień, wnet oddam złym ceniom,/ niech wszystko wraz ze mną zagarną”) czy *Ostatni wiersz*, najbardziej przejmujący, dodatkowo spokrewnia go z Czechowiczem⁵. Z dzisiejszego punktu widzenia, gdyby z ówczesnych poetów lubelskich ułożyć wybór wierszy, obroniliby się może (?) niektórzy „reflektorowcy”, przede wszystkim jednak grupa z „kręgu Czechowicza”, cóż, kiedy tutaj tak ubogo reprezentowana. Są za to, owszem, poeci, o których wybitny, mimo wyłącznie skamandryckich upodobań, Karol Wiktor Zawodziński, wypowiedział się mało przychylnie, charakteryzując dorobek awangardy lubelskiej: „po wyemigrowaniu do stolicy głównych asów rozpadła się lub jest reprezentowana przez bardzo skromnych epigonów spośród »poetów wsi«”⁶. Krytyk miał na myśli poetów, o jakich już napomknęto: Ciesielczuka, Podstawkę i Szczawieję, a o wierszach których tyle tylko powiedzieć można, że odwołują się do stereotypowych wyobrażeń wsi i pracy na roli w sposób praktykowany przez poetów dawnych, tak że zwyczajność reklamowana w tytule jednego z wierszy Ciesielczuka jest obietnicą bez pokrycia. Zwyczajnej wsi w tych wierszach nie ma, jest wieś poetyczna, która dla tych poetów rysuje się jako azyl spokoju i bezpieczeństwa, a tego właśnie im w mieście zabrakło. „Poślij ten uśmiech zdobyty/ znużeniu twych siostr i braci/ od których oddalił cię los”, mniej więcej w takim stylu pisał Podstawka (*Ku żniwom*).

Kazimierz Andrzej Jaworski, popularny później w środowisku lubelskim KAJ, też pisał wiersze tradycyjne i do prawdy mało troszczył się o to, by pod względem formy sprawiać wrażenie nowoczesnego artysty. Nie zależało mu na tym. Szewczyk z wiersza *On i jego buty* przypomina trochę postacię z Leśmiana („zrósł się ze swym

⁴ Cz. Miłosz, *Czechowicz – to jest o poezji między wojnami*, cyt. według: tegoż, *Kontynenty*, Paryż 1958, s. 267.

⁵ Zachował się zaledwie konspekt odczytu o Michalskim, poświęcił mu też Czechowicz wspomnienie pośmiertne (zob. J. Czechowicz, *Pisma zebrane*, t. 5, *Szkice literackie*, s. 174 oraz 183–184).

⁶ K. W. Zawodziński, *Liryka polska w dobie jej kryzysu*, „Przegląd Współczesny” 1939 nr 206, cyt. według: tenże, *Wśród poetów*. Oprac. W. Achremowiczowa. Wstęp J. Kwiatkowski, Kraków 1964, s. 187–188.

stołkiem w nierozłączną całość”), ale i tu i gdzie indziej chodziło głównie o podkreślenie akcentów społecznych, krzywdy, jaka spotyka ludzi-robotów. Gdy inni próbowali z prowincji wydobyć esencję poetyckości, KAJ od niej ucieka: „Gdy prowincja mnie dojmie dokuczliwą plotką/ i zbrzydnie znany widok nudnych twarzy tyłu”, wtedy marzy o wyprawie w góry i podróżach na wyspy szczęśliwe. Byli mu pod tym względem bliscy ci, którym dzień dzisiejszy, dzień jak co dzień, nazbyt łatwo kojarzył się z egzystencją pozbawioną znamion człowieczeństwa, jak to jest np. w wierszu Bocheńskiego *Dziś*, gdzie czytamy, że dzisiejszość, której poeta serdecznie nie znosi, nie pozwala mu być człowiekiem, tępi myśl, nie ma w niej miejsca dla prawdy, dobra i piękna itd. Skądś to znamy. Czechowicz pisał o pierwszym numerze „Reflektora”, że „miał charakter wystąpienia epigonów młodopolsko-leśmianowskich”⁷, co z pewnością pochwałą nie było, ale dobrze charakteryzuje klimat, jaki panował w Lublinie. Poetyka, którą w Dwudziestoleciu obwiniano za wszelkie zło, przerosty stylu, nastrojowość itp. zdaje się tu święcić triumfy dłużej niż gdzie indziej, naznaczyła debiuty poetów znacznie młodszych od Arnsztajnowej.

Przy nazwisku Czechowicza jest najwięcej wierszy i inaczej być nie mogło, nawet dla ks. Zalewskiego, który gustował raczej w poezji innej, ale autora *nuty człowieczej* z pewnością cenił. Co z niego wybrał dla swej antologii? Wiersze, które już wówczas stały się niejako znakiem firmowym tej poezji: *Na wsi* czy *Sen sielski*. Najbardziej jednak przemawiał mu do przekonania Czechowicz jako poeta prowincji w tym szlachetnym znaczeniu, jaki prowincja miała dla autora *Prowincji noc* (nie tylko zmienił tytuł poematu na *Prowincja w nocy*, ale też zaopatrzył poszczególne części w tytuły, których w oryginale nie miały: *Kazimierz*, *Krasnystaw*, *Puławy*). O guście antologisty świadczą też takie tytuły, jak *Wieczór zimowy*, *O matce*, *Kościół Św. Trójcy na Zamku*, *Piosenka czeski domek*, *Modlitwa* (tłumaczenie z Lermontowa). Były to wiersze ważne, ale każące spojrzeć na poezję Czechowicza jakby tylko z jednej strony, tej „łatwiejszej” dla czytelnika. Ale jak bardzo cenił Czechowicza, świadczy to, że zwrócił się doń z prośbą o napisanie czegoś w rodzaju przedmowy, która, jak to zwykle u poety bywało, stała się dlań okazją do snucia refleksji na temat poezji i poety, „dziwności istnienia”, „irracjonalnej głębi rymów” (nb. przypomina to znany esej Leśmiana z roku 1910 *Rytm jako światopogląd*) itp. O Lublinie pisał Czechowicz, mieszkając podówczas w Warszawie, jako wspólnym domu poetyckim, tymi słowy zwracając się do miasta: „Miasto rodzinne, ilekroć mi ciężko lub najciężej, do ciebie zwracam

się pamięcią, a gdy pamięć twarde przeżycia przypomina – to sercem, to wyobraźnią. Miasto na skłonie pagórka rozłożone, dzwoniące kościołami dzieciństwa, poddające mury odwiecznych budowli słońcu, które tam tyle razy wschodziło to samo, co i gdzie indziej, lecz inne!”. Ta liryczna pochwała miasta rodzinnego, pełna tonów osobistych, nadaje antologii poezji lubelskiej zupełnie wyjątkowy sens, bo poświadczony doświadczeniem wielkiego poety. „Nas gna wielki niepokój naszego czasu”, pisał, czyniąc aluzję do głośniejszego podówczas księżki Artura Górskiego⁸. „W tym straszliwym zamęciu, w którym jedyną troską społeczeństw jest, czy wojna będzie dziś, czy jutro, w tej epoce nie do opisania, wieszczonej przez średniowieczne proroctwa, obliczającej koniec świata na rok 1944, gdzie znaleźć grunt pod stopami? Czego mają dotknąć upadający w nawałnicy, by odżyć, by zaczerpnąć nowej siły?”⁹. Otóż wybór sporządzony przez ks. Zalewskiego zdaje się być wolny od tego katastroficznego proroctwa, gdyby nie Czechowicz i tacy skupieni wokół niego poeci, jak Łobodowski, Michalski czy Domiński, nie moglibyśmy się nawet domyśleć, że antologia ta powstała na moment przed zawieruchą, która miała wstrząsnąć światem, na parę miesięcy, tygodni, a może dni przed śmiercią Czechowicza. O czym mógł wtedy myśleć proboszcz swojej lubelskiej parafii?

JERZY ŚWIĘCH

SŁOWO O KARYKATURACH

Karykatury poetów: Franciszki Arnsztajnowej, Józefa Czechowicza, Józefa Łobodowskiego, Władysława Podstawki, Mieczysława Kossowskiego, Wacława Gralewskiego, Tadeusza Bocheńskiego, Henryka Domińskiego, Stanisława Ciesielczuka, Konrada Bielskiego, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego pochodzą z *Antologii współczesnych poetów lubelskich* (1939) ks. Ludwika Zalewskiego. Autorami karykatur są: Stanisław Dąbrowski, Henryk Donga, Zenon Waśniewski.

(RED.)

⁷ *Reflektor*, zob. J. Czechowicz, *Pisma zebrane*, t. 5, *Szkice literackie*, s. 149.

⁸ A. Górski, *Niepokój naszego czasu*, Warszawa 1938.

⁹ *Antologia współczesnej poezji lubelskiej*, cytaty ze s. 7–8; przedruk przemowy [w:] J. Czechowicz, *Pisma zebrane*, t. 5 *Szkice literackie*, s. 122–123.

Maria Kuncewiczowa o Jerzym, współtwórcy jej świata

EDWARD
BALAWEJDER

MARIA I JERZY KUNCEWICZOWIE – ona znakomita obserwatorka i kronikarka swojej epoki, wybitna pisarka, eseistka, autorka powieści psychologicznych, opowiadań, felietonów, on prawnik, politolog, działacz ludowy, aktywny uczestnik burzliwych wydarzeń XX wieku – byli wyjątkową parą, ich małżeństwo trwało prawie 63 lata. Skąd czerpali siłę, by być tak długo ze sobą, wspierać się, na jakich zasadach tworzyli i organizowali swój świat? Świat ludzi o bardzo odmiennych charakterach, zainteresowaniach, potrzebach i oczekiwaniach.

Maria Kuncewiczowa w swojej twórczości, głównie w *Fantomach*, *Naturze*, *Kluczach*, *Przeźroczach*, a nade wszystko w *Listach do Jerzego*, także w licznych wypowiedziach, często bardzo szczerze i niezwykle barwnie, wspominała swojego męża, opisywała wspólnie przeżywane lata przedwojenne, okres emigracji, czasy powojenne, przywołując informacje o jego rodzinie, pochodzeniu, sprawach zawodowych i towarzyskich, często szczerze opisując wzajemne małżeńskie relacje, wspólne podróże, wzajemne wspieranie się i towarzyszenie sobie we wszystkich wydarzeniach trwającego 63 lata małżeństwa. Jerzy był w tym niezwykle powściągliwy, nie dawał wyraźnych sygnałów o swoim stosunku do żony, o osobistym widzeniu ich wspólnego życia. On wypowiadał się swoim zachowaniem, stosunkiem do żony, organizacją wspólnie przyjętego małżeńskiego zobowiązania, a jego wypowiedzi odnosiły się raczej do ogólnego rozumienia pojęć dotyczących relacji międzyludzkich. Swoje życie osobiste, rodzinne, zawodowe, towarzyskie, twórcze organizowali od roku 1921 w Warszawie, miejscu stałego zamieszkania, w Kazimierzu spędzali najpiękniejsze, beztrudne przedwojenne lata, przeżywali okres bujnej miejscowej bohemy, pracowali twórczo, po 1939 roku wspierali się wzajemnie w trudnych latach emigracji we Francji, w Anglii i Stanach Zjednoczonych, towarzyszyli w licznych podróżach zagranicznych. Od roku 1970 Kazimierz stał się ponownie miejscem, stałego już, zamieszkania, działalności literackiej, rozlicznych polskich i międzynarodowych kontaktów towarzyskich i artystycznych, Stąd wspólnie patrzyli na świat, na ludzi, obserwowali



ważne wydarzenia, oceniali otaczającą ich rzeczywistość. W dniu 14 marca 1984 roku umarł Jerzy Kuncewicz, pięć lat później 15 lipca 1989 roku Maria Kuncewiczowa. Tu też są pochowani w przygotowanym wcześniej grobie.

Jeśli starannie prześledzimy teksty pisane i wypowiedzi Marii Kuncewiczowej odnoszące się do jej życia osobistego, napotykamy bardzo ciekawe informacje o specyficznych stanach uczuć, istniejących między nią i jej mężem, ich związku, wzajemnych relacjach. Trudno jednak szukać zwierzeń bardziej intymnych, jej wczesnej młodości i młodzieńczych miłości, jeśli nawet o tym wspomina, robi to taktownie, tajemniczo, pozostawiając domysły czytelnikowi.

Swoje dorastanie, dojrzewanie, fascynacje wspominała bowiem zdawkowo: „W ogóle nie miałam szczęścia do moich pierwszych chłopaków, czy może oni nie mieli szczęścia do mnie, bo nie byłam jak ich siostry, oni nie byli tacy jak Oleś i moja matka była złą przewodniczką do miłości, a ojciec milczał”¹. Oleś to starszy brat pisarki – Aleksander, ojciec Jana Józefa Szczepańskiego.

1 Maria Kuncewiczowa, *Fantomy*, Wydawnictwo Lubelskie, 1989, str. 105

Bardzo wymowne i niezwykle szczerze było jej wyznanie o trudnym dla niej dorastaniu w Płocku i Włocławku, gdzie pędziła lata młodzieńcze i szkolne: „Pensjonarski nastrój erotyczny nie miał nic wspólnego z kobiecością. Nic wspólnego z kobiecością nie miało tango. Nic wspólnego śpiew i w ogóle sztuka, włącznie ze sztuką ubierania się. Myślę, że w Płocku tak samo węszyłam seks w przemocy silnego nad słabszym, a we Włocławku wdychałam miłość razem z mgłą jesienną, gdybym była chłopcem. Nastrój erotyczny jest dwupłciowy. Można się nim zarazić, upoić, można w nim żyć jak we własnym klimacie, można znużyć się nim, i umrzeć w nim, nie poznawszy męskości ani kobiecości... Dopiero w Krakowie poczułam się członkiem społeczeństwa i kobietą”². Jednak dyskretnie wspominała swoje krakowskie zauroczenie, swoją miłość do kolegi prezesa „Zjednoczenia” Zygmunta Rusinka, pisząc dalej: „Krzywe odbicie tych spraw znalazło się później w pierwszej mojej powieści *Twarz mężczyzny*”³. Czytelnikowi pozostawia wszelkie domysły, jak ta miłość wyglądała. W szczerzej rozmowie z Wiesławą Czapińską poświęconej życiu, kwestii pierwszych miłości, przyjaźni wyznała: „Pierwsza miłość jest przecież zazwyczaj nieszczęśliwa. Powodem tego jest brak obycia z rzeczywistością. Pomieszanie rojenia z życiem. Tego, co jest naprawdę, z tym, czego człowiek się spodziewa”⁴.

Niewątpliwie wielki wpływ, co wynika z głębszej analizy tekstów pisarki, na osobowość, rodzącą się kobiecość i seksualizm Marii Kuncewiczowej, jej relacji z mężczyznami, roli żony, męża w małżeństwie, obowiązków rodzicielskich miał więc dom rodzinny, wzajemne relacje rodziców, odmienny stosunek jej matki do swoich dzieci, uwielbienie syna Aleksandra, wielka presja na edukację muzyczną córki. Szczerze wyznała: „Zaprzyjaźniłyśmy się, kiedy odkryła, że mam głos. Wzruszyła się, przebaczyła mi, że jestem potencjalną kobietą, opowiedziała mi swoją miłość, swój zapamiętały żal do wszystkich mężczyzn z wyjątkiem Olesia. On jeden miał być inny, bo to ona go urodziła”⁵. Jeden mały akapit poświęciła swojej innej jeszcze młodzieńczej miłości do: „...pięknego porucznika na urlopie... On pierwszy zastosował do mnie właściwy dialekt, pierwszy patrzył w oczy w sposób świadczący, że zostałam wybrana. Ja także wybrałam jego. Postanowiliśmy się pobrać, przysłał mi różaną azalię, staliśmy w ciasnej, drewnianej izdebce koło umywalni i w lustrze widziałam swoją męczeńską twarz, kiedy językiem usiłował rozchylić mi wargi. Ledwie porucznik mnie opuścił, czym prędzej wyplukałam gardło, posmak

cudzego języka w ustach był nie do zniesienia. Rok później wyszłam za Działacza”⁶.

Warto przywołać w tym miejscu opinię Marii Kuncewiczowej do obowiązującego i wymaganego ówczesnie zachowania w sprawach małżeństwa: „Społeczeństwo żądało od młodzieży ideowości, zatem małżeństwa kojarzyły się mniej z atrakcji fizycznej i ekonomicznego wyrachowania, więcej na zasadzie wspólnych przekonań. Rzadko kto zauważał, że za migotliwą zasłoną filozofii i polityki działał terror religijny chrześcijaństwa, nakazując małżonkom wierność aż do śmierci, jako okup za szczęście w niesprawdzalnych regionach metafizyki”. I w tym kontekście podaje informację osobistą: „Tak oto w maju 1921 roku weszłam biała i ukwiecona w progi kościoła Wizytek, wsparta na ramieniu ojca w czarnym garniturze, a odeszłam od ołtarza porwana szybkim krokiem Jerzego we fraku”⁷.

Z tym Działaczem (zawsze pisała wielką literą) związała swoje życie, jego – jak przyznaje później wielokrotnie – podjęła się, jego wybrała. O Jerzym, swoim jeszcze narzeczonym pisała: „to był młody, wykształcony i na stanowisku. Mówiło się, że trochę narwany, bo za dużo politykuje, ale syn dyrektorki seminarium nauczycielskiego musi się przecież wyrobić na podporę społeczeństwa...”⁸. Swojego ślubu z Jerzym Kuncewiczem nie traktowała jednak jako ważnego, osobistego wydarzenia, wspominała bowiem dalej tylko, że „wspólny cel romantyków i pozytywistów został osiągnięty”. Było to połączenie się dwóch odmiennych rodzin, jej – rodziny inteligentkiej o korzeniach romantycznych ze strony ojca Szczepańskiego i matki z Dziubińskich, z rodziną męża z przeszłością ziemiańską i pozytywistyczną – Kuncewiczów i Wyszyńskich z tradycjami inteligentkimi, prawniczymi. Na własne małżeństwo, a także małżeństwo swojego brata zawarła w 1913 roku, patrzyła też z innej jeszcze perspektywy, widząc je jako potrzebę zaspokojenia rodzinnej, oczekiwanej od czterech pokoleń wstecz, bezdomności i nadziei na pełną stabilizację. Pisała o tym „Oba małżeństwa wyrażały, mniej lub więcej uświadomioną, potrzebę powrotu rodziny wyrwanej od kilku pokoleń z własnego gruntu – do swojszczyzny”⁹. Trudno więc szukać w tekstach Marii Kuncewiczowej, także w jej wywiadach jakichkolwiek czytelnych informacji o wzajemnym przedmałżeńskim zauroczeniu, o łączącej ich miłości, zwykłych damsko-męskich stosunkach. Wszystko o czym pisała, co przywoływała, było odległe od tych spraw, było tylko szczerą informacją o specyficznym związku, który stał się

2 tamże, str. 145–146

3 tamże, str. 276

4 Pismo „Uroda” nr. 5, 1980 r., wywiad Wiesławy Czapińskiej

5 *Fantomy*, str. 10

6 tamże, str. 175

7 tamże, str. 150, 151

8 tamże, str. 275

9 tamże, str. 85

możliwy i był na swój sposób trwały. Wraca do tego po pięćdziesięciu już latach: „Jerzy myślał, że podbił mnie siłą inteligencji, nie siłą obcości. Że zwalczył innych mężczyzn, nie że ja wchodząc w małżeństwo zwalczyłam siebie. I to fortunne, jak widać, nieporozumienie przetrwało pół wieku”¹⁰.

Dopiero w długiej, bardzo osobistej, rozmowie z Heleną Zaworską, odbytej w roku 1981 w Kazimierzu, w 60. rocznicę ślubu, Maria Kuncewiczowa wyłożyła swoją całą filozofię dotyczącą wzajemnego poznawania się, stosowanego przez siebie sposobu układania wzajemnych relacji i codziennych kontraktów w małżeństwie: „Pobraliśmy się bardzo młodo... ja z młodej dziewczyny stałam się kobietą w małżeństwie, wszystko na nowo odkrywałam z tym człowiekiem..., dawaliśmy sobie bardzo daleko posuniętą swobodę. Może właśnie dlatego, że byliśmy świadomi, że razem dojrzewamy, że nie wolno nam aż tak zaciążyć jedno nad drugim... Tak się składało, że to, co w innym układzie współżycia mogłoby stać się katastrofą nie do naprawienia, u nas przemieniało się w okres próby, okres oddalenia, rozwidlenia dróg, które potem znowu mają się spotkać...”. Szczerze dalej wyznaje: „...jest we mnie poczucie drugiego człowieka oraz poczucie odpowiedzialności za los kogoś, kogo się podjęłam. Ja się tego człowieka podjęłam”¹¹. Wraca do tego także w ostatnim w życiu wywiadzie telewizyjnym w rozmowie, także z Heleną Zaworską, zarejestrowanym przez Ludwika Perskiego w 1988 roku w Kuncewiczówce.

Wspominając początki małżeństwa napisała o swoim mężu: „Mój młody mąż wtenczas chudy, zawsze głośny i chybki sprzyjał moim wokalnemu studiom i koncertom, w ogóle wszelkim artystycznym wysiłkom. Sam w kawalerskiej walizce przechowywał poemat historyczny, kilka patriotycznych liryków i parę powieści drukowanych w prasie, i to on później wprowadził mnie do Związku Literatów Polskich. Ale obracał się wśród ludzi i spraw, dla których nie miałam ciekawości”¹². Była dumna z jego wykształcenia, drogi życiowej i osiągnięć zawodowych. Przywołując wizytę w r. 1926 u brata Aleksandra dodaje: „...zjawiłam się z mężem Jerzym Kuncewiczem, który z wykształcenia na uniwersytecie w Liege był chemikiem, z zamiłowania politykiem, ludowcem, z zajęcia kierownikiem Wydziału Opieki na Dziećmi i Młodzieżą w Ministerstwie Opieki Społecznej, z planu życiowego studentem prawa, co w swoim czasie zakończyło się adwokaturą”¹³. O jego studiach, wiedzy, doświadczeniu zawodowym wspominała wielokrotnie. Potrafiła się jednak



z tym wielobarwnym i wielowymiarowym charakterem męża oswoić, częściowo pogodzić i zaakceptować, ułożyć partnerskie relacje, zyskując jego przychylną dla własnych zainteresowań i swojego, często odmiennego, sposobu na życie. Wyznała to wprost: „Wysłałam za człowieka, który nie upierał się zrobić ze mnie gęby kobiecej, rozpoznawał i uszanował we mnie fantom..., ale mój mąż Jerzy nie był i nie jest fantomem w żadnej postaci”¹⁴.

Maria Kuncewiczowa, już jako młoda żona, spotykała się z wieloma zaskakującymi ją sytuacjami, obcymi dotąd w jej życiu. Pisze: „Skojarzona z politykiem, nie umiałam przewyciężyć odrazy do abstrakcji z jednej strony, i sejmowego jarmarku z drugiej. Jerzy popadł w chłopomanie bodaj w trzynastym roku życia. Rozwijał ją w sobie do tego stopnia, że z czasem głos i wymowa przestały go wyróżniać z tłumu, a raczej stał się jednym z nich. Niezwykle bystry, świetny organizator myślący na wyrost, w sposobie bycia przypominał kmiotka-roztropka raczej niż zbiedniałego szlachcica, członka prawniczej dynastii”¹⁵. Próbuje te cechy osobowościowe swojego już męża, jego postawy, zachowania na swój sposób usprawiedliwiać tradycjami rodzinnymi i sposobem wychowania: „Tradycji – rzekomo kniaziowskiej, od strony matki, Cecylii Wyszyńskiej, prawniczej, dziad macierzysty

10 tamże, str. 165

11 Helena Zaworska, *Rozmowy z M. Kuncewiczową*, Czytelnik, 1983, str. 46–47

12 *Fantomy*, str. 165

13 tamże, str. 85

14 tamże, str. 94

15 tamże, str. 212–213

– ostatni patron Trybunału Lubelskiego, wuj adwokat-senator – wyniósł żywołową niechęć do wszelkich rządów, chłopomaństwo jako namiastkę równości szlacheckiej i pasję dialektyczną¹⁶.

O długości trwania swojego małżeństwa wspominała wielokrotnie i przy różnych okazjach, wydawała się być nawet dumna z tego, z zadowoleniem podkreślała wyrozumiałość a często poświęcenie Jerzego dla niej, akceptowanie jej zachowania, cierpliwie też znosiła jego polityczne pasje. W końcówce swojego życia pisała: „Szanowałeś mój zachwyty, moją ciemnotę, mój beztroski, urojony byt, seks nigdy nie przesłonił ci miłości. Nie pytałeś, skąd wracam. Stałeś na balkonie, czekałeś na mnie, głupią, olśnioną, nieprzytomną. I tak żyliśmy, takeśmy podróżowali. Ty myśląc – o wiecznej przemienności – chroniłeś mnie przed logiką – ja podejrzewając, że pływam w niebycie – rozwijałam w sobie wiedzę o bycie. I dopracowałam się tej wiedzy o – ludzkości. Ja? Mnie, jako przedmiotu, ciągle nie było. Ja byłam wyłącznie podmiotem, byłam świadkiem. Ty byłeś Działaczem Sprawy, zaangażowanym w każdy polski i światowy problem. Humanista, ludowiec, patriota w sensie ludzkim, nie państwowym. Byłeś także dobrze zarabiającym prawnikiem – publiczny sens naszego życia wydawał się załatwiony¹⁷. Miała niewątpliwie świadomość, że była w tym małżeńskim układzie osobą pierwszoplanową, Jerzy jej towarzyszył, organizował ich wspólne życie, uczyła się od niego poprawnego rozumowania i wyciągania wniosków z otaczającej rzeczywistości, z tej – jak pisała – wiedzy o bycie, wiedzy o ludzkości. Ta wiedza była domeną jej męża. Przekonanie, że w tym związku jest podmiotem, ośmielało ją do życia według własnych wyborów, realizacji własnych potrzeb, bez szkody dla ich wspólnych zobowiązań, ustaleń, małżeńskich planów. A Jerzy na to zezwalał.

Kuncewiczowie mieli zupełnie odmienny temperament, stosunek do otaczającej rzeczywistości, ludzi, zdarzeń. Jerzy był odpowiedzialnym urzędnikiem, czynnym prawnikiem i aktywnym społecznikiem, ideologiem ruchu ludowego, głośnym, trudnym, często upartym dyskutantem, człowiekiem bardzo ruchliwym i przedsiębiorczym, zdecydowanie broniącym swoich poglądów, bo jak go znów ocenia z tej perspektywy: „...w mojej świadomości Jerzy niezmiennie pozostawał Działaczem ...¹⁸. Maria Kuncewiczowa od dzieciństwa wykazywała artystyczne i literackie zainteresowania i zdolności, była też osobą bardzo towarzyską, odznaczającą się indywidualizmem, potrzebą swobody myślenia i postępowania, świetnie czuła się w gronie artystów, lubiła wesołe

i beztroskie spotkania, kulturalne kontakty, tańce i późne powroty do domu. Mąż nigdy jednak nie zabraniał jej uczestniczenia w spotkaniach, kontaktach towarzyskich, zabawach czy większych balach odbywających się w gronie artystów warszawskich. Bardzo ciekawie i szczerze wspominała o tym: „...byłam już mężatką – kolega – ... zatrzymał mnie na Nowym Świecie w upalny czerwcowy wieczór. Idziemy na wianki – powiedział – cała ferajna czeka w *Bristolu*. Poszliśmy roztrząsając przechodniów. Potem nie wiem, z kim razem krzyczałam, co oklaskiwałam, na czyje plecy się wspinałam, dokąd uciekałam przed burzą, gdzie zgubiłam kapelusz, jaką suknię przemoczyłam. O późnej godzinie nocy, otwierając zatrask, ziałam szczęściem jak pijak wódką. W mieszkaniu było ciemno, ze stołowego pokoju dochodził miarowy stukot fotela na biegunach. Zapaliłam światło. W fotelu siedział Jerzy i nie patrzył na mnie. Nie chciał mnie także słuchać, sam nic nie mówił, całą noc się kołysał, a ja, skulona w łóżku rozgryzałam gorycz niewoli¹⁹. Takich sytuacji w ich życiu było wiele, przywołuje je w swoich książkach i wypowiedziach. Jerzy znosił je cierpliwie...

Mając pełną świadomość tych istniejących między nimi różnic, oczekiwań, potrzeb, sposobu na życie wyznała szczerze Wiesławie Czapińskiej „...bo jakieś w końcu są wyobrażenia młodej dziewczyny o miłości...? Ukształtowane na podstawie muzyki, poezji, tradycji literatury... konfrontują się nagle, brutalnie z rzeczywistością... Przychodzi okres osadzenia się w życiu. Wybór drogi, współpraca z osobnikiem płci odmiennej. Dopasowywanie się do relacji zgoła odmiennych, do innych spojrzeń na świat, innych relacji na otaczające nas zjawiska²⁰. Dzielila się z nami bardzo szczerym wyznaniem o prawie do własnych wyborów, osobistego sposobu na życie także w rozmowie z Heleną Zaworską: „...chciałam żyć jak najintensywniej, składało się na to wiele zainteresowań... jednocześnie byłam matką małego dziecka, prowadziłam otwarty dom, byłam żoną człowieka niesłuchanie zaangażowanego w życie w wielu płaszczyznach, a mnie to także przecież zarażało. Poza tym, naturalnie, szukałam idealnego mężczyzny, którym nie może być ani mąż, albo na krótko bywa kochanek, zwłaszcza przy takim usposobieniu jak moje²¹.

W latach 30. Kuncewiczowa przeżyła kryzys i załamanie. Życie rodzinne ani praca nie dają jej poczucia spełnienia. Przeżywa romans z Adolfem Rudnickim, małżeństwo uratowała ogromna mądrość i tolerancja Jerzego Kuncewicza. Zdawała sobie sprawę z tej skomplikowanej sytuacji, bo wyznaje wprost po wielu już latach:

16 tamże, str. 86

17 Maria Kuncewiczowa, *Listy do Jerzego*, Wydawnictwo PAX, 1988, str. 24–25

18 *Fantomy*, str. 165

19 tamże, str. 176

20 „Uroda” nr. 5/1980

21 H. Zaworska, *Rozmowy...*, str. 37

„...później prosiłam ukochanego mężczyznę – fantomy nie są pozbawione umiejętności kochania: «W tej samej chwili, kiedy poczujesz, że nie jestem ci koniecznie potrzebna, daj znak, a ja zaraz zniknę». Fantomy łatwiej znikają, niż walczą. Dałam życie dziecku – fantomy nie są bezpłodne²²».

Jerzy Kuncewicz skomplikowaną osobowość swojej żony rozumiał i wykorzystywał tę wiedzę w życiu codziennym. Warto w tym miejscu przytoczyć kilka zdań z jego tekstów, zapewne w jakimś stopniu wynikających z własnych doświadczeń, chociaż nie odnoszących się wprost do ich małżeństwa. Pisał pod koniec już życia: „Kobieta i mężczyzna – a jak głębokie różnice dla utrzymania gatunku i w relacjach na otoczenie²³». W innym miejscu rozważał: „Człowiek nie stworzył natury, natura stworzyła człowieka, ...nie ma człowieka pozbawionego odrębności psychicznej..., ...Wszędzie tam, gdzie istnieje możliwość wyboru, musi istnieć świadomość, wybór zaś świadczy o wolnej woli, nie o konieczności. Jeśli istnieją dwie równorzędne konieczności, wybór dowodzi świadomości i wolnej woli²⁴». Istotę związku między ludźmi widział więc w istnieniu świadomości dzielących różnic, potrzeb, oczekiwań, wolnego wyboru, nie konieczności. Tylko to daje, według niego, trwanie nierozzerwalnego układu, w którym możliwe jest partnerstwo, mimo ograniczeń i słabości. Jakie to jest bliskie wszystkim wcześniejszym wypowiedziom Marii Kuncewiczowej. Świadoma więc wolna wola, nie konieczność kierowała zapewne jego postępowaniem, bowiem najważniejszym jego celem było stworzenie żonie pełnego ciepła, spokoju i życzliwości świata. W dalszych, chociaż bardzo zwięzłych, rozważaniach na temat relacji damsko-męskich napisał zaskakująco: „Miłość nie znosi rozważań. Rozum zmienia miłość w umowę. Instynkt utrzymania gatunku może być elementem miłości, ale nie może też być jej zaprzeczeniem. Miłość jest wyrazem tęsknoty do bycia razem w nieskończoności²⁵».

W wywiadzie udzielonym Wiesławie Kobusińskiej Maria Kuncewiczowa wyznała: „na pewno jest więcej cech łączących nas... niż cech, które stanowią barierę, niemożność zrozumienia...²⁶». Nigdy w swoich tekstach i wywiadach nie mówiła o konieczności, o uzależnieniu, podporządkowaniu, nie mówiła też o miłości. Dopiero w „Fantomach” napisała zaskakująco: „Miłość, która zna ograniczenia i słabości swojego obiektu jest naprawdę

miłością²⁷», a w końcu swojego życia w „Listach do Jerzego” bardzo szczerze, chociaż krótko, wyznaje: „...niefortunny przypadek... bo z czasem powołał do istnienia twoją żonę, osobę uciążliwą, tak uparcie przez ciebie kochaną²⁸». Miała świadomość jego miłości, potrzebowała jej do zbudowania swojej przestrzeni życiowej, w której doceniane przez nią cechy osobowości męża dały jej swobodę, spokój i szczęście.

Maria Kuncewiczowa właściwie rozumiejąc specyficzną istotę swojego małżeństwa, odwzajemniała się swoją akceptacją do jego zainteresowań i pasji. Wspierała go także w jego pisarstwie. „Robiłam korektę drukarską do *Przebudowy* i *Republiki Globu*. Czasami kłóciliśmy się. Kłóciliśmy się nie dlatego, żeby argumenty wydawały się niesłuszne, tylko były niemiłe. W tych kłótniach oswoiłam się z pojęciami, których dotąd nie zauważałam. Na szczęście mój inny, płynny byt fascynował Jerzego, dzięki temu ostałam się przy sztuce²⁹». Starła się niekiedy bardzo czynnie – jako żona i pani domu – uczestniczyć w jego działalności. „Dwie sfery życiowe sąsiadowały nie przenikając się wzajemnie. Przez ścianę dochodził mnie soczysty baryton Witosa, raz przydykowałam przy stole, za którym premier bez krawata i w butach z cholewkami odsuwał z niesmakiem sardynki i wino, często spotykałam w przedpokoju przywódców ludowych Macieja Rataja, Jacka Woźnickiego, Niedbalskiego, Aleksandra Bogusławskiego, Brunona Gruszkę, mecenasa Stefana Urbanowicza...³⁰». Nie lubiła jednak takich spotkań: „...Dawaliśmy sobie – wspomina dalej – bardzo posuniętą swobodę, co w innym układzie współżycia mogłoby stać się katastrofą nie do naprawienia, u nas przemieniło się w okres próby, okres oddalenia, rozwidlenia dróg, które potem znów się miały spotkać”.

Nie analizowała i nie oceniała głębiej poglądów politycznych swojego męża, znała je, swoiście akceptowała, miała jednak do nich wyraźny dystans, czasem zadziwienie wynikające z abstrakcyjności jego poglądów i głoszonych koncepcji. Przywołuje w swojej twórczości Jerzego Kuncewicza jako autora *Przebudowy*, *O pełne wyzwolenie człowieka*, *Republiki Globu*. Pisała: „W roku 1938 Jerzy wydał swoją *Republikę Globu* i szlachetni skądinąd politycy zżymali się: po co taki tytuł?, to jest niepoważne³¹, zaś w *Fantomach* opisuje zachowanie części ich środowiska artystycznego na wcześniejsze wydanie *Przebudowy*: „W Związku Literatów na Brackiej goniły mnie echa batalii filozoficzno-socjalistycznych, jakie mój małżonek

22 *Fantomy*, str. 94

23 Jerzy Kuncewicz, *Wieczna przemienność*, Wyd. Lubelskie, 1989, str. 147

24 tamże, str. 62

25 tamże, str. 151

26 „Argumenty” nr 31 z 31.07.1978, wywiad Wiesławy Kobusińskiej

27 *Fantomy*, str. 78

28 *Listy do Jerzego*, str. 56

29 tamże, str. 166–167

30 tamże, str. 165

31 Maria Kuncewiczowa, *Natura*, Wyd. Lubelskie, 1989, str. 153

toczył w Ziemiańskiej i kuluarach sejmowych. Karykatura Józefa Szwejca ukazuje go przy stoliku kawiarnianym z grubym tomem w ręku: *Przebudowa. Rzecz o życiu i ustroju Polski*. Tytuł następnej księgi... wyglądał jeszcze bardziej na nieporozumienie z aktualnym porządkiem³².

Zdawała sobie sprawę z jego przeszłości, młodzieńczych, pełnych emocji rewolucyjnych wystąpień. Opisała je bardzo barwnie w wielu miejscach, także później już, odwołując się do jego przeszłości, np. zwiedzając z mężem w 1971 roku Lublin, po powrocie z emigracji. Znając temperament Jerzego Kuncewicza, jego ekspresję, wyrazistość, sugestywność, naturalność w zachowaniu znakomicie opisała, nie widziane przez siebie wydarzenia z licznych wieców, w których uczestniczył młody Kuncewicz. „Zatrzymujemy się koło obelisku, i tu na tle pomnika, obok podających sobie ręce Polski i Litwy, ustrojonych w starogreckie szaty, jawi mi się dwudziestoparoletni Kuncewicz, schrypnięty od krzyku, natchniony, z rozchełstanym palcie, rok 1916, od ulicy napiera wojsko, jesień taka jak dziś, tłum się ugina, deszcz nie gasi wiecowego oratora, wrzeszczy na tłum: *Stać! Nie cofać się! Tchórze!* Tłum sztywnieje i wrzeszczy za nim: *Precz z zaborcami! Żądamy niepodległości!*”³³. Nie prowadziła z nim także głębszych rozmów dotyczących jego aktywności i stosunku do otaczającej ich rzeczywistości, nie prowokowała go do zwierzeń w sprawie widzenia przez niego polityki, osób w niej aktywnych i wpływowych. Przywołała jednak spotkanie towarzyskie w gronie przyjaciół amerykańskich, w czasie ich wakacyjnego pobytu w USA w roku 1972, podczas którego wspomniane są lata młodości, także Jerzego z okresu studiów w Liege, jego zachowania, reakcje, rozmowy, jego np. spotkanie w 1912 roku z Lwem Trockim, który komplementował go: „Pan nieźle rozumuje, nie boi się tłumy, pan by się nam przydał”³⁴, czy z Józefem Piłsudskim werbującym Kuncewicza do działalności rewolucyjnej m.in. słowami: „Będę waszym wodzem w niepodległej Polsce”³⁵. Niekiedy próbowała jednak podejmować z nim dyskusje na ten temat. „Kto wg ciebie był większym romantykiem, Trocki czy Piłsudski? Pytam Jerzego. Wzrusza ramionami: Romantyzm nie jest idea: to temperatura. Ja tym panom gorączki nie mierzyłem”³⁶. Dla Jerzego Kuncewicza były to już tylko wspomnienia tamtych, ciekawych, pełnych emocji czasów, walki o ideały które nie zostały zrealizowane wg jego koncepcji. Odpowiedź taka została dana przez niego w książce *Wieczna przemienność*, będącej zbiorem

błyskotliwych, krótkich filozoficznych rozważań i sentencji dotyczących różnych przejawów aktywności oraz natury ludzkiej a także otaczającej człowieka, nowej już, odległej od tamtej, rzeczywistości.

Maria Kuncewiczowa świadomie podtrzymywała aktywność intelektualną i twórczość swojego męża w jego końcówce życia. Do końca potrafiła z wielkim spokojem znosić i odnotowywać prowadzone przez Jerzego Kuncewicza dyskusje z ciekawymi i znanymi ludźmi, których spotykali w swoim życiu, cierpliwie w nich uczestniczyć. Ostatnie lata spędzone w Kazimierzu były okresem częstych wyjazdów do USA do syna Witolda a także letnich pobytów we Włoszech. Tu mieli okazję do spotkań z kardynałem Karolem Wojtyłą, a później papieżem Janem Pawłem II. Pięknie opisała jedno z tych spotkań, w wydanym w 1985 roku swoistym reportażu z Włoch, jak we wzajemnej dyskusji „Podnosili twórczy walor ludzkiej pracy i konieczność udziału robotników w planowaniu i zyskach”³⁷. Nie komentowała już treści i sposobu tych dyskusji. Miała bowiem świadomość, że polityka to jego życie, że z każdym rozmówcą musi podjąć sprawy z nią związane, nawet z papieżem. Wiedziała, że zawsze zajmował się fundamentalnymi zasadami ustroju Polski po 1918 roku, polityką zagraniczną, prawami i obowiązkami obywateli, polską wsią, sprawami międzynarodowymi i miejscem Polski w świecie. Spokojnie przyjmowała, że w swoich poglądach, był kontrowersyjny i bezkompromisowy, często wchodził na grunt utopii, że zawsze wierzył w możliwość racjonalnego uporządkowania życia ludzkiego w idealnej *Republice Globu*, że społeczeństwem wysoce moralnym, przedsiębiorczym, żyjącym w całkowitej wolności i swobodzie. Akceptowała go jako liberała, demokratę, ludowca, agrarystę wiernego wsi, chłopu, rolnictwu, ruchowi ludowemu. Z rezerwą akceptowała jego polityczne koncepcje, nie identyfikowała się jednak z nimi. Przyjmowała je ze spokojem. Jerzy Kuncewicz bardzo to doceniał. Pięknie wartościuje jego postawy życiowe: „Zawsze byłeś odważny w przybieraniu postaw trudniejszych od marzeń”³⁸. Jerzy wygłaszał, rozwijając argumentację, swoje poglądy, opinie i myśli tonem nie znoszącym sprzeciwu. Nie zawsze były to dyskusje dotyczące polityki. Maria spokojnie, bez emocji przyjmowała je, pozwalając sobie na taktowne uwagi i własne opinie. Dzielące ich różnice w metodyce prowadzonych u schyłku już życia dyskusji, także ich nie poróżniły, nie oddaliły od siebie tych dwóch osób ciągle o odmiennych poglądach i temperamentach, Marii – humanistki, artystki pozostającej nadal daleko od polityki, z Jerzym

32 *Fantomy*, str. 165

33 „Natura”, str. 173

34 tamże, str. 134

35 tamże, str. 134

36 tamże, str. 135

37 Maria Kuncewiczowa, *Przeźrocza*, Wydawnictwo PAX, 1985, str. 132

38 *Listy do Jerzego*, str. 37

– ludowcem, politologiem, myślicielem, radykalnym liberałem, utopistą. Urokliwe to były, czasem wielce zabawne, dyskusje.

Miała Maria Kuncewiczowa także pełną świadomość, i podkreślała to przy każdej okazji, roli swojego męża w zaspokajaniu jej materialnego bytu i warunków do pracy twórczej. Napisała o tym prosto, krótko, ale bardzo szczerze: „Czułam się doskonałą kobietą z doskonałym mężem, pracującym nie dla idei, tylko dla pieniędzy”³⁹. O jego wysiłkach, by zapewnić jej warunki do życia i pracy twórczej, pisała ciepło w swoich tekstach, powracała także do nich przez całe życie w licznych wywiadach i rozmowach. Bardzo ceniła jego poświęcenie dla niej, szczególnie w czasach emigracji amerykańskiej. Szczerze informuje czytelnika: „Jerzy był zmęczony harówką na budowach, oprawioną w jazdy samochodem po paręset kilometrów dziennie, raz o świcie, drugi raz o zmroku”. Wyznaje też: „Kiedy Jerzy spał zmęczony dniem na budowach i zatłoczonych szosach, wertowałam nieporządne kartki zdziwiona chronicznym stanem starości, która zaczęła się w młodości, a teraz wydaje się bliźniaczym bytem uczuć młodych i starych”⁴⁰.

„Muszę powiedzieć – mówiła Helenie Zaworskiej – że materialną okolicznością, która utwierdziła naszą wspólnotę, było to, że drugi człowiek z którym sprzęgło się moje życie, wybudował mi dom... jeśli on został zbudowany, jeśli już istnieje, jeśli wojna go nie pochłonęła, moje miejsce jest tam i z tym, kto ten dom wybudował”⁴¹. Wyznała więc szczerze, że istotą ich związku jest także dom, miejsce, którego szukała, miejsce, które znalazła, które stało się domem kotwicą. Pisała o tym i mówiła bardzo często przy wielu okazjach. Wracała do tego także w cytowanym już wywiadzie z Wiesławą Czapińską: „...twierdzą, że uważam się za bardzo szczęśliwą staruszkę...nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałam, że po powrocie do kraju zastanę mój dom. Moje jabłonie, wierzby, i jaśminy. To nie jest dom oddziedziczony. To jest gniazdo, które wybudowaliśmy sami z mężem... Przetrwiał i jest i do tej małej ludzkiej sprawy, powracam z uczuciem szczęścia i wiary w sens życia”. Ale też na koniec tej rozmowy wyznała zaskakująco: „Rozsądek, tylko i wyłącznie on, i życie w myśl jakichś ustalonych z góry reguł, przeraża mnie i oburza. O sensie naszego istnienia stanowi miłość”⁴². A jednak miłość. Po tych wszystkich wyznaniach, przywoływaniu ich wzajemnych relacji, opisywaniu istniejącego między nimi związku, uzależnieniach, także niepowodzeniach, jest to jej przyznanie się

do głębszego uczucia, przywiązania, miłości do swojego męża. Nie była to jednak miłość od pierwszego wejrzenia. Podkreślał to wielokrotnie w naszych rozmowach ich syn Witold, zauroczony, czasem zadziwiony, ich relacjami.

Kazimierz Dymel, lubelski publicysta i dziennikarz, wydał w roku 1985 bardzo piękny, chociaż krótki reportaż z wcześniejszych spotkań u państwa Kuncewiczów. „Tak... – zwierza się Maria Kuncewiczowa – ...przeżyliśmy wspólnie ponad sześćdziesiąt lat... Miłość, która zna ograniczenia i słabości swego obiektu i potrafi wznieść się ponad nie, dopiero ona może przetrwać próbę czasu. On jest tak różny ode mnie, a ja tak różna od niego, że musiały być kolizje, trudności w tym najbliższym w końcu na świecie stosunku, jakim jest małżeństwo... Ale z każdego zakrętu, z każdego nieporozumienia zawsze znajdowaliśmy jakieś drzwi, przez które przechodziło się w następną fazę porozumienia... zawsze chodziło o to, żeby każde z nas zachowało swoją indywidualność, stąd też wiele było sporów i konfliktów... Inne wizje świata... Ja muszę przeżywać stany jakiegoś bezgranicznego zachwyty, takich... hm... złudzeń, które się bardzo kocha. Jerzy do tych stanów euforii nie miał żadnej skłonności. Jerzy zawsze był realistą, to w końcu Jerzego i mnie, mnie może przede wszystkim, bardzo wzbogaciło”⁴³. W słowach tych zawiera się cała istota ich związku, ich relacji. Zaś Jerzy Kuncewicz wyznał: „...wierzę, że nic się właściwie nie zaczyna i nie kończy, to o naszym wzajemnym stosunku, o stosunku do mojej żony myślę tak: największym szczęściem byłoby, gdybyśmy w innej formie, w innej postaci znów znaleźli się razem”⁴⁴.

Maria Kuncewiczowa swoje małżeństwo posumowała bardzo pięknie w *Listach do Jerzego*: „Jerzy, jak bardzo niezwykłym byłeś człowiekiem poznaję za późno. Stąd nieuleczalny żal do siebie za brak zrozumienia dawniej, a teraz nieśmiałość we wnioskach ze wspólnego życia. Dedykacja na twojej książce «Wieczna przemienność» wydanej w Warszawie w roku 1983, oszołomiła mnie. Napisałeś: „Nie mogłem zaznać większej łaski Bożej, ani większej dobroci losu jak nasz związek. Proszę Ojca o utrzymanie go w każdej formie bytu. Wiem i zawsze wiedziałem, że nasz związek, mimo jego trudności, był dla mnie wielką dobrocią losu”⁴⁵, i wyznaje szczerze także od siebie: „Wiem i zawsze wiedziałam, że nasz związek, mimo jego trudności, był dla mnie wielką dobrocią losu...” i pisze dalej: „Udało się... sześćdziesiąt lat przyjaźni dwóch istot nie tylko płciowo odmiennych... Ja jestem Skorpion z żądłem skierowanym do siebie. Ty?

39 *Natura*, str. 145

40 tamże, str. 171

41 H. Zaworska, *Rozmowy z...*, str. 48

42 „Uroda” 5/1980

43 Kazimierz Dymel, *Jedna jest tylko synogarlica moja, czyli Marii i Jerzego sztuka życia*, Sądecka Oficyna Wydawnicza, 1985, str. 3, 4, 5

44 tamże, str. 13

45 *Listy do Jerzego*, str. 31

Rzekomo Byk. Hałaśliwy, zakochany i tak uprzejmy⁴⁶. Ta cytowana przez Marię Kuncewiczową dedykacja jej męża jest właściwie jedynym tekstem napisanym przez Jerzego Kuncewicza wprost odnoszącym się do oceny ich małżeństwa, jego stosunku do żony, tak samo jak wypowiedź udzielona Kazimierzowi Dymłowi na ten temat.

Listy do Jerzego są więc niezwykłym pożegnaniem Marii Kuncewiczowej ze swoim nieżyjącym już mężem, oceną ich wspólnego życia, wyrazem tęsknoty za bliską, ukochaną osobą, są stworzoną w ten sposób okazją do dalszego z nią kontaktu a jednocześnie buntem przeciwko śmierci i przemijaniu. Odwiedzała jego grób w samotności, przychodziła z przyjaciółmi, rozmawiała z nim, czuła jego obecność. Píše w *Listach*...: „jednak nadal do mnie mówisz. Poprzez czas i przestrzeń dajesz znak, że nie zerwała się więź między żyjącym a umarłym” i dalej „On nie chciał odpoczywać, nadal chciał wysiłku. Chciał przydawać się Stwórcy w nieustającym trudzie tworzenia i sam się trudzić świadomością⁴⁷. Są także *Listy*... czytelnym i publicznym wyznaniem ich wspólnej woli w sprawie losów ukochanego domu. Pisała: „Wbrew oporowi, jaki u ciebie obserwowałam przy oglądaniu cudzych rzeczy i ambicji, postanowiłeś nasz kazimierski dom przeznaczyć na muzeum. Nie udało się – siedziba pokoleń, jak kiedyś nie udało się wcielenie Europy do twojej własnej – Republiki Globu. Z gęstwiny ludzkich pomyłek wrócił ideał twojej młodości: Społeczeństwo. A więc jednak muzeum. Dokument wspólnej przeszłości tych, co jeszcze są przeszłości ciekawi. Ciekawi tego, co zmienia formę, ale nie przemija⁴⁸. Te piękne słowa, będące bardzo oryginalną definicją muzeum, są konsekwencją, licznych, wcześniejszych (od 1973 roku) zapowiedzi, także sporządzanych testamentów o planach Marii i Jerzego Kuncewiczów w sprawie przeznaczenia domu po ich śmierci. Oboje byli w tym także bardzo jednomyślni i konsekwentni. Miałem wielki zaszczyt czynnie uczestniczyć w wypełnieniu ich testamentu i współpracować z ich synem Witoldem.

Jak krótko scharakteryzować związek tych dwojga ludzi? Czy można jeszcze dodać coś nowego, do tego co wynikało z dotychczasowych rozważań?

Pragnę więc na koniec zacytować tylko wypowiedź Zofii Kucówny, serdecznie zaprzyjaźnionej z Marią i Jerzym Kuncewiczami, często bywającej w ich domu i mającej okazję przeżywać atmosferę w nim panującą: „... pozwoliliście mi wejść w głąb Waszego pożycia, otwierając przede mną jego tajemnice..., wspólne życie pod jednym dachem, niemal rodzinne, przez obcowanie, nigdy

.....
46 tamże, str. 31 oraz 114

47 tamże, str. 63

48 tamże, str. 122

nie otarło się o miałość, bylejakość, marność, czy banał. W powszechnej, codziennej krzątaninie obowiązywała FORMA. Pewien rodzaj ceremonii. Sposób bycia przez was ukształtowany i przestrzegany z ogromną dyscypliną stał się w ciągu długich lat naturalnym nawykiem. Wzajemny dla siebie szacunek, wspólnota, przy zachowaniu osobistej, wewnętrznie kontrolowanej wolności, podział na funkcje i czynności, bez stosowania tradycyjnego podziału na męskie i kobiece. Harmonijna symbioza dwóch istnień, przeciwległych sobie i tak różnych, iż dziw bierze że w ogóle się zeszły i przetrwały. W Waszym małżeńskim katalogu wartości na ważnym miejscu postawione zostały znaczenia słów «wypada – nie wypada» i «należy – nie należy». Stosowaliście ten przepis nawet w sprzeczkach, bo one przecież zdarzały się i wcale nierzadko. ...Tolerancja – to też specjalność Waszego domu...⁴⁹.

Pracowali nad takim układaniem swojego świata świadomie przez całe, długie życie.

EDWARD BALAWEJDER

zdjęcia z archiwum Witolda Kuncewicza

Miałem wielkie szczęście doświadczać atmosfery przytoczonej przez Zofię Kucówną, a później już po śmierci Jerzego Kuncewicza, wspierać Panią Marię, uczestniczyć w licznych spotkaniach, być także świadkiem wypowiedzi na temat jej życia i twórczości, związków z mężem Jerzym i synem Witoldem. Miałem wiele okazji do bardzo bliskich i szczerych rozmów z Witoldem Kuncewiczem o ważnych dla niego sprawach rodzinnych, o jego związkach z rodzicami, członkami rodziny, których poznałem osobiście. Wiele informacji otrzymałem także od członków bliskiej rodziny pisarki: Jana Józefa Szczepańskiego i jego siostry Anny Mańkowskiej, dzieci brata Aleksandra czy Barbary i Jerzego Musiałów, siostrzeńca Jerzego Kuncewicza.

Witold Kuncewicz szczególnie chętnie wypowiadał się o swoim ojcu, jego myśli politycznej, działalności w ruchu ludowym, udzielał mi wielu interesujących informacji. W rozmowach o matce czuło się dziwny dystans, ale też zauroczenie jej tekstami, jej aktywnością w szukaniu swojego miejsca w literaturze. Był bardzo czuły i wrażliwy gdy rozmawialiśmy o rodzicach, ich relacjach, wzajemnym wpływie na siebie, także na niego, jego wybory i zachowania. Byłem mu wdzięczny za wtajemniczenie mnie w ważne i bliskie mu sprawy rodzinne, osobiste. Byłem wielokrotnie świadkiem jego złości, gdy podnoszone były sprawy związane z życiem osobistym rodziców, szczególnie matki. Miał wiele pretensji do np. Anuli Mańkowskiej (swojej kuzynki, siostry Jana Józefa Szczepańskiego) czy Katarzyny Szloch (lubelskiej publicystki) po

.....
49 Praca zbiorowa, *Kuncewiczowi*, 2010, str. 7–8, materiały z sesji naukowej



ich wypowiedziach, także publikowanych tekstach, o życiu intymnym Marii Kuncewiczowej. Wiedział, że małżeństwo rodziców nie należało do łatwych i prostych, że miała romans z Adolfem Rudnickim, który przerwała wojna, że spotykali się także później. Bardzo bronił dobrego imienia swoich rodziców. Wierzył, że ich związek, mimo wielu różnic, był udany, że to co mówili, czy pisali na swój temat było prawdziwe. Podziwiał matkę za takie

odważne, szczere i bardzo głębokie analizowanie związków łączących ją z mężem, a także determinację ojca w budowaniu wspólnego małżeńskiego bytu.

To wszystko spowodowało, iż zdecydowałem się przygotować ten materiał i dokonać wyboru tekstów oraz wypowiedzi, które charakteryzują najlepiej ich trwające 63 lata małżeństwo.

EDWARD BALAJEJDER

STEFAN
KRUK

ŻYWE NURTY POLSKIEGO TEATRU

WSTĘP

Co robi turysta wędrujący po górach, gdy dotrze do kra-
wędzi przepaści? Naturalnie zatrzymuje się, a nawet cofa,
by rozejrzeć się po okolicy i wybrać najdogodniejszą trasę
zejścia. Sztuka zachodnia, w tym teatr polski, znalazła się
w takiej sytuacji. Rodzi się zatem pytanie, kiedy rozpo-
częła się ta droga wiodąca na manowce i jaka jest jej przy-
czyna sprawcza? By udzielić odpowiedzi na nie, trzeba się
cofnąć w czasie o ponad sto lat. Na przełomie XIX i XX w.
w Europie Zachodniej dokonywała się tzw. Wielka Refor-
ma Teatralna, której heroldem był Anglik E. G. Craig, syn
aktorki Hellen Terry. W Szwajcarii podobne idee głosił
Adolf Appia. Owa I faza – jak ją później określono – Re-
formy wprowadziła szereg zmian korzystnych, ot, choć-
by odrzucenie kompletowych, malowanych na płótnach,
zestawów dekoracyjnych na rzecz architektonicznej za-
budowy sceny, dostosowanej każdorazowo do wymogów
konkretnego tekstu dramatycznego. Ale przyniosła także
pewne novum, które traktowano jako panaceum na sko-
stnienie XIX-wiecznego teatru, a z dłuższej perspektywy
czasu okazało się ryzykowne, nierzadko wręcz szkodliwe.
Tym zjawiskiem nowym, rewolucyjnym, było pojawienie
się INSCENIZATORA – „artysty teatru” (określenie zaczerp-
nięte z programowej książki Craiga z 1905 r.)

Inscenizator istniał już w teatrze romantycznym, ale
jego kompetencje dotyczyły jedynie dekoracji oraz rekwi-
zytów. Nie wyręczał on reżysera, który kierował próbami
scenicznymi z udziałem aktorów. Reżyser starał się speł-
niać postulatory żyjącego dramaturga, z jeszcze więk-
szą pieczołowitością traktował teksty klasyków. Refor-
matorzy teatru europejskiego z przełomu XIX i XX w.
uznali, że był to „teatr literacki”, zatem zły, przeto nad-
szedł czas „teatru inscenizacji”. A co to oznaczało w prak-
tyce? Ni mniej ni więcej tylko pełną ingerencję owego
„artysty teatru” w tekst dramatu. Literat – wedle tej teo-
rii – dostarcza inscenizatorowi jedynie kanwę, na której
ów natchniony kreator wyczarowuje widowisko zgod-
nie z własną koncepcją, która nie zawsze będzie zgod-
na z intencją pisarza. Jeszcze w pierwszej fazie Wielkiej

Reformy Teatralnej nie ośmielano się wprowadzać do tek-
stu dramaturga wstawek z innych utworów tego samego,
a nawet innego, autora. Druga faza, która przypadła na
lata 20. XX w., również była powściągliwa w tym zakre-
sie. Ten zwyczaj wniosła dopiero III faza Reformy z lat
60. XX w. Teraz rozpoczęły się prawdziwe harce. Pojawi-
ło się zjawisko „teatru autorskiego”, które nie miało nic
wspólnego z dramaturgiem, czyli z dawnym „teatrem
literackim”, gdyż owym „autorem” stawał się insceniza-
tor. Barbara Osterloff ujęła to tak: „Autorem widowiska
może więc być każdy w takim ujęciu zarówno reżyser,
scenograf, jak i aktor [w teatrze jednego aktora]. Dość po-
wszechnie używa się tego terminu dla oznaczenia teatru
tworzonego przez plastyków (...). Poczynając od lat 70.
XX w. tak rozumiany teatr autorski stał się najpopular-
niejszą odmianą teatru alternatywnego”¹. Gdzie tu miej-
sce dla dramaturga? O nim nawet nie wspomniano!
I to jest symptom owej choroby, o której tu mówimy. Ale
niemęska to rzecz narzekać, cenniejsza jest postawa ak-
tywna, nakazująca szukanie konstruktywnych rozwiązań.
A czy są takie? Oczywiście, trzeba jedynie cofnąć się znad
przepaści i sięgnąć pamięcią wstecz, a wtedy okaże się, że
teatr polski wypracował szereg wzorców, które można,
i należy!, twórczo kontynuować. Oto dwa takie przykłady.

TEATR KAMERALNY

Taki charakter miały teatry prywatne działające na dwor-
ze królewskim Wazów oraz niektórych magnatów
w XVII i XVIII w. Stanisław August Poniatowski powołał
do życia pierwszy w Polsce teatr publiczny, bo taki cha-
rakter miał Teatr Narodowy otwarty w 1765 r. Przez cały
czas swojej działalności, tj. do 1830 r., jak i po Powsta-
niu Listopadowym pod zmienioną nazwą Teatr Rozma-
itości, wystawiał utwory kameralne: komedie, wodewile,
melodramaty, tragedie klasycystyczne, później (w poło-
wie XIX w.) – sztuki z tezą. Poza Warszawą również dzia-
łały sceny kameralne: w Krakowie (dzisiejszy Stary Teatr),

¹ Barbara Osterloff, Magdalena Raszewska, Krzysztof Sielicki, *Leksykon te-
atralny*, Warszawa 1996.

Poznaniu, Kaliszu, Lublinie. Dramaturgia europejska 2. poł. XIX w. oraz przełomu XIX i XX w. wymagała kameralności, gdyż poza problematyką społeczną poruszała ważkie zagadnienia psychologiczne. Mistrzem takich inscenizacji w krakowskim Teatrze im. J. Słowackiego był Tadeusz Pawlikowski (dyr. w l. 1893–1899 oraz 1913–1915, czyli do zgonu; w l. 1900–1906 Pawlikowski kierował teatrem lwowskim). Tak więc nasz bohater, o którym chcę tutaj pisać – JULIUSZ OSTERWA, urodzony w Krakowie w 1885 r., miał solidny fundament, na którym mógł budować program artystyczny swojego wymarzonego ideału, jakim miała stać się REDUTA, działająca jednak nie w Krakowie, lecz w Warszawie (od 1919 do 1924 r. i w Wilnie od 1925 do 1929). W latach 1929–1931 Reduta stała się zespołem objazdowym, obsługującym znaczne obszary kresów wschodnich. W 1931 r. Reduta powróciła do Warszawy. Od chwili powstania prowadziła podwójną działalność: ściśle teatralną i pedagogiczną; w ramach Instytutu kształciła adeptów sztuki aktorskiej. Po 1931 r. zajęła się głównie akcją szkoleniową, przedstawienia zaś były zwieńczeniem danego etapu nauki. Osterwa w tym czasie kierował Teatrem im. J. Słowackiego w Krakowie. Jednak program artystyczny Reduty był dziełem Osterwy. Skupmy się zatem na tym zagadnieniu.

W zakresie sztuki aktorskiej z Redutą wiążą się dwa pojęcia: przeżywanie roli i wcielenie się w rolę. Z perspektywy czasu ważniejsze jest co innego – powaga i solidność, z jaką Redutowiec przystępował do pracy nad rolą. Tu nie było miejsca na rutynowe gierki lub merkantylne traktowanie teatru. Dlatego niektórzy porównywali zespół Reduty do kontemplacyjnego klasztoru, a to tym bardziej, że Osterwa nie krył swego religijnego światopoglądu, choć też nie obnosił się z nim.

Krytyków oraz znawców teatru zadziwiła ponadto repertuar Reduty – wystawiała ona wyłącznie sztuki polskich autorów, jedynym wyjątkiem był „Księżę Niezłomny” Calderona, ale tylko z uwagi na parafrazę J. Słowackiego. A poza tym grano komedie i dramaty od Oświecenia po chwilę bieżącą, np. „Fircyka w zalotach” F. Zabłockiego, „Fantazego” J. Słowackiego, „W małym domku” T. Rittnera. Osterwa wylansował dwu dramaturgów: S. Żeromskiego oraz J. Szaniawskiego. Melodramatem „Ponad śnieg” Reduta zainaugurowała swoją działalność. Osterwa odniósł jeszcze dwa sukcesy w inscenizacjach dramatów Żeromskiego, mianowicie w tragedii „Sułkowski” oraz w komedii serio „Uciekli mi przepióreczka”. Zatrzymajmy się na tym ostatnim przykładzie.



Teatr Stary w Lublinie, fasada po remoncie 2012, foto. archiwum



Leon Schiller podczas próby w Teatrze Polskim, Warszawa, 1920, fotograf Stanisław Brzozowski (fragm. fot.), domena publiczna POLONA

Żeromski miał opinię wybitnego prozaika, jego powieści bulwersowały czytelników, dramaty zaś uznawano za niesceniczne (sam autor tak określił swoją „Różę”), otóż Osterwa przekreślił tę opinię i wystawiał z sukcesem sztuki Żeromskiego, „Przepióreczka” jednak stała się wydarzeniem artystycznym szczególnej miary i to z wielu powodów. Jej prapremiera miała miejsce 27 lutego 1925 r. na deskach Teatru Narodowego w reżyserii Osterwy, który nadto kreował rolę docenta Przełęckiego, organizatora kursów letnich dla tzw. nauczycieli ludowych. Jak pałący był to problem w odrodzonej Rzeczypospolitej, zaświadcza gorące przyjęcie tej prapremiery.

Żeromski połączył tu dwa wątki: społeczny oraz miłosny. Uczni z Uniwersytetu Jagiellońskiego organizowali takie wykłady wakacyjne w Sandomierzu. Autor „Przepióreczki” akcję utworu sytuuje we wsi Porębiany (nazwa fikcyjna) u stóp potężnego zamczyska w ruinie (utożsamiano ów zabytek z zabudową wzgórza w Chęcinach). Właścicielką zamku jest księżniczka Sieniawianka. Wykłady odbywają się w miejscowej szkole, gdzie brak miejsca na gabinety, które mogłyby pomieścić zbiory geologiczne, przyrodnicze, etnograficzne,

przezo wykładowcy porębiańscy marzą o przeniesieniu swojej siedziby do zamku. Nauczyciele ludowi mogliby tam znaleźć przytulisko na 3-tygodniowy okres trwania kursu. Każdy naukowiec posiada potrzeby indywidualne. I tak, geolog Radostowiec marzy o laboratorium i muzeum geologicznym okolicy. Małowieski chciałby w sąsiedniej sali urządzić stację naukową botaniczną oraz „stałą wystawę okazów i wzorów”. Kleniewicz z kolei proponuje izdebkę antropologa umieścić w „narożnej kwadratowej wieży” (w Chęcinach jest taka wieża). Ciekocki byłby rad, gdyby uzyskał „widną salę do ustawienia katalogów gwary tej ziemi”. Historyk Wilkosz pragnie uzyskać pomieszczenie, w którym znalazłyby się gabloty z aktami i dyplomami, pełniłoby zatem rolę małego archiwum. Na koniec fizyk Przełęcki, propagator teorii względności, zagospodarowałby piwnice, gdzie znalazłyby się przyrządy sejsmograficzne, zaś wieże zamku byłyby wyposażone w sygnalizację świetlną zapowiadającą burze z deszczem i gradem. „W największej sali urządzi się kinematograf naukowy, głównie przyrodniczy”.

Księżniczka od roku zakochana w energicznym fizyku gotowa jest odbudować zamczysko, powierzając je na własność Przełęckiemu. Na przeszkodzie realizacji tych ambitnych planów staje miłość miejscowej nauczycielki, jaką i ona obdarza docenta fizyki. Przełęcki dla ratowania kursów oraz utrzymania małżeństwa Smugoniów kreuje siebie na fizyka-uwodziciela, który gotów jest wywieźć zakochaną w nim Smugoniową do miasta, ale bez synka, by móc uczęszczać na tańce oraz inne rozrywki w nocnych lokalach. Uczciwa kobieta nie porzuci Jasia, a także męża – prostego człowieka, na którym jednak można polegać. Z kolei zawiedziona w swoich osobistych planach księżniczka po zrzeczeniu się darowizny przez Przełęckiego zamek przekazuje całemu gronu naukowców. W ten sposób idea kursów wakacyjnych dla nauczycieli ludowych w Porębianach zostaje uratowana, a realizatorem tego przedsięwzięcia na poziomie organizacyjnym (nie zaś inwestycyjnym) zostanie Smuğun.

W inscenizacji wzięli udział najbardziej znani aktorzy Teatru Narodowego: J. Kotarbiński oraz L. Solski (byli dyrektorzy Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie), J. Śliwicki, rolę Sieniawianki grała Tekla Trapszo, Smugoniem był Stefan Jaracz, Smugoniową – Maria Malanowicz-Niedzielska, Przełęckim – Osterwa. Wielcy aktorzy starej daty próbowali sabotować długość prób, zwłaszcza ów wstępny etap pracy analitycznej nad tekstem, lecz gdy Osterwa zagroził, że może zrezygnować z reżyserii, ustąpili, jednak *post factum* sobie przypisali wielki sukces tej premiery. A przecież był to sukces wszystkich twórców – starych i młodych, a nade wszystko autora – Stefana

Żeromskiego, który zmarł 9 miesięcy później (20 XI 1925 r.).

Jak się rzekło – drugim pisarzem wylansowanym przez Redutę był JERZY SZANIAWSKI. Debiutował on wprawdzie na scenie przed powstaniem Reduty („Murzyn” w Teatrze Polskim w Warszawie, 1917 r.; oraz „Ewa” – Teatr Lwowski, 1921; Instytut Reduty wystawił tę smutną komedię dopiero w 1938 r.), to jednak dopiero Osterwa poderwał Szaniańskiego do wysokiego lotu.

„Papierowego kochanka”, którym teraz się zajmujemy, o dwa tygodnie przed Redutą wystawił krakowski teatr Bagatela, ale tylko dlatego, że pod Wawelem próby trwały znacznie krócej. W Reducie zaś prace nad tekstem trwały 3 miesiące, nierzadko nawet pół roku. Przebiegały w dwóch fazach, najpierw analizowano problematykę sztuki, funkcję poszczególnych osób w akcji utworu, problemy językowe, konteksty kulturowe itd. Nazywano je próbami analitycznymi, w żargonie teatralnym – stolikowymi, a kierował nimi MIECZYŚLAW LIMANOWSKI.

Słowo o tym człowieku. Był synem przywódcy socjalistów galicyjskich – Bolesława Limanowskiego. Z wykształcenia geolog samouk, ponadto gorący miłośnik teatru. Jakby tego było mało, Mieczysław Limanowski uchodził za katolickiego mistyka, przeto jemu przypisywano „mętne” i „zbędne” komentarze dotyczące z pozoru prostych problemów.

Próby sytuacyjne, realizowane na scenie, były domeną Osterwy, który cieszył się nie tylko wielkim powodzeniem jako aktor, lecz również uznaniem krytyki oraz społeczności teatralnej w zakresie reżyserii. I oto „Papierowy kochanek” dostaje się w ręce tego wirtuoza sceny.

Bohaterem komedii jest Pierrot, postać rodem z francuskiej odmiany komedii dell'arte. Arlekin, pierwowzór włoski, był mniej finezyjny, bardziej zrosnięty z kulturą ludową. Pierrot zaś zyskał salonową ogładę, jakże łatwo wpadającą w sztuczność. Otóż ten właśnie wytwór cieplarnianego klimatu salonu (w tym wypadku raczej przedstawiciel plebsu cyrkowego), w brzydki jesienny wieczór padł z głodu u drzwi Gospody Pod Trzema Latarniami. Zauważył go Stróż i po uzyskaniu pozwolenia od Gospodyni, wprowadził do wnętrza karczmy. Tu Pierrot otrzymał solidną pajdę razowego chleba oraz kubek mleka, po czym rychło zasnął na wniesionym dla niego sienniku.

To prolog komedii, bo właściwa akcja utworu toczy się w salonie Pana Hipolita, lokalnego bogacza, który odziedziczył po ojcu dwie garbarnie. O ile pater własnymi rękami wyprawiał skóry zwierzęce, o tyle syn ogranicza się do zarządzania fabrykami, ma więc dość wolnego czasu, by organizować „kwadrans duszy”, spędzane



Juliusz Osterwa, przed 1939 r., foto. domena publiczna Polona

w wygodnym fotelu. Lecz oto od pewnego czasu jedynaczka Nelly popadła w apatię. Wezwany lekarz uspokaja Pana Hipolita, doradzając, by córce przydać „jakiegoś młodzieńca, to byłaby najlepsza rozrywka”. Agent, który poszukuje pracowników do zakładów p. Hipolita, oznajmia, że ma takiego kandydata, oczywiście jest nim Pierrot. Zafrasowany ojciec przystaje na tę propozycję.

Choć osobliwy strój Pierrota budzi pewne zainteresowanie, to sztuczna retoryka zraża Pannę Nelly, która jest nowoczesną sawantką, jednak sztuczności nie znosi. Ale młodzian jest ładny, może więc warto spróbować nauczyć go zwykłej, kolokwialnej polszczyzny. Nauka zrazu idzie opornie, lecz stopniowo nabiera rumieńców i owocuje... ciężą córki bogacza. Pan Hipolit wpada w gniew:

– A szelma!, gdybym żył w średnich wiekach, to bym go przywiązał do rozpędzonego koła w mojej fabryce i puściłbym trzysta pięćdziesiąt koni parowych i patrzyłbym, jakby się obracał, obracał...!

Panna Nelly rzeczowo wyjaśnia ojcu, że w średniowieczu nie było maszyn parowych i dodaje: „Papo, pomówmy spokojnie... Inne są teraz czasy, (...) Pierrot musi się ze mną ożenić, trzeba myśleć o ślubie”.

Pan Hipolit: „Jeszcze mam go może prosić, żeby był twoim mężem i żeby raczył wziąć posag, a później moje fabryki, domy, kapitały. I po to, żeby wszystko kiedyś puścił”.

Panna Nelly: „Zwykle tak bywa, że nie starzy puszczają, co dostali od młodych, a na odwrót” – i przywołuje „Pierrocika”. Ale ten się droczy, zachowuje się tak, jakby to on czynił „łaskę” dziewczynie. Choć z drugiej strony... – przybyły krawiec („stary lubieżnik”), który ma ucywilizować cyrkowca, roztacza przed młodzieńcem horyzonty życia światowego, pełnego zabawy, szampana, miłość. Pierrot chciwie chwyta słowa cynika, gdyż uśmiecha mu się takie życie. Zakochana Panna Nelly usiłuje rozbudzić serce partnera, prawie wymusza słowo „kocham” i na takim fundamencie ma się rozwijać przyszłe życie tych dwojga. Pan Hipolit konkluduje: „... tłumaczy wiersze z hiszpańskiego [itd.], a kocha jak ta, co nawet czytać nie umie”.

Taką pointą kończy się ta komedia. Krytyka przyjęła ją na ogół dobrze, choć wytknięto autorowi zbędność prologu i Szaniawski w następnych utworach tego błędu nie popełnił.

Trwałym osiągnięciem Reduty było dublowanie obsady wystawianych sztuk. I tak, w „Papierowym kochanku” rolę Hipolita grał lublinianin Aleksander Zelwerowicz, zaś w drugiej obsadzie Władysław Staszkowski, Pierrota – Stanisław Daczyński oraz Juliusz Osterwa, Nelly – Wanda Osterwina i Maria Majdrowiczówna. A oto jak ich grę oceniali krytycy warszawscy. Zelwerowicz wygrał bezapelacyjnie w konfrontacji ze Staszowskim. Stanisław Pieńkowski pisał: „Zelwerowicz w Hipolicie – arcydzieło. Niepodobna swobodniej i artystyczniej zagrać tej roli. Cóż znaczą moje puste słowa wobec jego intuicji oraz kultury! (...) Ani źdźbła szarży, żadnego pustego miejsca, linia groteski wyborna, (...) cudowny umiar, wszystko – od charakteryzacji aż do wyboru fotela – jest arcydziełem”².

Wacław Grubiński porównywał grę Daczyńskiego i Osterwy: „Pierrot p. Daczyńskiego bardzo wdzięczny, robi karierę jakby niechcący, natomiast w wydaniu Osterwy jest to świadomy swych celów karierowicz, kokiet, uwodziciel, egoista, szarlatan, a papierowy w tym znaczeniu, że oschły serdecznie [uczuciowo]. Druga interpretacja ożywia sztukę, pierwsza zgodna jest z tytułem”³.

Ten sam recenzent nie chcąc zapewne antagonizować aktorek grających rolę Nelly napisał: „Majdrowiczówna i Osterwina – arcyśliczne”. Pieńkowski zaś nie bawił się w kurtuazję i dodał: „Panna Majdrowiczówna – bogata w rysunku Nelly, wytworna, pani Osterwina – znacznie

od rywalki uboższa, jednostajna, banalna”⁴. (Takie wrażenie mogła powodować choroba żony reżysera).

Zauważmy, tak odmienne interpretacje ról w tym samym utworze! To wyzwalanie inwencji aktorskiej oraz tolerancja Osterwy dla indywidualnych koncepcji poszczególnych artystów świadczy o wyjątkowości i tego twórcy i tego teatru. Ale to niecała prawda o Reducie, gdyż w pierwszym rządzie ceniła ona dramatopisarzy oraz ich teksty. Na tym polega doniosłość programu tego zespołu.

Na koniec tego rozdziałku dygresja: otóż motyw pierrota, częściej arlekina, trafił do malarstwa europejskiego, podam tu jedynie najbardziej znane przykłady: Antonie Watteau (1684–1721): „Mezzetin” i „Gilles”; Paul Cézanne (1839–1906): „Arlekin”, „Arlekin i Pierrot”; Tymon Niesiołowski (1882–1965): „Koncert w cyrku”, „Koncert”, „Arlekin grający na flecie”, „Pierrot” i in. O ile sentymentalni bohaterowie wymienionych obrazów Watteau są wytworem kultury salonowej, o tyle postaci arlekinów oraz pierrota namalowane przez Cézanne’a wyraźnie wskazują na pochodzenie cyrkowe, podobnie rzecz się ma w wypadku Niesiołowskiego, z tą tylko różnicą, że jemu nieobca jest postać pierrota melancholijnego („Piesek i jego pan”, 1928, czy „Cyrkowiec z fletem”, 1952).

Poza Redutą sceną kameralną rozporządzał Teatr Polski w Warszawie. Bardziej zasłużony był Teatr Ateneum prowadzony na warszawskim Powiślu od 1930 do 1939 r. przez Stefana Jaracza, którego drogi twórcze często krzyżowały się z marszrutą artystyczną Juliusza Osterwy. Jaracz – utalentowany aktor – niejednokrotnie występował w komediach Szaniawskiego. W Teatrze Narodowym wyreżyserował „Żeglarza” (1927 r.), a w Ateneum dał prapremierę „Dziewczyny z lasu” (1939 r.). Po II wojnie światowej czynny był w Łodzi Teatr Kameralny, którego zespół w 1949 r. został przeniesiony do Warszawy i zmienił nazwę na Teatr Współczesny; jego długoletnim dyrektorem był Erwin Axer. Ale największym w skali zasięgu jest oczywiście Teatr Telewizji, jego możliwości są ogromne: może wystawiać klasykę polską i obcą, dramaty psychologiczne, montaż dokumentalne. Słowem teatr kameralny „nie jedno ma imię” i długi żywot zapewniony.

TEATR LUDOWY

W zasadzie można by nazwać go OBRZĘDOWYM, a także widowiskowym, gdyż obydwie te określenia przystają do charakteru widowiska, o jakim będzie tu mowa. Ale najpierw trzeba przedstawić realizatora tej koncepcji teatru, a był nim LEON SCHILLER (1887–1954). O ile Osterwa pochodził ze środowiska rzemieślniczego (prawdziwe

2 Cytuję za: Józef Szaniawski, *Pierwsza Reduta Osterwy*, Warszawa, PIW, 1965, s. 62–63.

3 Tamże, s. 62.

4 Tamże.

PASTORAŁKA

W 3ch SPRAWACH

MARIA ★ JOSEPH ★ ARCHANGELUS ★ ANGELI
MORS-SMIERĆ ★ DIABOLUS-WAŻ

ADAM ★ EWA

TRES REGES: GASPAR + MELCHER + BALTHAZAR
ASYSTA TRZECH MAGÓW

HERODES ★ KRÓLOWA

FELDMARSZAŁ • SIEPACZ PIERWSZY • SIEPACZ DRUGI • MILES

PASTERZE

BARTOS • KORYDON • MAŚCIBRZUCH • DAMETA • CHLEBURAD
RYCZYWÓL • FURGOT • KOPET • SOBOK • BANEK • WERDUŁ • PAKOS

PAN • KARCZMARKA • CHŁOPEK • JEGO ŻONA • ŻYDEK • RABIN

TORUŃ-KŁAPACZ • OSIELEK • WOLEK

GROMADA • KOŁĘDNICY

PORZĄDEK SCEN TEATROWYCH

Gromada na widowisko nabożne spieszę • Kołędnicy z widowiskiem o Narodzeniu Pańskim na teatrurn przybywają • Upadek Pierwszych Rodziców • Chór o tēm rozmyśla • Maria i Joseph szukają noclegu w miasteczku Betlehem • Adoracja Anielska • Actus Pastoralis • Intermedium z Jaroniem • Adoracja pasterzka • Herodes • Adoracja Trzech Magów • Kain Heroda • Kołędnicy teatrurn opuszczają • Widzowie Kołędują

Tekst L. S. Schillera (podług źródeł ludowych) Muzyka L. S. Schillera

Widowisko opracował Zespół Reduty pod kier.: L. SCHILLERA, H. BUCZYŃSKIEJ i F. ZBYSZEWSKIEGO.
Ozdoby: W. DRABIKA.

Ulotka „Pastorałka...”, lata 20. XX w., domena publiczna POLONA

nazwisko Maluszek), który jednak po śmierci pierwszej żony ożenił się z prawdziwą księżniczką z rodu Sapiehów, o tyle Schiller (prawdziwe nazwisko Schindelfeld) wywodził się z bogatej rodziny mieszczańskiej, osiadłej w grodzie Kraka. Posiadał wiedzę w zakresie muzyki, nadto dysponował dźwięcznym głosem barytonowym, przeto działalność rozpoczął od występów kabaretowych w „Zielonym Baloniku”, potem w „Momusie”, sam akompaniując sobie na fortepianie. Nawiązał współpracę z E. G. Craighem, zamieszczając w jego piśmie „The Mask”

esej o twórczości S. Wyspiańskiego. Ale dojrzałą działalność rozpoczął od współpracy z Redutą, tu wyreżyserował dwa widowiska obrzędowe, które przyniosły mu rozgłos: „Pastorałkę” (24 XII 1922) oraz „Wielkanoc” (2 IV 1923). Osterwa wybierał do inscenizacji dramaty zwarte, „dobrze skrojone”, Schiller nie lękał się tekstów amorficznych, o luźnej kompozycji. Ponadto potrafił zbudować fascynujące widowisko złożone z wielu tekstów, połączonych ideą nadrzędną. Taką strukturę posiadają obydwie, wymienione wyżej, inscenizacje.

A zaczęło się od „Szopki staropolskiej – misterium o cudownym Narodzeniu Pańskim, krotofilami i intermediami przeplatany” (1919 r.). Inscenizator wykorzystał popularne kolędy oraz teksty jasełkowe, łącząc je w logiczną całość w „stylu ludowym”, „a teatr postarał się o stylowy prymityw w dekoracjach, kostiumach i grze aktorskiej”⁵. Reżyseria zaś „uczyniła z aktorów GROMADĘ WIEJSKICH KOLEDNİKÓW (podkreślenie moje – S.K.), ci zaś znaleźli z łatwością drogę ku własnej formie”⁶.

Gromada wiejska szła z głębi widowni w kierunku sceny z szopką i gwiazdą, śpiewając kolędę. Ale widowisko rozpoczynało się obrazem „upadku pierwszych rodziców”. Po czym następował epizod poszukiwania noclegu przez Świętą Rodzinę. „Adoracja anielska” rozdzielona była od „adoracji pasterskiej” intermedium z turoniem. A oto jak Chleburad witał Świętą Rodzinę:

„A ja, państwo niebiescy, cóż Wam podaruję? Mam żydowską siwuchę, to Was poczęstuję. Napijcie się, Staruszku z Matuchną, bo drżycie. Gorzała na konkokcję czyni znakomicie! Przyjmijcie, pięknie proszę, ten podarek mały, a sprawcież to, by lepe gorzały bywały”.

W „sprawie” III pojawiała się scena „adoracji trzech magów” oraz kresu Heroda, któremu Śmierć ścina głowę zgodnie z poetyką szopki ludowej.

Władysław Zawistowski zafascynowany widowiskiem zbudowanym na materiale folklorystycznym pisał: „Ze wszystkich chyba stolic polskich Warszawa najmniej zdradzała zaciekawienia dla ludowej poezji. Bywały ongiś czasy, gdy «ludowość» była hasłem sztandarowym literatury, gdy rodziła się powoli w kolebce konwencjonalnego sentymentalizmu, aż wreszcie dotarłszy do granic dojrzałego realizmu, została poniekąd zrównana w prawach z innymi tematami i motywami (...) P. Leon Schiller zwracając się wprost bez żadnego teoretyzowania do sztuki ludowej trafił od razu w sedno zagadnienia. Ludowość nie jako temat, ale jako szczególna forma, jako specjalny zakres zainteresowań, światopogląd i estetyczne upodobanie – oto najprawdziwszy klucz do duszy ludu, do jego duchowej twórczości...”⁷.

Tak więc Schiller realizował idealny wzorzec profesjonalnego teatru ludowego. Teatr chłopski, amatorski, noszący tę samą nazwę, miał swego teoretyka i przywódcę w osobie JĘDRZEJA CIERNIAKA, zamordowanego przez Niemców w 1942 r. Teatr ludowy działający na wsi również miał charakter obrzędowy (przykłady: „Wesele krakowskie”, „Franusiowa dola” i in.).

Drugim niezwykłym dokonaniem Schillera w zakresie misterium była „WIELKANOC” – widowisko obudowane na kanwie „Historii o Chwalebny Zmartwychwstaniu Pańskim” Mikołaja z Wilkowiecka. I ta inscenizacja swoje zaistnienie zawdzięczała zespołowi Reduty.

Ludowość i obrzędowość o charakterze religijnym nie wyczerpywała pomysłowości Schillera. Potrafił on zinscenizować elementy folkloru szlacheckiego, chłopskiego, a także miejskiego doskonale obrazujące obyczajowość tych środowisk. Schiller widowiska tego rodzaju nazywał „obrazkami śpiewającymi”, gdyż łączyły słowo mówione ze śpiewem i tańcem. Oto niektóre z nich: „Pochwała wesołości”, „Bandurka”, „Kulig”. Niejako syntezą tego nurtu inscenizacji był „Kram z piosenkami”.

Pierwsza wersja „obrazków śpiewających” wystawiona została w Reducie 17 II 1924 r. i składała się m.in. z następujących części: „Pieśń o ziemi naszej”, „Witaj jutrenko swobody”, „Kulig”, „Kram z piosenkami”. Stanisława Mrozińska wydała pełny tekst „Kramu z piosenkami” w 1977 r. w pięknej edycji Wydawnictw Artystycznych i Filmowych. Z tego egzemplarza z obrazu „Bielany” wybieram „Polkę I”:

„W pięcie mamy przepych pański,
Dla nas pałac – las bielański,
Drzewa, krzaczki i murawa,
To ci jest zabawa kława!
Jaśnie pani z panem jaśnie
Tańczą kumendransa właśnie,
Ona by go cmoknąć rada,
Lecz w tej sferze nie wypada.
Za to Antoś pannie Mani
Wielką frajdę zaiwanił,
Poobrywał jej guziczki,
A to wszystko z tej muzyczki”⁸.

Schiller był koneserem starych piosenek, facecji, kuletek. Szukał ich na strychach krakowskich kamienic, a także w skromnych pomieszczeniach rzemieślników – tak podwawelskich, jak też warszawskich. Ocalił dla polskiej kultury wiele cymeliów, a jako wokalista i kompozytor uzupełnił nutami te utwory, które znane były jedynie z wykonania amatorskiego i nie posiadały zapisu tekstowego oraz nutowego. Tworzył porywające widowiska pełne humoru, pięknych melodii, żywiołowych tańców.

Pominałem w tej krótkiej prezentacji wielkie inscenizacje z zakresu teatru monumentalnego („Dziady”, „Kordian”, „Nie-Boska komedia”) nie dlatego, że ich nie doceniam, przeciwnie – obecność wielkiego repertuaru

5 Władysław Zawistowski, *Teatr warszawski między wojnami*, Warszawa, PIW, 1971, s. 151.

6 Tamże, s. 153.

7 Tamże, s. 151.

8 Leon Schiller, *Kram z piosenkami. Obrazki śpiewające w opracowaniu S. Mrozińskiej*, Warszawa, WAiF, 1977, s. 190.

w działalności teatrów polskich uważam za rzecz oczywistą.

Czas na wnioski. Obaj przywołani tu ludzie teatru: Juliusz Osterwa – aktor i reżyser oraz Leon Schiller – inscenizator, mimo różnic w upodobaniach literackich, zgodni byli w jednym punkcie – cechowała ich LOJALNOŚĆ WOBEC DRAMATOPISARZA oraz szacunek i pieczołowitość w interpretacji tekstu, który miał przemówić ze sceny. Nie stawiali sobie ponad dramaturgiem, bowiem wiedzieli, że to on jest twórcą postaci występujących na scenie, budowniczym akcji utworu, kreatorem dialogów. Ich kompetencje obejmują rozległą pracę w zakresie wyboru koncepcji (stylu) inscenizacji, scenografii, gry aktorskiej. Naturalnie to w niczym nie ogranicza inwencji scenografa odpowiedzialnego za kostiumy oraz wystrój sceny, jak też aktorów opracowujących poszczególne role. W tym zakresie pomiędzy Osterwą i Schillerem nie było istotnej różnicy. Natomiast dzieliły ich upodobania literackie – Osterwa czuł się dobrze w repertuarze realistycznym, choć jako aktor odnosił też wielkie sukcesy w rolach bohaterskich (Ferdynand w „Księżu Niezłomnym”, Sułkowski w tragedii Żeromskiego). Schiller dramatu naturalistycznego nie lubił, wołał dramat poetycki czołowych romantyków. A także, jak widzieliśmy, twórczość ludową. Osterwa nie stronił od widowisk plenerowych, jednak Jerzy Szaniawski, który tyle mu zawdzięczał, w „Dwóch teatrach” Redutę określił mianem „teatru Małego Zwierciadła”, w przeciwieństwie do „Teatru Snów”, która to koncepcja była bliższa Schillerowi. A przecież obydwaj te nurty teatru polskiego: kameralizm Osterwy oraz ludowość i widowiskowość Schillera okazały się jednakowoż twórcze, fascynujące w warstwie wizualnej, skłaniające do myślenia, które – zgodnie z ogólnym przekonaniem – ma przed sobą wielką przyszłość.

STEFAN KRUK

CITROËN

C 6. $\frac{9}{45}$ K.M.
C 4. $\frac{6}{32}$ K.M.

samochody osobowe i towarowe

Generalna Reprezentacja na całą Polskę

Austro-Daimler S. A.

Oddział w Poznaniu

ul. Dąbrowskiego 7 - tel. 75-58 i 76-65. Warsztaty i Garaże.

Tanio kupuje się w firmie: **W. Drożyński** POZNAŃ

Stary Rynek 66
Rok założ. 1912
Telefon nr. 40-50

Skład białawotów i towarów modnych

S. Kaczmarek

TRYKOTAŻE
BIELIZNA
PONCZOCHY

GARSONKI
SWETRY

„Uciekła mi przepióreczka”

(Ciąg dalszy)

Bęczkowski, administrator Józef Karbowski
Przełęcki, docent fizyki - JULIUSZ OSTERWA
Wilkoza, historyk - - - Konstanty Pagowski
Ciekocki, lingwista - - - Saturnin Butkiewicz
Radostowiec, geolog - - - Stanisław Larewicz
Małowiecki, botanik - - - Tadeusz Białkowski
Kleniewicz, antropolog - - - Roman Piotrowski
Bukański, geograf - - - Józef Kiejer
Zabrzeziński, historyk sztuki Mieczysław Pił

Zegarki i biżuteria

M. RAKOWSKI

POZNAŃ
Św. Marcina 68
(wprost plikiem)

S. Kaczmarek

TRYKOTAŻE
BIELIZNA
PONCZOCHY

GARSONKI
SWETRY

„Uciekła mi przepióreczka”

(Ciąg dalszy)

Bęczkowski, administrator Józef Karbowski
Przełęcki, docent fizyki - JULIUSZ OSTERWA
Wilkoza, historyk - - - Konstanty Pagowski
Ciekocki, lingwista - - - Saturnin Butkiewicz
Radostowiec, geolog - - - Stanisław Larewicz
Małowiecki, botanik - - - Tadeusz Białkowski
Kleniewicz, antropolog - - - Roman Piotrowski
Bukański, geograf - - - Józef Kiejer
Zabrzeziński, historyk sztuki Mieczysław Pił

Zegarki i biżuteria

M. RAKOWSKI

POZNAŃ
Św. Marcina 68
(wprost plikiem)

S. Kaczmarek

TRYKOTAŻE
BIELIZNA
PONCZOCHY

GARSONKI
SWETRY

„Uciekła mi przepióreczka”

(Ciąg dalszy)

Bęczkowski, administrator Józef Karbowski
Przełęcki, docent fizyki - JULIUSZ OSTERWA
Wilkoza, historyk - - - Konstanty Pagowski
Ciekocki, lingwista - - - Saturnin Butkiewicz
Radostowiec, geolog - - - Stanisław Larewicz
Małowiecki, botanik - - - Tadeusz Białkowski
Kleniewicz, antropolog - - - Roman Piotrowski
Bukański, geograf - - - Józef Kiejer
Zabrzeziński, historyk sztuki Mieczysław Pił

Zegarki i biżuteria

M. RAKOWSKI

POZNAŃ
Św. Marcina 68
(wprost plikiem)

S. Kaczmarek

TRYKOTAŻE
BIELIZNA
PONCZOCHY

GARSONKI
SWETRY

„Uciekła mi przepióreczka”

(Ciąg dalszy)

Bęczkowski, administrator Józef Karbowski
Przełęcki, docent fizyki - JULIUSZ OSTERWA
Wilkoza, historyk - - - Konstanty Pagowski
Ciekocki, lingwista - - - Saturnin Butkiewicz
Radostowiec, geolog - - - Stanisław Larewicz
Małowiecki, botanik - - - Tadeusz Białkowski
Kleniewicz, antropolog - - - Roman Piotrowski
Bukański, geograf - - - Józef Kiejer
Zabrzeziński, historyk sztuki Mieczysław Pił

Zegarki i biżuteria

M. RAKOWSKI

POZNAŃ
Św. Marcina 68
(wprost plikiem)

S. Kaczmarek

TRYKOTAŻE
BIELIZNA
PONCZOCHY

GARSONKI
SWETRY

„Uciekła mi przepióreczka”

(Ciąg dalszy)

Bęczkowski, administrator Józef Karbowski
Przełęcki, docent fizyki - JULIUSZ OSTERWA
Wilkoza, historyk - - - Konstanty Pagowski
Ciekocki, lingwista - - - Saturnin Butkiewicz
Radostowiec, geolog - - - Stanisław Larewicz
Małowiecki, botanik - - - Tadeusz Białkowski
Kleniewicz, antropolog - - - Roman Piotrowski
Bukański, geograf - - - Józef Kiejer
Zabrzeziński, historyk sztuki Mieczysław Pił

Zegarki i biżuteria

M. RAKOWSKI

POZNAŃ
Św. Marcina 68
(wprost plikiem)

S. Kaczmarek

TRYKOTAŻE
BIELIZNA
PONCZOCHY

GARSONKI
SWETRY

„Uciekła mi przepióreczka”

(Ciąg dalszy)

Bęczkowski, administrator Józef Karbowski
Przełęcki, docent fizyki - JULIUSZ OSTERWA
Wilkoza, historyk - - - Konstanty Pagowski
Ciekocki, lingwista - - - Saturnin Butkiewicz
Radostowiec, geolog - - - Stanisław Larewicz
Małowiecki, botanik - - - Tadeusz Białkowski
Kleniewicz, antropolog - - - Roman Piotrowski
Bukański, geograf - - - Józef Kiejer
Zabrzeziński, historyk sztuki Mieczysław Pił

Zegarki i biżuteria

M. RAKOWSKI

POZNAŃ
Św. Marcina 68
(wprost plikiem)

S. Kaczmarek

TRYKOTAŻE
BIELIZNA
PONCZOCHY

GARSONKI
SWETRY

„Uciekła mi przepióreczka”

(Ciąg dalszy)

Bęczkowski, administrator Józef Karbowski
Przełęcki, docent fizyki - JULIUSZ OSTERWA
Wilkoza, historyk - - - Konstanty Pagowski
Ciekocki, lingwista - - - Saturnin Butkiewicz
Radostowiec, geolog - - - Stanisław Larewicz
Małowiecki, botanik - - - Tadeusz Białkowski
Kleniewicz, antropolog - - - Roman Piotrowski
Bukański, geograf - - - Józef Kiejer
Zabrzeziński, historyk sztuki Mieczysław Pił

Zegarki i biżuteria

M. RAKOWSKI

POZNAŃ
Św. Marcina 68
(wprost plikiem)

S. Kaczmarek

TRYKOTAŻE
BIELIZNA
PONCZOCHY

GARSONKI
SWETRY

„Uciekła mi przepióreczka”

(Ciąg dalszy)

Bęczkowski, administrator Józef Karbowski
Przełęcki, docent fizyki - JULIUSZ OSTERWA
Wilkoza, historyk - - - Konstanty Pagowski
Ciekocki, lingwista - - - Saturnin Butkiewicz
Radostowiec, geolog - - - Stanisław Larewicz
Małowiecki, botanik - - - Tadeusz Białkowski
Kleniewicz, antropolog - - - Roman Piotrowski
Bukański, geograf - - - Józef Kiejer
Zabrzeziński, historyk sztuki Mieczysław Pił

Zegarki i biżuteria

M. RAKOWSKI

POZNAŃ
Św. Marcina 68
(wprost plikiem)

S. Kaczmarek

TRYKOTAŻE
BIELIZNA
PONCZOCHY

GARSONKI
SWETRY

„Uciekła mi przepióreczka”

(Ciąg dalszy)

Bęczkowski, administrator Józef Karbowski
Przełęcki, docent fizyki - JULIUSZ OSTERWA
Wilkoza, historyk - - - Konstanty Pagowski
Ciekocki, lingwista - - - Saturnin Butkiewicz
Radostowiec, geolog - - - Stanisław Larewicz
Małowiecki, botanik - - - Tadeusz Białkowski
Kleniewicz, antropolog - - - Roman Piotrowski
Bukański, geograf - - - Józef Kiejer
Zabrzeziński, historyk sztuki Mieczysław Pił

Zegarki i biżuteria

M. RAKOWSKI

POZNAŃ
Św. Marcina 68
(wprost plikiem)

S. Kaczmarek

TRYKOTAŻE
BIELIZNA
PONCZOCHY

GARSONKI
SWETRY

„Uciekła mi przepióreczka”

(Ciąg dalszy)

Bęczkowski, administrator Józef Karbowski
Przełęcki, docent fizyki - JULIUSZ OSTERWA
Wilkoza, historyk - - - Konstanty Pagowski
Ciekocki, lingwista - - - Saturnin Butkiewicz
Radostowiec, geolog - - - Stanisław Larewicz
Małowiecki, botanik - - - Tadeusz Białkowski
Kleniewicz, antropolog - - - Roman Piotrowski
Bukański, geograf - - - Józef Kiejer
Zabrzeziński, historyk sztuki Mieczysław Pił

Zegarki i biżuteria

M. RAKOWSKI

POZNAŃ
Św. Marcina 68
(wprost plikiem)

S. Kaczmarek

TRYKOTAŻE
BIELIZNA
PONCZOCHY

GARSONKI
SWETRY

„Uciekła mi przepióreczka”

(Ciąg dalszy)

Bęczkowski, administrator Józef Karbowski
Przełęcki, docent fizyki - JULIUSZ OSTERWA
Wilkoza, historyk - - - Konstanty Pagowski
Ciekocki, lingwista - - - Saturnin Butkiewicz
Radostowiec, geolog - - - Stanisław Larewicz
Małowiecki, botanik - - - Tadeusz Białkowski
Kleniewicz, antropolog - - - Roman Piotrowski
Bukański, geograf - - - Józef Kiejer
Zabrzeziński, historyk sztuki Mieczysław Pił

Zegarki i biżuteria

M. RAKOWSKI

POZNAŃ
Św. Marcina 68
(wprost plikiem)

S. Kaczmarek

TRYKOTAŻE
BIELIZNA
PONCZOCHY

GARSONKI
SWETRY

„Uciekła mi przepióreczka”

(Ciąg dalszy)

Bęczkowski, administrator Józef Karbowski
Przełęcki, docent fizyki - JULIUSZ OSTERWA
Wilkoza, historyk - - - Konstanty Pagowski
Ciekocki, lingwista - - - Saturnin Butkiewicz
Radostowiec, geolog - - - Stanisław Larewicz
Małowiecki, botanik - - - Tadeusz Białkowski
Kleniewicz, antropolog - - - Roman Piotrowski
Bukański, geograf - - - Józef Kiejer
Zabrzeziński, historyk sztuki Mieczysław Pił

Zegarki i biżuteria

M. RAKOWSKI

POZNAŃ
Św. Marcina 68
(wprost plikiem)

S. Kaczmarek

TRYKOTAŻE
BIELIZNA
PONCZOCHY

GARSONKI
SWETRY

„Uciekła mi przepióreczka”

(Ciąg dalszy)

Bęczkowski, administrator Józef Karbowski
Przełęcki, docent fizyki - JULIUSZ OSTERWA
Wilkoza, historyk - - - Konstanty Pagowski
Ciekocki, lingwista - - - Saturnin Butkiewicz
Radostowiec, geolog - - - Stanisław Larewicz
Małowiecki, botanik - - - Tadeusz Białkowski
Kleniewicz, antropolog - - - Roman Piotrowski
Bukański, geograf - - - Józef Kiejer
Zabrzeziński, historyk sztuki Mieczysław Pił

Zegarki i biżuteria

M. RAKOWSKI

POZNAŃ
Św. Marcina 68
(wprost plikiem)

S. Kaczmarek

TRYKOTAŻE
BIELIZNA
PONCZOCHY

GARSONKI
SWETRY

„Uciekła mi przepióreczka”

(Ciąg dalszy)

Bęczkowski, administrator Józef Karbowski
Przełęcki, docent fizyki - JULIUSZ OSTERWA
Wilkoza, historyk - - - Konstanty Pagowski
Ciekocki, lingwista - - - Saturnin Butkiewicz
Radostowiec, geolog - - - Stanisław Larewicz
Małowiecki, botanik - - - Tadeusz Białkowski
Kleniewicz, antropolog - - - Roman Piotrowski
Bukański, geograf - - - Józef Kiejer
Zabrzeziński, historyk sztuki Mieczysław Pił

Zegarki i biżuteria

M. RAKOWSKI

POZNAŃ
Św. Marcina 68
(wprost plikiem)

S. Kaczmarek

TRYKOTAŻE
BIELIZNA
PONCZOCHY

GARSONKI
SWETRY

„Uciekła mi przepióreczka”

(Ciąg dalszy)

Bęczkowski, administrator Józef Karbowski
Przełęcki, docent fizyki - JULIUSZ OSTERWA
Wilkoza, historyk - - - Konstanty Pagowski
Ciekocki, lingwista - - - Saturnin Butkiewicz
Radostowiec, geolog - - - Stanisław Larewicz
Małowiecki, botanik - - - Tadeusz Białkowski
Kleniewicz, antropolog - - - Roman Piotrowski
Bukański, geograf - - - Józef Kiejer
Zabrzeziński, historyk sztuki Mieczysław Pił

Zegarki i biżuteria

M. RAKOWSKI

POZNAŃ
Św. Marcina 68
(wprost plikiem)

S. Kaczmarek

TRYKOTAŻE
BIELIZNA
PONCZOCHY

GARSONKI
SWETRY

„Uciekła mi przepióreczka”

(Ciąg dalszy)

Bęczkowski, administrator Józef Karbowski
Przełęcki, docent fizyki - JULIUSZ OSTERWA
Wilkoza, historyk - - - Konstanty Pagowski
Ciekocki, lingwista - - - Saturnin Butkiewicz
Radostowiec, geolog - - - Stanisław Larewicz
Małowiecki, botanik - - - Tadeusz Białkowski
Kleniewicz, antropolog - - - Roman Piotrowski
Bukański, geograf - - - Józef Kiejer
Zabrzeziński, historyk sztuki Mieczysław Pił

Zegarki i biżuteria

M. RAKOWSKI

POZNAŃ
Św. Marcina 68
(wprost plikiem)

S. Kaczmarek

TRYKOTAŻE
BIELIZNA
PONCZOCHY

GARSONKI
SWETRY

„Uciekła mi przepióreczka”

(Ciąg dalszy)

Bęczkowski, administrator Józef Karbowski
Przełęcki, docent fizyki - JULIUSZ OSTERWA
Wilkoza, historyk - - - Konstanty Pagowski
Ciekocki, lingwista - - - Saturnin Butkiewicz
Radostowiec, geolog - - - Stanisław Larewicz
Małowiecki, botanik - - - Tadeusz Białkowski
Kleniewicz, antropolog - - - Roman Piotrowski
Bukański, geograf - - - Józef Kiejer
Zabrzeziński, historyk sztuki Mieczysław Pił

Zegarki i biżuteria

M. RAKOWSKI

POZNAŃ
Św. Marcina 68
(wprost plikiem)

S. Kaczmarek

TRYKOTAŻE
BIELIZNA
PONCZOCHY

GARSONKI
SWETRY

„Uciekła mi przepióreczka”

(Ciąg dalszy)

Bęczkowski, administrator Józef Karbowski
Przełęcki, docent fizyki - JULIUSZ OSTERWA
Wilkoza, historyk - - - Konstanty Pagowski
Ciekocki, lingwista - - - Saturnin Butkiewicz
Radostowiec, geolog - - - Stanisław Larewicz
Małowiecki, botanik - - - Tadeusz Białkowski
Kleniewicz, antropolog - - - Roman Piotrowski
Bukański, geograf - - - Józef Kiejer
Zabrzeziński, historyk sztuki Mieczysław Pił

Zegarki i biżuteria

M. RAKOWSKI

POZNAŃ
Św. Marcina 68
(wprost plikiem)

S. Kaczmarek

TRYKOTAŻE
BIELIZNA
PONCZOCHY

GARSONKI
SWETRY

„Uciekła mi przepióreczka”

(Ciąg dalszy)

Bęczkowski, administrator Józef Karbowski
Przełęcki, docent fizyki - JULIUSZ OSTERWA
Wilkoza, historyk - - - Konstanty Pagowski
Ciekocki, lingwista - - - Saturnin Butkiewicz
Radostowiec, geolog - - - Stanisław Larewicz
Małowiecki, botanik - - - Tadeusz Białkowski
Kleniewicz, antropolog - - - Roman Piotrowski
Bukański, geograf - - - Józef Kiejer
Zabrzeziński, historyk sztuki Mieczysław Pił

Zegarki i biżuteria

M. RAKOWSKI

POZNAŃ
Św. Marcina 68
(wprost plikiem)

S. Kaczmarek

TRYKOTAŻE
BIELIZNA
PONCZOCHY

GARSONKI
SWETRY

„Uciekła mi przepióreczka”

(Ciąg dalszy)

Bęczkowski, administrator Józef Karbowski
Przełęcki, docent fizyki - JULIUSZ OSTERWA
Wilkoza, historyk - - - Konstanty Pagowski
Ciekocki, lingwista - - - Saturnin Butkiewicz
Radostowiec, geolog - - - Stanisław Larewicz
Małowiecki, botanik - - - Tadeusz Białkowski
Kleniewicz, antropolog - - - Roman Piotrowski
Bukański, geograf - - - Józef Kiejer
Zabrzeziński, historyk sztuki Mieczysław Pił

Zegarki i biżuteria

M. RAKOWSKI

POZNAŃ
Św. Marcina 68
(wprost plikiem)

S. Kaczmarek

TRYKOTAŻE
BIELIZNA
PONCZOCHY

GARSONKI
SWETRY

„Uciekła mi przepióreczka”

(Ciąg dalszy)

Bęczkowski, administrator Józef Karbowski
Przełęcki, docent fizyki - JULIUSZ OSTERWA
Wilkoza, historyk - - - Konstanty Pagowski
Ciekocki, lingwista - - - Saturnin Butkiewicz
Radostowiec, geolog - - - Stanisław Larewicz
Małowiecki, botanik - - - Tadeusz Białkowski
Kleniewicz, antropolog - - - Roman Piotrowski
Bukański, geograf - - - Józef Kiejer
Zabrzeziński, historyk sztuki Mieczysław Pił

Zegarki i biżuteria

M. RAKOWSKI

POZNAŃ
Św. Marcina 68
(wprost plikiem)

S. Kaczmarek

LECH L.
PRZYCHODZKI

STRUKTURY

PAWŁA D. ZNAMIEROWSKIEGO



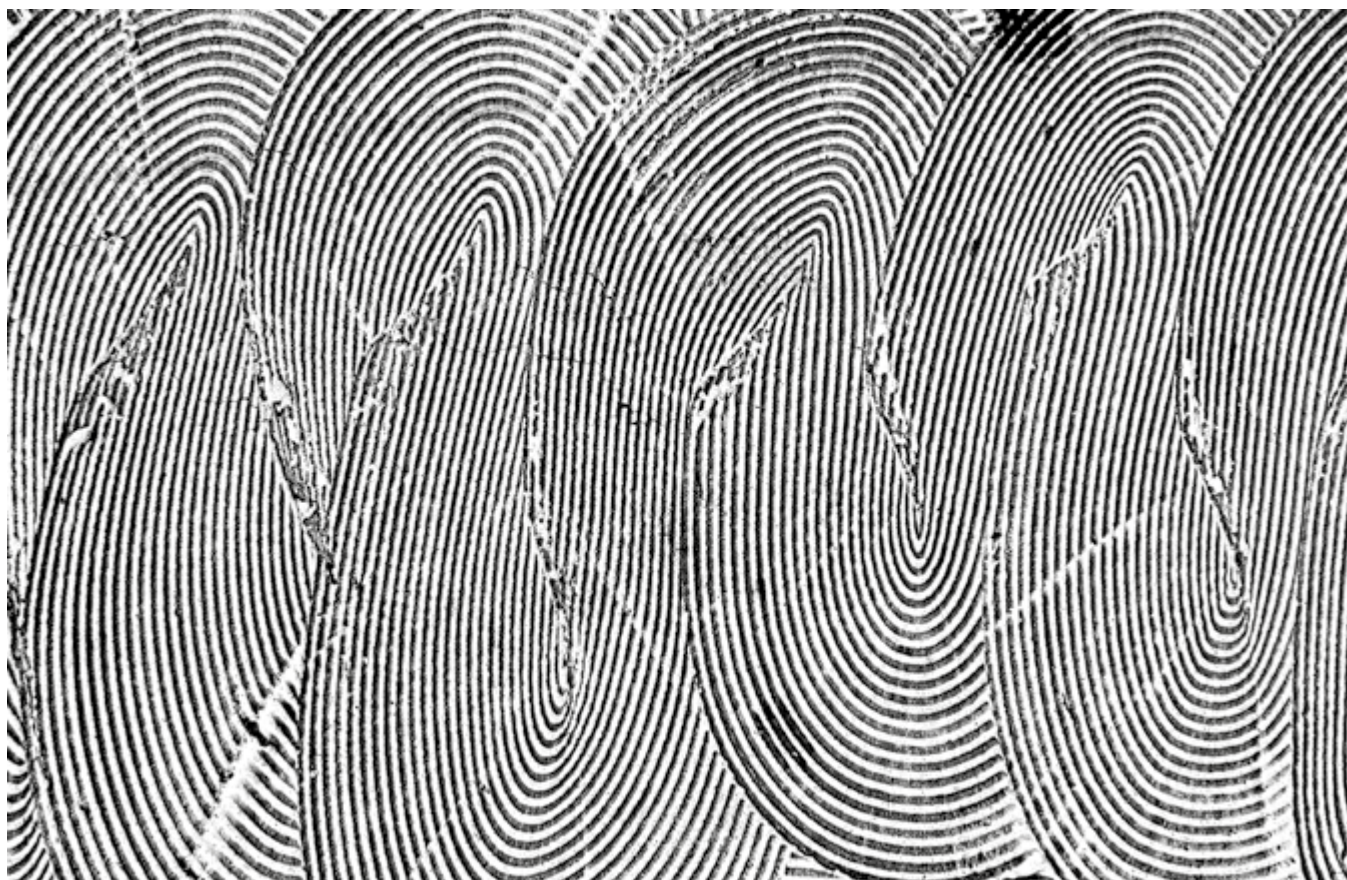
PAWEŁ DOMINIK ZNAMIEROWSKI ur. 1961 r. w Lublinie. Absolwent IWA (Wydział Artystyczny) Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, gdzie uzyskał dyplom z malarstwa, aneks z fotografii w pracowni prof. Mariana Stelmasika oraz doktorat u dr. hab. M. Mazanowskiego. Członek ZPAP i ZPAF (prezes 2018–2022, 2022–2025). W dorobku artystycznym posiada ponad 20 wystaw indywidualnych oraz udział w kilkudziesięciu wystawach i konkursach w kraju i zagranicą. Laureat licznych konkursów i stypendiów twórczych. Kurator wystaw oraz juror konkursów fotograficznych i plastycznych. Obecnie zajmuje się szeroko pojętym projektowaniem graficznym, fotografią i malarstwem.

www.pawel-znamierowski.pl e-mail: pznamierowski@gmail.com

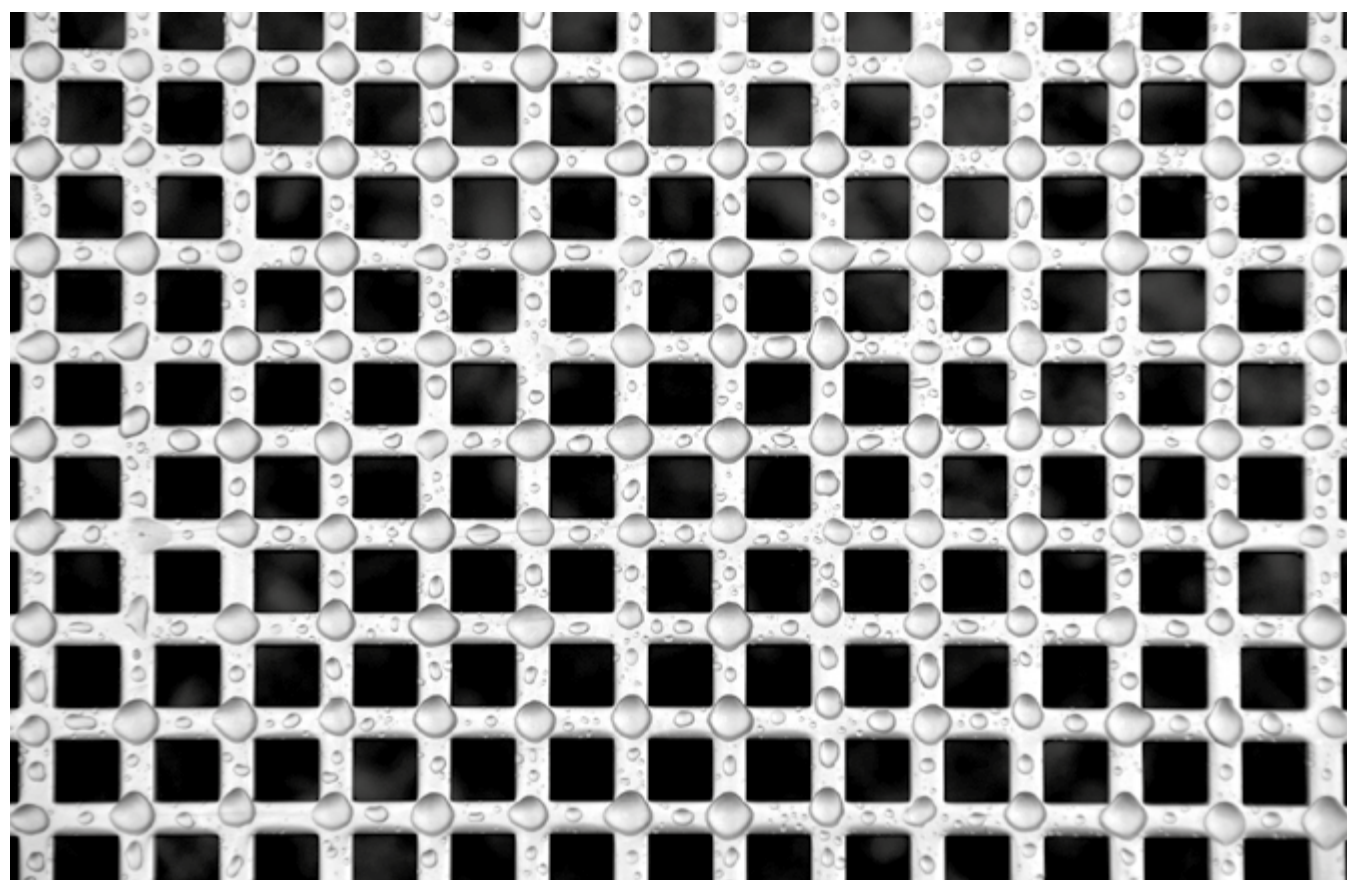
„Szukam przejawów mądrości natury w jej strukturalnej budowie, w największej koncentracji linii i plam, w pracy płaszczyzn i brył, w zmienności barw i kształtów, w harmonii i kontrastach, chaosie i ładzie, rytmie lub kapryśnej fantazji, w geometrii i nastroju, słowem w momentach ścierania się walki i pracy elementów plastycznych. Moim fotograficznym tematem jest świat struktur” – pisał lata temu inny Paweł, Pierściński w tekście, mającym dopomóc odbiorcy jego prac, zestawionych w album „Struktury”.

Przyznać trzeba, iż Paweł D. Znamierowski wyciągnął wnioski z dzieł kieleckiego mistrza fotografii krajobrazowej. Tym niemniej lata mijają i twórcy dysponują dziś nowymi środkami technicznymi, pozwalającymi na eksperymenty, niemożliwe do realizacji w Polsce jeszcze pod koniec XX wieku.

Lubelski artysta wędruje jednak drogą Pierścińskiego – najpierw dostrzega struktury, wyodrębnia je z otoczenia i dokumentuje fotograficznie. Potem zaś, jak pisał starszy z Pawłów, „zmusza warsztat do przemówienia pełnią możliwości, ukrytych w tworzywie fotograficznym”. Tyle iż warszatem stały się dla Znamierowskiego programy komputerowe.



fotoGRAFIKA
Paweł D. Znamierowski



Pierściński mógł multiplikować fragmenty kadrów poprzez fotomontaż albo fotokolaż, co dynamizowało wzajemne stosunki obserwowanych struktur. Jednocześnie uświadamiało odbiorcy, iż w przyrodzie ma do czynienia jedynie z pozorami statyczności. Światło (i nie tylko, ale głównie ono – ono i szata barwna) – w każdej chwili nieco inne – wprowadza do współistnienia struktur swoistą, kinetyczną anegdotę.

U Pawła D. Znamierowskiego jest to zdecydowanie bardziej czytelne, gdyż w swoich fotoGRAFIKACH gra barwami. Pierściński pozostawał wierny zapisowi w czerni i bieli.

Prezentowane obecnie prace obejmują szersze niż u kieleckiego Mistrza spectrum struktur. Owszem, „krajobraz” to pojęcie szerokie i nieostre. Niegdyś kojarzone było wyłącznie z naturą, z biegiem czasu – wobec rosnącej ingerencji człowieka – także elementami, jakie wprowadziła w pejzaż architektura mieszkalna, sakralna i przemysłowa. Od ponad stu lat – częścią naszego świata stały się wszelkiego rodzaju maszyny – od portowych dźwigów po auta czy olbrzymie prasy hutnicze. (Elementy działalności ludzkiej to jeden z wielu tematów, fotografowanych przez Znamierowskiego).

O ile strukturom przyrody sens i uporządkowanie nadaje funkcjonalność, miejsce w danym systemie naturalnym, to coraz częściej projektantem i wykonawcą

struktur w naszym otoczeniu jest człowiek. Niekiedy nawet potrafią one nie razić swoją sztucznością.

Jednych i drugich mamy dokoła niemało. Obu typów struktur żaden twórca nie jest w stanie w pełni zarejestrować ani nawet z grubsza uporządkować w umyśle, nim przystąpi do pracy. Narzuca się więc tutaj pojęcie cykliczności – tak Pierściński jak Znamierowski większość prac z góry traktują jako elementy większych, cyklicznych „całości”.

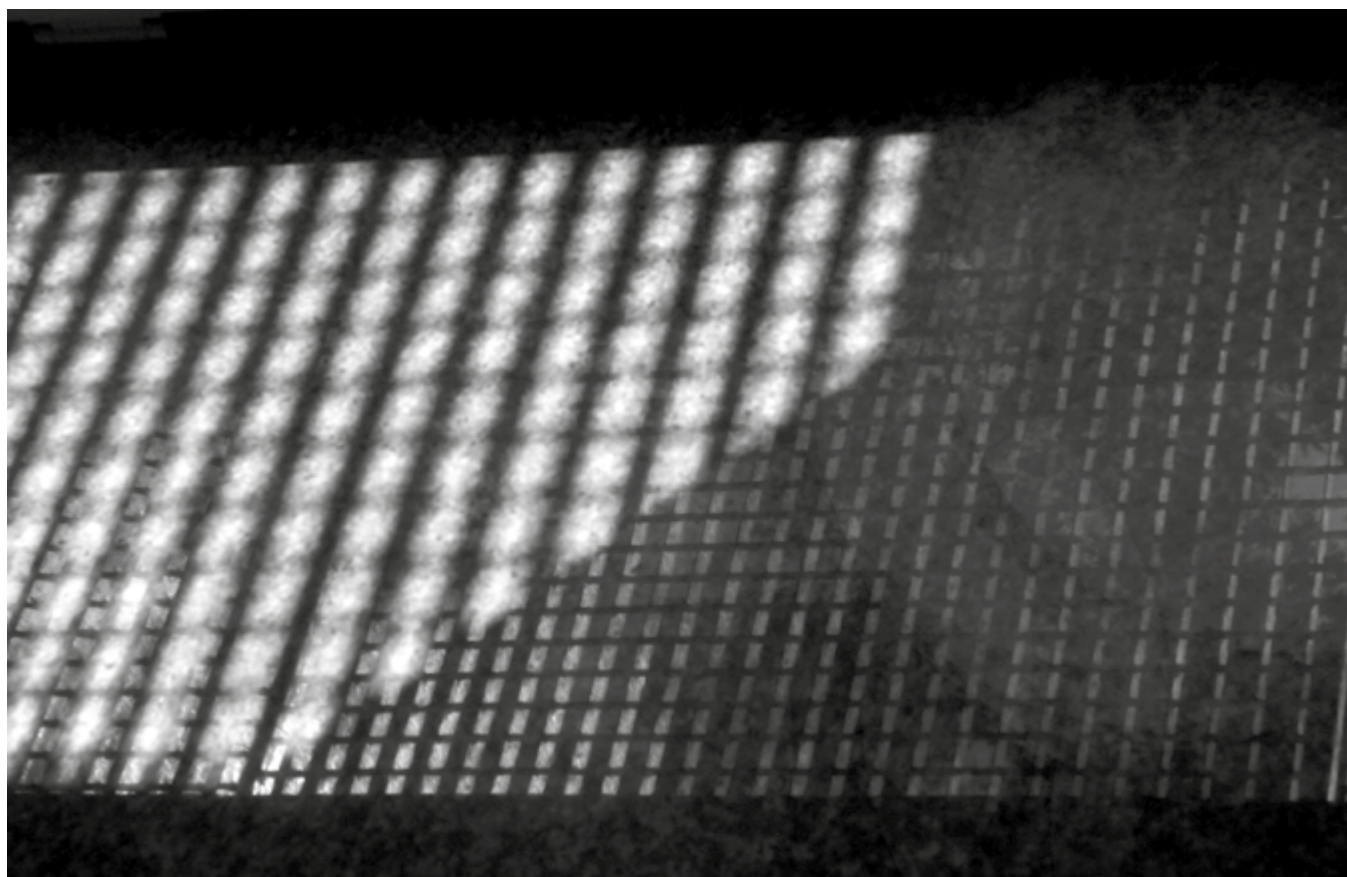
Pisał kielczanin: „Wykonane prace układałem w cykle typu otwartego, tak jak otwarty jest charakter przedstawionego na mojej fotografii świata. Dlatego zrezygnowałem z zakończonych, raz na zawsze ustalonych realizacji. Takie ustawienie cykli stworzyło mi możliwość kontynuowania obserwacji i stałego uzupełniania dokumentacji wybranego fragmentu.”

Podobnie postępuje fotografik z Lublina – stąd wyraźne fragmenty różnych serii cyklicznych. Wszędzie podstawowy, dokumentacyjny kadr, poddawany zostaje obróbce komputerowej. Oprócz kształtów, grają tu barwy, choć i bez nich wiele z fotoGRAFIK doskonale się broni.

Zaobserwowana struktura staje się punktem wyjścia do wykreowania nowej, surrealnej niekiedy rzeczywistości. Tym niemniej sztuka nie może być tylko lustrem. Bez poszukiwań i eksperymentów zostanie jedynie dokumentem. Acz i ten potrafi urzec pięknem.

LECH L. PRZYCHODZKI



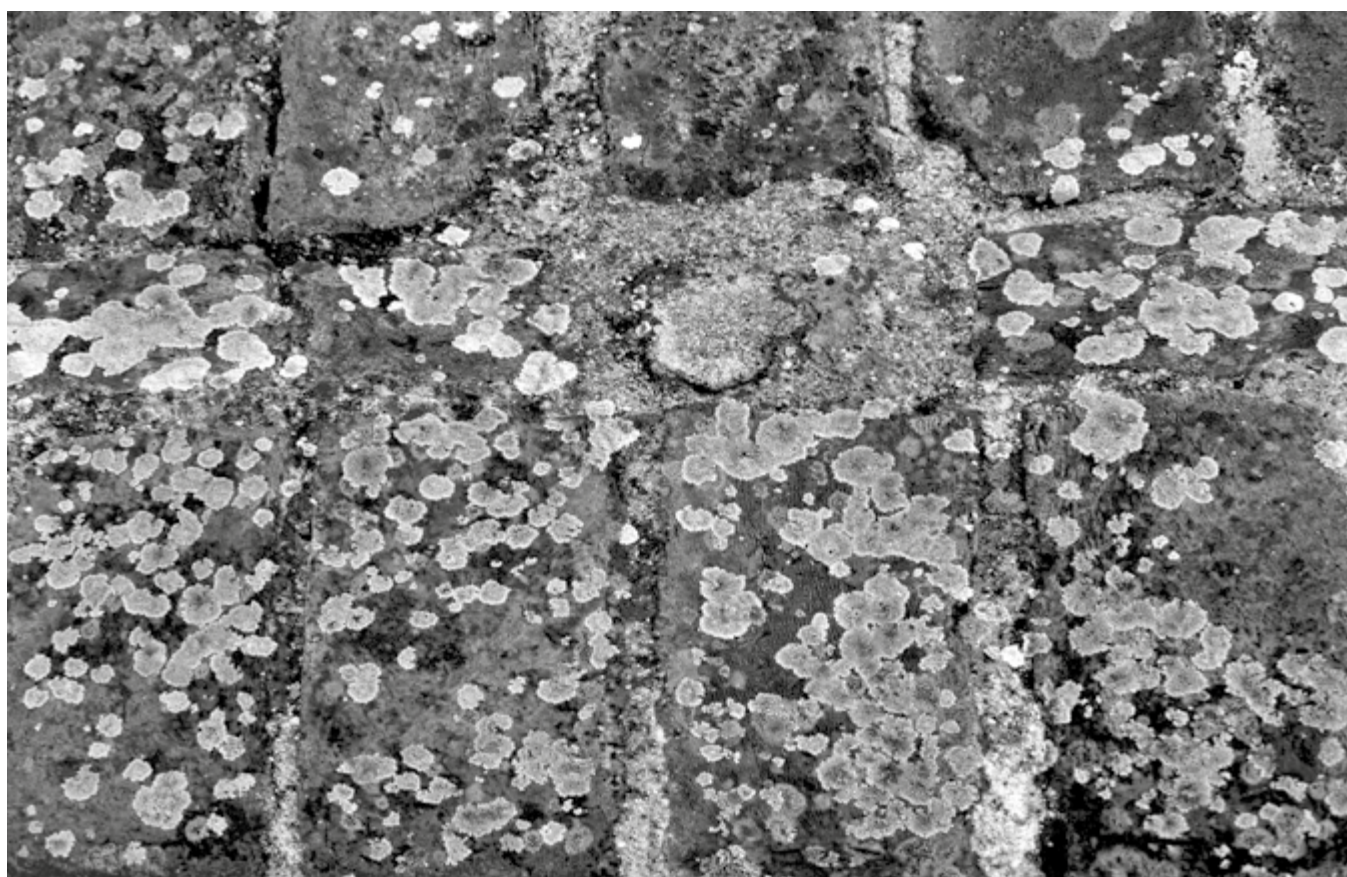


fotoGRAFIKA
Paweł D. Znamierowski





fotoGRAFIKA
Paweł D. Znamierowski



Ostatnie lata życia Lwa Tołstoja

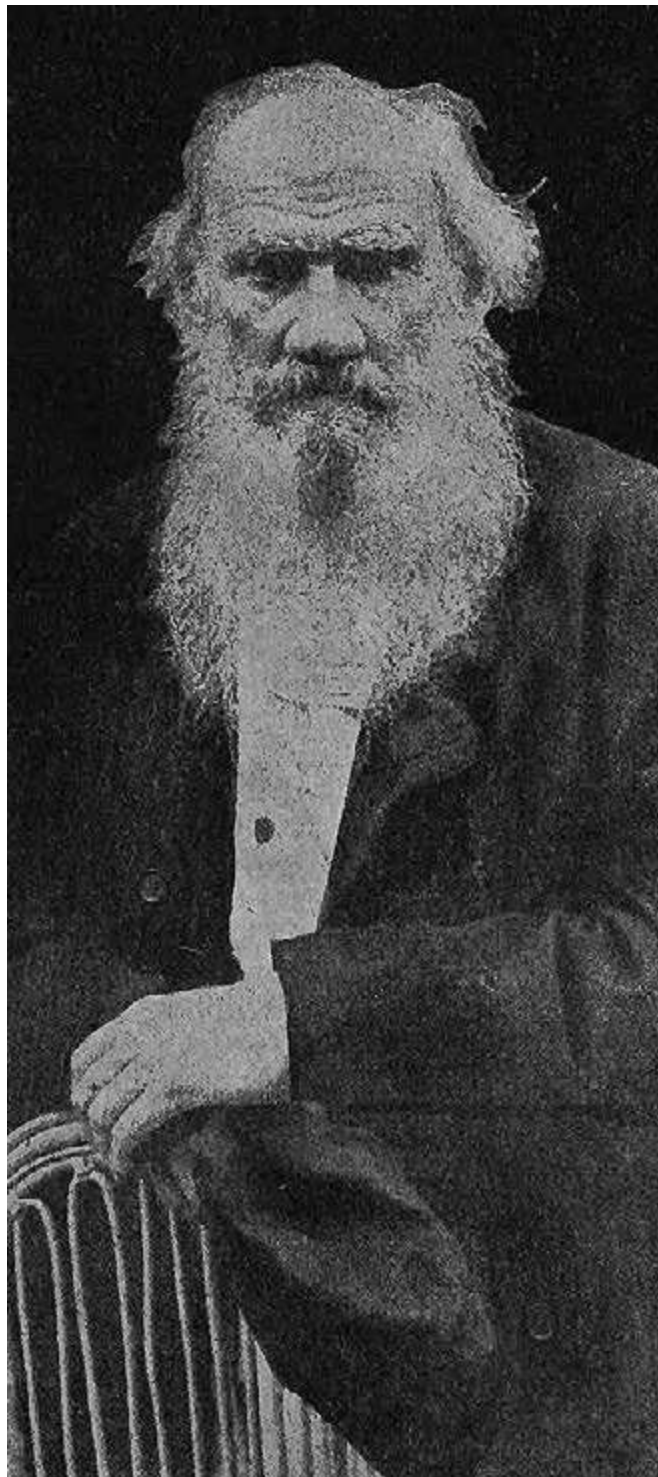
w zwierciadle prasy lubelskiej

NA POCZĄTKU XX WIEKU LEW TOŁSTOJ BYŁ TWÓRCĄ DOBRZE ZNANYM WŚRÓD POLSKICH CZYTELNIKÓW, SZCZEGÓLNIE PO UKAZANIU SIĘ W DRUKU PRZEKŁADÓW JEGO GŁOŚNEGO OPWIADANIA *Za co?* (1906), w którym ten wielki pisarz i moralista ukazał zbrodnicze prześladowania Polaków, jakich reżym Mikołaja I dopuszczał się wobec uczestników powstania listopadowego (jak wiadomo, sceny przedstawiające okrucieństwa władz carskich wobec Polaków umieścił też Tołstoj w *Zmartwychwstaniu* i w opowieści *Hadzi Murat*). Wspomniane opowiadanie *Za co?* uznawane jest za najbardziej propolski utwór, jaki wyszedł spod pióra pisarza rosyjskiego. Nic tedy dziwnego, że niemal natychmiast zostało ono dostrzeżone w piśmiennictwie polskim. Lubelski dziennik „Kurier” drukował je w odcinkach już w roku 1906 pod niefortunnie przełożonym tytułem *Po co?* Był to – jak się zdaje – przedruk tłumaczenia tegoż opowiadania, które opublikował krakowski dziennik „Czas”¹. Śledząc wątki polskie w twórczości Lwa Tołstoja, lubelski „Kurier” zamieścił dwa lata później przekład opowieści Krylcowa ze *Zmartwychwstania*. Jak wiadomo, ten epizod ostatniej wielkiej Tołstojowskiej powieści zawiera opis śmierci dwóch polskich bojowników przeciw caratowi, których powieszono w Kijowie 18 marca 1880 roku. Tłumacz Józef Mondschein opatrzył ów fragment powieści następującym przypisem: „Wstrząsający opis tej właśnie egzekucji daje nam Leon Tołstoj w *Zmartwychwstaniu*. Fragment niniejszy nieznan był dotychczas ogółowi naszemu, z przyczyn łatwo zrozumiałych”².

Duże zainteresowanie w Polsce pozostającej pod władzą zaborców wywoływały poglądy Tołstoja na kwestię polską. Jak wiadomo, pisarz wyłożył je w liście do Mariana Zdziechowskiego w roku 1895, w którym potępiał

¹ L. Tołstoj, *Po co?* Opowiadanie z czasów powstania polskiego w roku 1830, „Czas” 1906, nr 122-137; zob. też: P. Grzegorzcyk, *Lew Tołstoj w Polsce. Zarys bibliograficzno-literacki*, Warszawa 1964, s. 146. Praca ta nie uwzględnia jednak druku tego opowiadania w lubelskim „Kurierze” (nazwiska tłumacza nie podano).

² Leon hr. Tołstoj, *Opowiadanie Krylcowa* (Nieznany fragment „Zmartwychwstania”). Tłum. Józ. Mon., „Kurier” (Lublin) 1908, nr 207, s. 2. Ten przekład z Tołstoja „Kurier” drukował wtedy w trzech odcinkach (nr 207–209), ale nie został on odnotowany w pracy Piotra Grzegorzcyka (J. Mondschein zamieścił wcześniej to tłumaczenie w krakowskim dzienniku „Nowa Reforma” 1907, nr 361; zob. P. Grzegorzcyk, op. cit., s. 117).



– „Te straszne gwałty, jakich się dopuszczają dzikie, głupie i okrutne władze rosyjskie nad wiarą i językiem Polaków...”³. List ten był wielokrotnie przedrukowywany i komentowany w ówczesnej prasie polskiej i w wielu późniejszych pracach polskich autorów o Tołstoj⁴.

Echo listu Tołstoja do M. Zdziechowskiego i poglądów pisarza na kwestię polską dotarło też do prasy lubelskiej. Stało się to w roku 1910 w związku ze zgonem autora *Wojny i pokoju*. „Gazeta Lubelska” zamieściła wówczas anonimowy artykuł pt. *Lew Tołstoj*, zaznaczając, że życiorys „tego sławnego męża” podaje za „Kurierem Warszawskim”⁵. „Gazeta Lubelska” charakteryzowała społeczno-polityczny ideał Tołstoja, którym było „braterstwo ludów, złożonych z równych sobie obywateli”. Autor tego artykułu stwierdzał, iż pisarz potępiał wszelkie nacjonalizmy i podejrzliwie odnosił się do idei patriotyzmu, które oddalają narody od wzajemnego braterstwa. O stosunku Tołstoja do Polaków autor tak pisał w tym artykule:

[...] Tołstoj w Liście do Polaka zganił przywiązanie do tradycji i odrębności narodowych. Gorącą życliwość dla nas okazał jednak w opowiadaniu *Za co?*, malującym cierpienia zesłanego na Sybir powstańca polskiego⁶.

Trzy dni później ta sama gazeta (z dnia 25 listopada 1910) zamieściła anonimowy artykuł *Tołstoj o Polakach*. Autor streszczał w nim szkic Mariana Zdziechowskiego o jego pobycie w Jasnej Polanie, o rozmowie z Tołstojem i wypowiedziach pisarza o Sienkiewiczu i jego głośnej ankiecie na temat germanizacyjnej polityki Prusaków w Wielkopolsce⁷. Obydwa wymienione wyżej artykuły z tej gazety nie zostały odnotowane w bibliografii autorstwa Piotra Grzegorzcyka.

Tołstoj budził bardzo żywe zainteresowanie prasy lubelskiej z początku ubiegłego stulecia nie tylko ze względu na jego przyjazny, pełen zrozumienia i współczucia stosunek do spraw bardzo żywotnych dla narodu polskiego. Jego głos w kwestii polskiej dużo ważył w ówczesnej Rosji i dlatego Polacy przywiązywali duże znaczenie do opinii, które pisarz wypowiadał na temat Polski. Wynikało to z ogromnego moralnego autorytetu, jakim cieszył

³ Cyt. za: P. Grzegorzcyk, op. cit., s. 117.

⁴ Zapatrywania Tołstoja na sprawy Polski i jego relacje z Polakami (wśród nich z prof. Marianem Zdziechowskim) wyczerpująco omawiał Bazyl Białokożowicz m.in. w następujących pracach: *Lwa Tołstoja związku z Polską*. Warszawa 1966; *Z polskiej karty Lwa Tołstoja. Nowe i zapomniane o Tołstoj i jego percepcji w Polsce*, Olsztyn 2003; *Marian Zdziechowski i Lew Tołstoj*, Białystok 1995 (ostatnia z tych prac zawiera korespondencję M. Zdziechowskiego z L. Tołstojem, s. 69-145).

⁵ Chodziło w tym przypadku o obszerny artykuł młodopolskiego poety Zdzisława Dębickiego *Lew Tołstoj* („Kurier Warszawski” 1910, nr 322; zob. P. Grzegorzcyk, op. cit., s. 248).

⁶ *Lew Tołstoj*, „Gazeta Lubelska” 1910, nr 142, s. J.

⁷ *Tołstoj o Polakach*, „Gazeta Lubelska” 1910, nr 145, s. J. Szkic Zdziechowskiego pod tym samym tytułem ukazał się w warszawskim dzienniku „Słowo” 1910, nr 533 (zob. P. Grzegorzcyk, op. cit., s. 247).

się Tołstoj w swojej ojczyźnie i na całym świecie. Lubelski „Kurier” napisał po śmierci pisarza, że „trony drżały od skrzywienia jego pióra”. Tołstojowskie potępienie moralnej obłudy, bezdusności i nadużyć władzy państwowej, bezprawia i niesprawiedliwości społecznej, prześladowań politycznych, terroru policyjnego, pogromów i ucisku mniejszości narodowych w imperium carów zjednywało mu uznanie i wielki szacunek wśród Polaków. Potwierdza to treść wielu ówczesnych publikacji prasowych, które polskie czasopisma poświęcały wielkiemu Rosjaninowi. Wyraźnie uwidocznili się to także i w prasie lubelskiej.

O znaczeniu, jakie w owym czasie przywiązywano do opinii i poglądów Tołstoja na różne kwestie społeczno-polityczne i etyczne, świadczą tytuły poświęconych mu artykułów prasy lubelskiej. Oto niektóre z nich: *Tołstoj o socjalistach*, *Tołstoj o konstytucji*, *Lew Tołstoj o teatrze*, *Lew Tołstoj o religii*, *Tołstoj o aneksji Bośni i Hercegowiny* i inne. O Tołstoj pisała prasa różnych orientacji politycznych, starając się dla własnych celów wykorzystać jego wypowiedzi i autorytet. Wspomniany artykuł *Tołstoj o socjalistach*, wydrukowany w roku 1906, czyli po rewolucyjnych wydarzeniach roku poprzedniego, posłużył endeckiej gazecie „Ziemia Lubelska” do dyskredytacji idei socjalizmu. Oto fragment tego artykułu, w którym anonimowy autor przytacza wypowiedź Tołstoja skierowaną do działaczy ruchu socjalistycznego (autor relacjonował doniesienia prasy rosyjskiej):

Paru przywódców partii socjalistycznej wybrało się niedawno do Jasnej Polany, aby zapytać sędziwego pisarza o różne bieżące sprawy społeczne i, przystosowawszy do swych potrzeb jego słowa, poprzeć nimi swą agitację. Spotkał ich jednak zawód, bo hr. Tołstoj, wysłuchawszy ich, odparł krótko i dobitnie: „Wy panowie socjaldemokraci jesteście bardzo dalecy od natury... Popatrzcie, jak się w niej wszystko stopniowo rozwija [...] Ale wy chcielibyście mieć wszystko zaraz.

Zasiedliście po miastach i fabrykach, chcecie stamtąd przewrócić świat do góry nogami. O ludność rolną nie dbacie, a przecież w niej wszystka siła. Nie można zerwać z naturą i ziemią. W naturze, w ziemi cała prawda. Dajcie chłopu więcej ziemi, uwolnijcie jego pracę z niewolnictwa, a całe życie ulegnie zmianie. Wtedy także życie robotnika poprawi się⁸.

I tak oto Tołstoj, przeciwnik radykalnych przewrotów społecznych, apologeta chłopskiej Rosji i wytrwały propagator przebudowy życia społecznego poprzez moralne doskonalenie człowieka, okazywał się przydatny

⁸ *Tołstoj o socjalistach*, „Ziemia Lubelska” 1906, nr 67, s. 2-3. Ten artykuł lubelskiego dziennika o Tołstoj nie został uwidoczniony w pracy P. Grzegorzcyka.

w antysocjalistycznej propagandzie środowisk polskiej prawicy.

Dziennik „Lublinianin” w swojej rubryce doniesień „Z Cesarstwa” zamieścił w roku 1907 krótki anonimowy artykuł *Tołstoj o konstytucji*. Autor omawiał w nim drukowaną w prasie rosyjskiej rozmowę z Tołstojem na temat przygotowywanej w Rosji konstytucji (w istocie chodziło o nową ordynację wyborczą do III Dumy Państwowej, która wyłoniona została jesienią 1907 roku i sankcjonowała okres rządów „monarchii przedstawicielskiej”⁹). Autor informował, że Tołstoj uważał rządowy projekt „konstytucji” za twór oszukańczy, urzędniczy i niedający ludowi prawdziwego przedstawicielstwa w Dumie Państwowej. W swoich wywodach cytował też następującą sceptyczną opinię pisarza: „Ja jestem już za stary i widziałem zbyt wiele życia i ludzi, abym brał polityczną margarynę za masło”¹⁰.

Głośnym echem w piśmiennictwie polskim odbiła się ogłoszona drukiem w roku 1908 słynna broszura Tołstoja *Nie mogę milczeć!*¹¹ Sędziwy już wtedy pisarz wyraził w niej płomienny i odważny protest przeciwko szalejącemu w stołypinowskiej Rosji terrorowi policyjnemu i nadużywaniu kary śmierci wobec działaczy politycznej opozycji i rewolucyjnego podziemia. Autor owej broszury – a tylko on ze swoim rozgłosem i moralnym autorytetem mógł sobie na to pozwolić – chciał wstrząsnąć sumieniem Rosji i świata w obliczu krwawych gwałtów i bezprawia. O tym wystąpieniu Tołstoja obszernie informował lubelski „Kurier” w artykule *Nie mogę milczeć!* Anonimowy autor cytował w nim (na podstawie tekstu z rosyjskiej gazety „Речь”) fragmenty tej broszury Tołstoja i przytaczał jego opinię o moralnych spustoszeniach, jakie w społeczeństwie pociąga za sobą szafowanie wyrokami śmierci przez władze państwowe¹². Polacy, którzy na co dzień stykali się z surowymi represjami ze strony władz rosyjskich, zapewne przyjmowali z uznaniem ów doniosły głos protestu proroka z Jasnej Polany.

Rok 1908 obfitował w ważne wydarzenia w życiu Tołstoja. Był to – jak już wspomniano – czas jego głośnych wystąpień publicznych w obronie ludzi prześladowanych i gnębionych. Pisarz zabierał też głos w sprawach międzynarodowych, o czym świadczyła jego wypowiedź na temat aneksji Bośni i Hercegowiny, dokonanej przez Austrię w październiku 1908 roku. Aneksja ta wywołała oburzenie w Rosji, które podzielał również Tołstoj. W prasie lubelskiej informował o tym „Kurier” w doniesieniu pt.

⁹ Zob. L. Bazyłow, *Dzieje Rosji 1801–1917*, Warszawa 1977, s. 499–501 (rozdz. Rosja jako monarchia „przedstawicielska”)

¹⁰ *Tołstoj o konstytucji*, „Lublinianin” 1907, nr 30, s. 2–3.

¹¹ Zob. P. Grzegorzczak, op. cit., s. 152–156.

¹² Zob. *Nie mogę milczeć!*, „Kurier” 1908, nr 163, s. 3 (z 21 lipca 1908). Artykuł ten nie figuruje w pracy P. Grzegorzczaka.

*Z Cesarstwa. Tołstoj o aneksji Bośni i Hercegowiny*¹³. Tołstoj był w owym czasie wybitną i znaną osobistością nie tylko w Rosji, ale i poza jej granicami. Dlatego uważnie wsluchiowano się w jego słowa i informowano opinię publiczną o jego życiu i wystąpieniach w kwestiach społecznych i w sprawach sztuki. Znamienny był jego wywiad na temat sztuki dramatycznej, w którym pisarz z właściwą sobie pasją akcentował współczesne dramaty i cierpienia: [...]. *Czyż była kiedykolwiek epoka, tak obfitująca w okropne cierpienia, tak pełna wzajemnego niszczenia się? [...] Ile okropności przesunęło się przed naszymi oczyma przez ostatnie 3-4 okropne lata! Ile egzekucji, samobójstw i obłąkań!*¹⁴.

Jak widać, pisarz z żarliwością publicysty wciąż powracał do kwestii brutalnych policyjnych represji w ówczesnej Rosji. I w tym widział prawdziwe dramaty, których, według niego, nie odzwierciedlała ówczesna dramaturgia modernistyczna.

Wiosną 1908 roku Tołstoj poważnie zachorował. To zdarzenie z jego życia również nie pozostało bez echa w prasie lubelskiej. Dziennik „Kurier” z 23 kwietnia 1908 roku, który szczególnie dużo uwagi poświęcał temu pisarzowi, donosił w dziale „Ostatnie wiadomości”: „Lew Tołstoj chory. Z Jasnej Polany nadeszły wieści, że hr. Lew Tołstoj znów zapadł ciężiej na zdrowiu. Choroba żołądka i kiszek nie ustępuje, lecz przeciwnie, cierpienia się wzmagają. Niebezpieczeństwo jednak choremu nie grozi”¹⁵.

Najważniejszym wszakże wydarzeniem roku 1908 w życiu Tołstoja był jubileusz osiemdziesięciolecia jego urodzin, który przypadał 28 sierpnia (według nowego stylu 9 września) i wywołał duże zainteresowanie w ówczesnym świecie, w tym także i w prasie polskiej¹⁶. Jubileusz ten uczcili okolicznościowymi artykułami m.in. Henryk Sienkiewicz, Eliza Orzeszkowa i Bolesław Prus (autor *Lalki* kilka razy wypowiedział się o Tołstojowi¹⁷). Jest rzeczą oczywistą, że rocznicę urodzin Tołstoja dostrzegły również dzienniki lubelskie – „Ziemia Lubelska” i „Kurier”. Na uwagę zasługiwał zwłaszcza entuzjastyczny rocznicowy artykuł miejscowego poety i krytyka Jana Iwańskiego, zamieszczony w „Kurierze” (szkoda, że nie jest on wymieniony w bibliografii P. Grzegorzczaka). Oto co Iwański pisał wtedy o Tołstojowi (artykuł ten wydrukowano na pierwszej stronie dziennika):

¹³ „Kurier” 1908, nr 295, s. 3.

¹⁴ *Lew Tołstoj o teatrze*, „Kurier” 1908, nr 217, s. 3.

¹⁵ „Kurier” 1908, nr 92, s. 4.

¹⁶ Zob. P. Grzegorzczak, op. cit., s. 235–244.

¹⁷ Zob. na ten temat: A. Semczuk, *Bolesław Prus jako krytyk Lwa Tołstoja* [w:] *O wzajemnych powiązaniach literackich polsko-rosyjskich*, pod red. S. Fiszmana i K. Sierockiej, Warszawa 1969, s. 143–158.

W dniu dzisiejszym cała Rosja kulturalna, a z nią cały cywilizowany świat obchodzi święto złotych godów z literaturą jednego z największych pisarzy współczesnych, Lwa Tołstoja. [...] W rzędzie pisarzy mu współczesnych, owych największych, jakich pamięć czci świat cały, obok Turgeniewa i Dostojewskiego stoi Tołstoj jak kolos tamtym równy, jak oni całe światy wierzeń, pragnień i smutków w duszy noszący. Jak tamci, dawno zmarli, dzisiejszy jubilat jest dumą i chlubą ojczyzny swojej, której imię po całym świecie rozślawił, lecz nie jest jej własnością wyłączną; nie jedną Rosję, lecz świat cały, zewnętrzny zdarzeń i wewnętrzny dusz ludzkich ogarnął duch wielkiego twórcy i dlatego imię Lwa Tołstoja jest własnością świata cywilizowanego.

Sfera jego wpływów była ogromna; śmiało rzec można, że niewielu w ogóle, a z rosyjskich pisarzy żaden takiego uznania poza ojczyzną swoją, jak Tołstoj, nie osiągnął. [...] W szeregu tych, co dzień dzisiejszy jako dzień święta uznali, i my stajemy, głosząc sercem całym: cześć wielkiemu bojownikowi prawdy, cześć Tołstojowi¹⁸.

W ciągu roku 1909 dzienniki lubelskie dość rzadko pisały o Tołstoj. Informacje o jego wystąpieniach opierały się głównie na aktualnych doniesieniach ówczesnej prasy rosyjskiej. Dotyczyły one m.in. jego stosunku do religii, nękania go przez władze sądowe i policyjne oraz jego wskazań higieniczno-zdrowotnych. Jak wiadomo, pisarz, będąc w starszym wieku, prowadził i zalecał prosty tryb życia, hartowanie ciała i pracę fizyczną, powstrzymywanie się od alkoholu). Wśród tych doniesień na uwagę zasługiwała notatka w „Kurierze” *Spotkanie się szczytów myśli rosyjskiej*, podpisana inicjałami E. S. (Eugeniusz Sokołowski?). Autor informował w niej o wizycie w Jasnej Polanie prof. Iłji Miecznikowa i jego rozmowie z Tołstojem (powoływał się przy tym na prasę rosyjską). Według autora ten znany w świecie mikrobiolog, twórca podwalin nowoczesnej profilaktyki zdrowotnej oraz Tołstoj byli zgodni w sprawie troski o zdrowie społeczne i higieniczny sposób życia. Autor pisał również o tym, że wbrew rozpowszechnionym opiniom, Tołstoj nie jest wrogiem nauki, ale wrogiem sztuki oderwanej od życia ludu¹⁹.

Najliczniejsze i najważniejsze publikacje dzienników lubelskich o Tołstoj ukazały się jesienią 1910 roku i miały bezpośredni związek z tajemniczą ucieczką pisarza z Jasnej Polany i jego śmiercią, która nastąpiła na stacji kolejowej Astapowo 20 listopada. Jak wiadomo, Tołstoj, będąc już schorowany i stary, udręczony rodzinnymi niesnaskami, nękany napastliwą krytyką ze strony różnych środowisk, m.in. przez przedstawicieli Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, postanowił ostatecznie lata swego życia

spędzić w samotności i spokoju. Wśród wielu przyczyn jego ucieczki z rodzinnego domu Antoni Semczuk wymienia też „konflikty sumienia z powodu niezgodności własnego życia z głoszoną doktryną etyczną”²⁰.

Co o owej Tołstojowej „ucieczce w nieznaną” pisało w ówczesnej prasie lubelskiej? Samo to zdarzenie – jak wiadomo – wywołało wielkie poruszenie w Rosji i w świecie. Traktowano je w kategoriach swoistej i niezrozumiałej sensacji. Nie inaczej było też i w redakcjach lubelskich gazet, o czym świadczyły tytuły artykułów: *Zaginienie hr. Lwa Tołstoja* i *Ucieczka Tołstoja*. Obszernie o zniknięciu pisarza donosiła „Gazeta Lubelska” z 14 listopada 1910 roku (źródłem informacji były niezmiennie czasopisma rosyjskie):

Tuła. Księżę Oboleński, najbliższy sąsiad Jasnej Polany, donosi, że 10-go bm. Lew hr. Tołstoj wraz z przybocznym lekarzem swym, doktorem Makowickim, zniknęli z Jasnej Polany.

Wychodząc o godz. 5 z rana ze swego pałacu, znakomity pisarz pozostawił list, w którym wypowiada życzenie spędzenia schyłku swego życia w samotności i odosobnieniu.

Do Jasnej Polany wezwano telegraficznie całą rodzinę Lwa Tołstoja.

Zarządzone w całej okolicy poszukiwania hrabiego dotychczas nie dały żadnego wyniku.

Wiadomość o zniknięciu Lwa hr. Tołstoja, lubo zaskoczy świat niespodzianką sensacyjną, nie wyda się nieprawdopodobną, ze względu na mistyczną, niesłychanie oryginalną organizację duchową wielkiego starca z Jasnej Polany.

Moskwa. Tołstoja dotychczas nie odzyskano. Hrabia pozostawił list do żony, w którym pisze, że „nie może dłużej żyć w przepychu i pragnie dokonać żywota wśród skrzywdzonych przez los”. Hr. Tołstoj prosi dalej, aby zaniechano wszelkich poszukiwań. Są one bezcelowe: hrabia do Jasnej Polany nie wróci już nigdy²¹.

Te anonimowe redakcyjne doniesienia „Gazety Lubelskiej” właściwie wyjaśniają niektóre szczegóły i okoliczności porzucenia Jasnej Polany przez Tołstoja. Inne szczegóły podawał w tym samym czasie „Kurier”:

Ucieczka Tołstoja. Tołstoj, uciekający z domu, udał się najpierw do klasztoru optińskiego i zapytał przełożonego, czy klasztor, mimo wyklęcia – przyjmie go. Przełożony odpowiedział twierdząco.

¹⁸ J. Iwański, *Jubileusz Tołstoja*, „Kurier” 1 908, nr 205, s. 1.

¹⁹ Zob. E. S., *Spotkanie się szczytów myśli rosyjskiej*, „Kurier” 1909, nr 142, s. 2.

²⁰ A. Semczuk, *Lew Tołstoj* [w:] *Historia literatury rosyjskiej*, t. II, pod red. M. Jakóbca, Warszawa 1976, s. 309–310.

²¹ *Zaginienie hr. Lwa Tołstoja*, „Gazeta Lubelska” 1910, nr 134, s. 4.

Cena 4 grosze.

Lublin, Wtorek 21 Listopada 1910 r.

Rok V.

KURJER

Administracja otwarta od godziny 10-ej do 3-ej popoł. i od 5-ej do 7-ej wiecz.

Redaktor lub jego zastępca przyjmuje od godziny 12-ej do 2-ej popołudnie.

Redakcja i Administracja ulica Krak.-Przedm. № 60. Telef. № 282.

Cena Prenumeraty:

W Lublinie z adn. poczt. i domów: roczni 6 rb., półroczni 3 rb., kwartalni 1 rb., 50 kop., miesięcznie 45 kop., tygodniowo 15 kop.
Z PRZESYŁKĄ POCZT. Rocznie 6 rb., półrocznie 3 rb., kwartalni 1 rb., 50 kop., miesięcznie 45 kop., tygodniowo 15 kop.
Zagranicą 8 rb. rocznie

Cena Ogłoszeń:

Na 1 stronie wiersz jednospaltowy pełtem lub jego miejsce 25 kop., na 3-ej stronie 15 kop., na 4-ej stronie 10 kop. Margines środkowy jednorazowo—4 rb., następnym razem 3 rb. Nekrologi za wiersz 25 k. Reklamy nie zwrocą się. Skrzynka pocztowa № 62.

№ 268.

Stosunki robotnicze na czarnym lądzie.

Wiadomo, że w kolonjach, należących do państw europejskich, dumnych ze swej wysokiej kultury, panują stosunki spotykane na „starym lądzie”, tylko w czasie stanów wojennych lub rządów dyktatorskich, kiedy to akt konstytucyjny gwarantujący obywatelom jaką taką złudę wolności i swobód obywatelskich wisł sobie w archiwum państwowym na kołku, a natomiast działają sprawnie i szybko; szubienica, kula karabinowa i pięść.

Kolonjalna polityka to: „romans kryminalny”, pisany przez państwa cywilizowane w zamorskich kolonjach. Jego karty obficie krwią, potem i łzami spryskane przyzwyczaiły nas do wielu „purpurowych niespodzianek”, tak, że coraz trudniej w tej dziedzinie, zadowolony lub wstrząsnąć wybrykiem dzikości i rozkleźniania.

A jednak... zdarza się to jeszcze od czasu do czasu. Ot, świeżo opinia Europy została wstrząsnęta niezwykłą taktiką Niemców w stosunku do Kaffrów, którzy są od jakiegoś czasu poddaniemu rządowi, przechodzącego w tradycjach swych, kult dla krzyżackiego systemu cywilizowania barbarzyńców, nie tylko krzyżem... ale ogniem, mieczem, kajdanami, głodem, syfilisem i alkoholem. Przyjrzyjmy się tej gospodarce niemieckiej, w południowo-zachodniej Afryce.

Tym razem, mamy do czynienia nie z objawem uproszczonego do zwykłego mordu militarystycznym, nie z wyrafinowaną zbrodnią seksualną, lecz z zatargiem na tle ekonomicznym, z importowanym ze starej Europy, na czarny ląd—dziewiczy zdawaćby się mogło—bo ze strajkiem.

Tak, wyobraźcie sobie czytelnicy, że dzikim Kaffrom zachciało się naśladować kolejarzy francuskich i tramwajarzy warszawskich i o dziwo, —zrobili to w tym samym czasie co i tamci, tylko o tym, co się na krańcach czarnego lądu stanie, miesiąc temu, dowiadujemy się w Europie dopiero dzisiaj.

A ów niezwykły zaiste strajk czarnych Kaffrów, da się opowiedzieć w paru słowach treściwych jak raport wojskowy.

Buduje się na kaffryjskim terytorjum koleje, między Karibid a Winduk. Do pracy tej, niemiecki przedsiębiorca Orestein-Koppel sprowadził krajowców, którzy podobno stanowią doskonały materiał robotniczy.

Kaffrowie pracowali sumiennie—no a firma niemiecka miała im za tę ich pracę, płacić podług umowy uroczyste zawartej uprzednio.

Gdy przyszło do wypłaty, okazało się, że firma Orestein Koppel ma zwyczaj za-

wierać uroczyste umowy z barbarzyńcami, ale nie myśli się z nimi liczyć.

I słusznie—przecież nawet mistrze krzyżacy tak czynili ze słowiańską dźcią, za starych dobrych czasów, a przecież to byli mężowie duchowni, z jakiej więc racji przeciętny świecki kapitalista niemiecki, rzucony zdala od łagodnych wpływów kultury współczesnych Niemiec, ma w pochodzie swym do Fortuny, odbywanym w dalekiej krainie, „czarnych ludzkich” skór i „białej kości słoniowej”—nieś balast tak niepotrzebny jak —sumienie. To też zostawiło go w starej ojczyźnie i owo Tow. budujące nową koleję na afrykańskim lądzie „czarnymi rękami” Kaffrów. Gdy robotnicy niezadowoleni z obciążonej pracy porzucili pracę, chwytając się broni tak nowoczesnej jak strajk—kapitałiści niemieccy postąpili z nimi tak, jak przystało na potomków narodu, który wydawał w przeszłości krwawych margrafów i żelaznych komturów.

Wzięto po prostu czarnych robotników w oblężenie, odcięto im dowóz żywności i wody, co w klimacie afrykańskim było mocno—nie mile, ale nader—celowe.

Skazani przez wielokuduszy „chlebobawców” na śmierć z głodu i pragnienia „czarne dzikusy”, w porwyłe instynktu samozachowawczego rzucili się w chwili bezrozumnego szału na swych dozorców pracy. Obeszli się z nimi nawet b. niegrzecznie bo ich poturbowali, pisma piszą: że „dozorców czynnis zaczepili”. Wówczas, energiczna firma dla ukoronowania zaczętego dzieła, sprowadziła wojsko rycerskiego cesarza Wilhelma z najbliższego garnizonu, które z wielką gorliwością w zatargu pracy z kapitałem stanęło jak na rycerzy przystało, w obronie „uciemiężonej niewinności”—kapitału.

Od celnych salw podkomendnych cesarza Wilhelma, czternastu murzynów momentalnie przeszło na „tamten brzeg”, łącząc się z duchami przodków, wielka ilość pozostałych przy życiu odniosła ciężkie lub lekkie rany.

A co czytelnicy? nie przypuszczaliście, że przedsiębiorcy niemieccy, na terenie afrykańskim takimi „junakami” być potrafili wobec czarnych, zbrojnych tylko w pracowitą pięść—robotarzy.

Jakże błąd wyglądają przy tych ruchach afrykańskich „wyfrakowani”, „umundurowani” poskramiacze strajków europejskich, w rodzaju p. Brianda... i jemu podobnych.

St. Poraj.

Znoszę skargę na wszystko, lecz za wszystkim się wstawiam.

(Duma o hetmanie).

Zawojski.

Pamiętajmy o potrzebach szkolnictwa naszego.

Śmierć Tołstoja.

Stare wielkie serce Lwa Tołstoja bić przestało, genialny jego mózg zakrzepił w wieki. Dnia 20 listopada nadeszła pewna wiadomość o jego śmierci. Wiadomość ta okryje załobą nie tylko Rosję. W całym świecie, wszyscy którzy myślą i czują, wszyscy, którzy wielbią poezję i porwy ducha ludzkiego wzywać, wszyscy, którzy pracują nad lepszą i szlachetniejszą dolą dni jutrzejszych i dążą do odrodzenia treści i celów życia ludzkiego, poruszeni będą do głębi wieścią, że zagasił jeden z najpotężniejszych świecanków ideału i miłości ludzkiej. Pozostanie już tylko odstęp potężna luna blasku bijącego z dzieł wielkopomyślnych, i rozpraszająca mroczne przestrzenie powszechności, przesyconej wyziewami krwi, potu i łez.

Imię Tołstoja od lat z górą trzydziestu pięciu było sztandarem epoki współczesnej. Powiew tego sztandaru zasumiał zrazu jakąś obcą, niepokojącą melodię. Wśród powszechnego wyzłobienia uczuć, rozkleśnanej walki o życie, wśród zimnego aperytywnego cynizmu, wichur tołstojowych ideałów przyniósł wraz z ostatnimi rozdźwiękami „Anny Kareniny” wairząśniecie o przedziwnej mocy odnawiającej. Chorążowie sztandarów zachodu i północy ówczesnego świata próbowali stłumić ten krzyk o pokój i szczęściu opartym na mistycznym neochrześcijańskim rezgnacji; przeszkadzał im w krwawej walce o dobro społeczne, zespolone z rozkwitem indywidualizmu, w krwawej walce, w której już, już spodziewali się odnieść zwycięstwo...

Ale sztandar Tołstoja górował nad innymi i opanował najgłośniejsze wyzyny, do jakich wbić się mogło uczuciowe marzenie ludzkie. Dźwigał go nie tylko geniusz potężnego poety, nie tylko umysł szlachetnego myśliciela, ale także i natchnienie entuzjastycznego proroka. Ołbrzymi artysta, znawca ludzi i natury, przenikliwy psycholog i mistrz plastyki pisarskiej, zsumiewający odtwórcą środowiska społecznego,—miał już dosyć tytułów, aby zapewnić sobie postuch świata. Ale Tołstoj wystąpił przed nim przedewszystkim jako apostoł obyczajowo-moralny—podjął dzieło nie poezji i myślicielstwa, ale mesjanizmu i prorocstwa. Nauki jego znów naniższy lekceważoną już nie moralizatorskiego uświęcania ducha ludzkości. Za dotknięciem jego ręki otworzyły się nanow oświetlające karty Ewangelii, i tryły z nich nowe źródła krytyczne, których się ani nie domyślali powołani tych kart tłumacze. Stopy jego poszły ścieżkami „prawdziwych dróg życia”, tych których szukał przestary Buddha i przedwiekowy Mahomet, tylko, że drodze tej przysłał cała już współczesność, wyzwolony z mgły zabobonów i przesądów światopogląd.

Odtąd każde nowe wystąpienie Tołstoja było sensacją dla cywilizowanego świata. Bardzo silne wrażenie sprawiły: nowela „Śmierć Iwana Iljicza”, dramat „Potęga ciemnoty” powieść „Seneca Kruetzera (1890), komedia „Owice oświaty”, (1891), oraz opowiadanie „Pan i sluga” i wreszcie ostatnie arcydzieło „Zmartwychwstanie”.

Życie zewnętrzne Tołstoja zaczęło przybierać coraz niezwyklesze formy. Ubierał się po chłopsku, zajmował się osobiście orką i siewką. Pogląd

Mimo to Tolstoj udał się do żeńskiego klasztoru szamardyńskiego, gdzie przebywa jego siostra [...].

Jako bezpośrednią przyczynę ucieczki Tolstoja podają niesnaski rodzinne, a zwłaszcza przykre zajście z żoną, która robiła mu ciągle wyrzuty, że nie przyjął nagrody Nobla i odrzucił propozycję pewnego nakładcy rosyjskiego, ofiarującego mu milion rb²².

Kolejne numery wymienionych tu dzienników lubelskich, ukazujące się w następnych dniach, przynosiły różne wieści dotyczące Tolstoja. Informowały one o poszukiwaniach pisarza, odnalezieniu go w klasztorze szamardyńskim na południu Rosji, spotkaniu z rodziną, ciężkiej chorobie na zapalenie oskrzeli, wreszcie o śmierci i pogrzebie w Jasnej Polanie.

Najwięcej wieści o Tolstoju podawał postępowo-radykalny „Kurier”. Już po śmierci sławnego pisarza dziennik ten donosił 21 listopada 1910 roku:

[...] Petersburg. Wieczorem w komnatkach metropolity Antoniusza odbyło się nadzwyczajne posiedzenie synodu w sprawie pogrzebu Lwa Tolstoja. Orzeknięto, iż przedstawiciele cerkwi prawosławnej nie mogą uczestniczyć w pogrzebie, ani też nie należy zezwalać na nabożeństwa żałobne. Wobec takiej uchwały, powziętej na nadzwyczajnym posiedzeniu synodu świątobliwego, pogrzeb odbędzie się tylko cywilny, nabożeństw żałobnych w cerkwiach nie będzie²³.

Wiadomość ta była potwierdzeniem wrogiego stosunku Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej do Tolstoja, którego Synod ekskomunikował w roku 1901. Jak wiadomo, powodem wyłączenia pisarza ze wspólnoty wiernych była jego krytyka moralnej obłudy najwyższych hierarchów Cerkwi i ich usłużnej postawy wobec reżymu carskiego. W jednym z dalszych numerów „Kurier” pisał, iż władze policji carskiej, idąc śladem zaleceń Synodu, zakazały odprawiania w cerkwiach nabożeństw za spokój duszy Tolstoja²⁴.

Echa śmierci Tolstoja w prasie lubelskiej nie ograniczały się jednak tylko do krótkich doniesień i telegramów. Pojawiły się również dłuższe artykuły omawiające jego osiągnięcia literackie, oryginalną spuściznę myślową i oddziaływanie jego idei na społeczeństwo rosyjskie. „Gazeta Lubelska” zamieściła cytowany już wyżej przedruk artykułu *Lew Tolstoj* z „Kuriera Warszawskiego”. Z kolei „Kurier” przedrukował w warszawskiego „Kuriera Porannego” obszerny artykuł *Śmierć Tolstoja*, w którym

²² *Ucieczka Tolstoja*, „Kurier” 1910, nr 265, s. 3. Rosyjska gazeta „Речь” pisała wtedy, że Tolstoj oznajmił, iż nie przyjmie Nagrody Nobla, w razie gdyby mu ją przyznano (zob. P. Grzegorzcyk, op. cit., s. 252).

²³ *Lew Tolstoj*, „Kurier” 1910, nr 268, s. 4.

²⁴ Zob. „Kurier” 1910, nr 271, s. 3 (dział „Telegramy”).

anonimowy autor nie szczędził słów najwyższego uznania dla wielkości tego pisarza:

Stare wielkie serce Lwa Tolstoja bić przestało, genialny jego mózg zakrzepł na wieki. Dnia 20 listopada nadeszła pewna wiadomość o jego śmierci. Wiadomość ta okryje żałobą nie tylko Rosję. W całym świecie, wszyscy, którzy myślą i czują, wszyscy, którzy wielbią poezję i porywy ducha ludzkiego wzwyż, wszyscy, którzy pracują nad lepszą i szlachetniejszą dolą dni jutrzejszych i dążą do odrodzenia treści i celów życia ludzkiego, poruszeni będą do głębi wieścią, że zgasł jeden z najpotężniejszych świeczników idealizmu ludzkości [...]. Dźwigał go nie tylko geniusz potężnego poety, nie tylko umysł szlachetnego myśliciela, ale także i natchnienie entuzjastycznego proroka. Olbrzymi artysta, znawca ludzi i natury, przenikliwy psycholog i mistrz plastyki pisarskiej, zdumiewający odtwórca środowiska społecznego, miał już dosyć tytułów, aby zapewnić sobie posłuch świata. Ale Tolstoj wystąpił przed nim przede wszystkim jako apostoł obyczajowomoralny – podjął dzieło nie poezji i myślicielstwa, ale mesjanizmu i prorocstwa [...]. W Jasnej Polanie żyło sumienie Rosji współczesnej²⁵.

„Kurier” nie poprzestał na tym przedruku i ogłosił też w dwóch odcinkach artykuł miejscowego literata Eugeniusza Sokołowskiego *Psychologiczne momenty w życiu Tolstoja*. Autor koncentrował swoją uwagę na długotrwałym duchowym rozwoju pisarza, jego moralnych poszukiwaniach i złożonej drodze do życia według prawdy i wiekowej mądrości ludu. E. Sokołowski kończył ten artykuł słowami, które umierający Tolstoj podobno wyrzekł do otaczających go pięciu lekarzy: „Miliony po świecie ludzi potrzebujących waszej pomocy, a wy koło mnie tu jednego”²⁶.

Nie miał związku ze śmiercią Tolstoja umieszczony w „Kurierze” trzy tygodnie później polemiczny artykuł *Tolstoj i jego krytycy* autorstwa niejakiego Aleksandra Kuropatwińskiego z Błędowa. Była to odpowiedź na artykuł pt. *Tolstoj – reformator*, który Tomasz Oset (pseudonim Leona Choromańskiego) ogłosił w warszawskim tygodniku „Prawda”²⁷. Autor ośmieszał w nim moralne ideały Tolstoja, jego wezwania do bierności i pokory, twierdził, że owe nauki zagorzałego moralisty, jakim był pisarz, nie zbawią ludzkości i nie uchronią jej przed mocą zła w otaczającym świecie. Kuropatwiński okazał się ostrym

²⁵ *Śmierć Tolstoja*, „Kurier” 1910, nr 268, s. 1–2.

²⁶ E. Sokołowski, *Psychologiczne momenty w życiu Tolstoja*, „Kurier” 1910, nr 278, s. 1.

²⁷ Zob. P. Grzegorzcyk, op. cit., s. 247.

polemistą i z prawdziwą żarliwością bronił Tołstoja przed napastliwą krytyką:

[...] *Przeczytałem i zostałem zdumiony: tak dzikiego tańca na mogile wielkiego starca nie zdarzyło mi się spotkać nawet na łamach „Kurieria Warszawskiego”[...] Ależ p. Tomaszu, Wy chyba jesteście w błędzie i w błąd wprowadzacie czytelników „Prawdy”; ten starzec świat myśli ludzkiej całej kuli ziemskiej poruszył, trony drżały od skrzywienia jego pióra, a Wam się on wydaje komicznym samolubem. Chybaście go zmierzili tylko w ten sposób, że wypadł Wam po kostki*²⁸.

Przegląd opinii prasy lubelskiej z roku 1910, które dotyczyły Tołstoja, warto zakończyć przypomnieniem artykułu Antoniego Millera *Książka... w Polsce*. Artykuł ten ukazał się w „Gazecie Lubelskiej” przed śmiercią Tołstoja, który w oczach autora był przykładem twórcy przekraczającego ciasne granice ideologii nacjonalizmu, myślicielem poruszającym umysły elit kulturalnych na całym świecie. Antoni Miller przeciwstawił Tołstoja polskim pisarzom, którym zarzucał narodową megalomanię i zaściankowe uleganie nakazom posłannictwa wobec narodu i społeczeństwa. Autor zdawał się chyba nie rozumieć, na czym polegała ówczesna patriotyczna misja literatury polskiej, którą w czasach Tołstoja dławiło jarzmo obcej niewoli wrogiej cenzury. Atencja, z jaką A. Miller odniósł się do Tołstoja, nie wydaje się wszakże przesadzona i dlatego jego wysoka ocena światowego znaczenia tego pisarza zasługuje na uwagę nawet po stu latach:

[...] *Polakowi wciąż się zdaje, że on ma wielką własną kulturę, – że ta kultura imponuje Europie, że w końcu istnienie jej jest potrzebne dla Zachodu [...] żaden z wielkich pisarzy polskich ostatniej doby nie wywarł wpływu na umysłowość narodów zachodnich. Tymczasem jeden Tołstoj wycisnął na myśli ludzkiej piętno swej wielkości, pomimo że go prasa polska uważała za azjatę-anarchistę. Dowodzi to siły geniuszu jako jednostki, która pomimo rzekomej niekulturalności swego narodu – trafił do serc narodów historycznie kulturalnych. Dowodzi to potęgi Tołstoja jako człowieka, co wzniosł się ponad ideologię narodowości i nacjonalizmu i stał się prawdziwym synem i ojcem ziemi, ojcem ludzkości współczesnej...*²⁹

Apogeum sławy literackiej Lwa Tołstoja w prasie lubelskiej – i nie tylko lubelskiej – przypadło na lata 1908–1910. Wtedy najczęściej o nim pisano, wtedy też powstały

najbardziej interesujące artykuły o jego twórczości literackiej, poglądach społecznych i kontrowersyjnie ocenianych doktrynach etycznych. Po roku 1910 dzienniki lubelskie coraz rzadziej pisały o Tołstoju, a zamieszczane o nim doniesienia gazet miały zwykle charakter drobnych ciekawostek dotyczących jego życia i losów pozostałej po nim spuścizny. Prasa informowała więc o sprzedaży wydawcom przez żonę Tołstoja praw do jego dzieł powstałych przed rokiem 1881, o jej odmowie udostępnienia rękopisów męża Muzeum Historycznemu, o nazwaniu imieniem Tołstoja ulicy w Wiedniu, o powstaniu w USA konsorcjum milionerów, które chciało nabyć Jasną Polanę i urządzić tam stałą wystawę amerykańskich maszyn rolniczych. Na początku roku 1911 „Kurier” podał za prasą rosyjską informację o tym, że w guberni pskowskiej pojawił się samozwańczy Lew Tołstoj. Był to – jak pisano – ludzako podobny do pisarza pewien żebrak, który zaczął głosić, że niedawna śmierć Tołstoja została upozorowana, aby uniknąć aresztowania go i zgładzenia przez policję. Prawdziwy zaś Tołstoj nadal żyje i jest nim właśnie ów żebrak (znany chłopski strój Tołstoja mógł wszak ułatwić podobną mistyfikację). Równocześnie doniesiono, że tenże samozwaniec został zdemaskowany i musiał salwować się ucieczką³⁰. Historia ta, dziś może postrzegana jako zabawna, świadczyła niewątpliwie o dużej ówczesnej popularności pisarza wśród ludu rosyjskiego. „Kurier” informował też wcześniej, że gubernialne władze rosyjskie w Lublinie zakazały wygłoszenia w Lubelskim Towarzystwie Higienicznym odczytu pt. *Lew Tołstoj, jego życie i dzieła*. Ten odczyt prelegenta Jana Muszkat-Muszkowskiego z Warszawy, redaktora czasopisma „Społeczeństwo”, miał się odbyć 15 stycznia 1911 roku³¹. Jak widać, Tołstoj i po śmierci mógł być groźny dla władzy carskiej w Polsce.

„Kurier”, który tak ochoczo popularyzował Tołstoja w Lublinie, zamieszczał też recenzje przedstawień jego dramatów w miejscowym teatrze. Wystawiano tu zaś z powodzeniem *Potęę ciemnoty* w okresie od listopada 1911 do stycznia 1912 roku oraz *Żywego trupa* w styczniu 1913 roku (ta sztuka wywołała znacznie mniejsze zainteresowanie lubelskich widzów)³². Te lubelskie inscenizacje dramatów Tołstoja – podobnie jak zamieszczane tu artykuły o nim – nie zostały wymienione w bibliografii Piotra Grzegorzcyka.

Tołstojana drukowane w prasie lubelskiej lat 1906–1911 świadczą o tym, że w owym czasie sławny starzec z Jasnej Polany cieszył się dużym uznaniem i popularnością

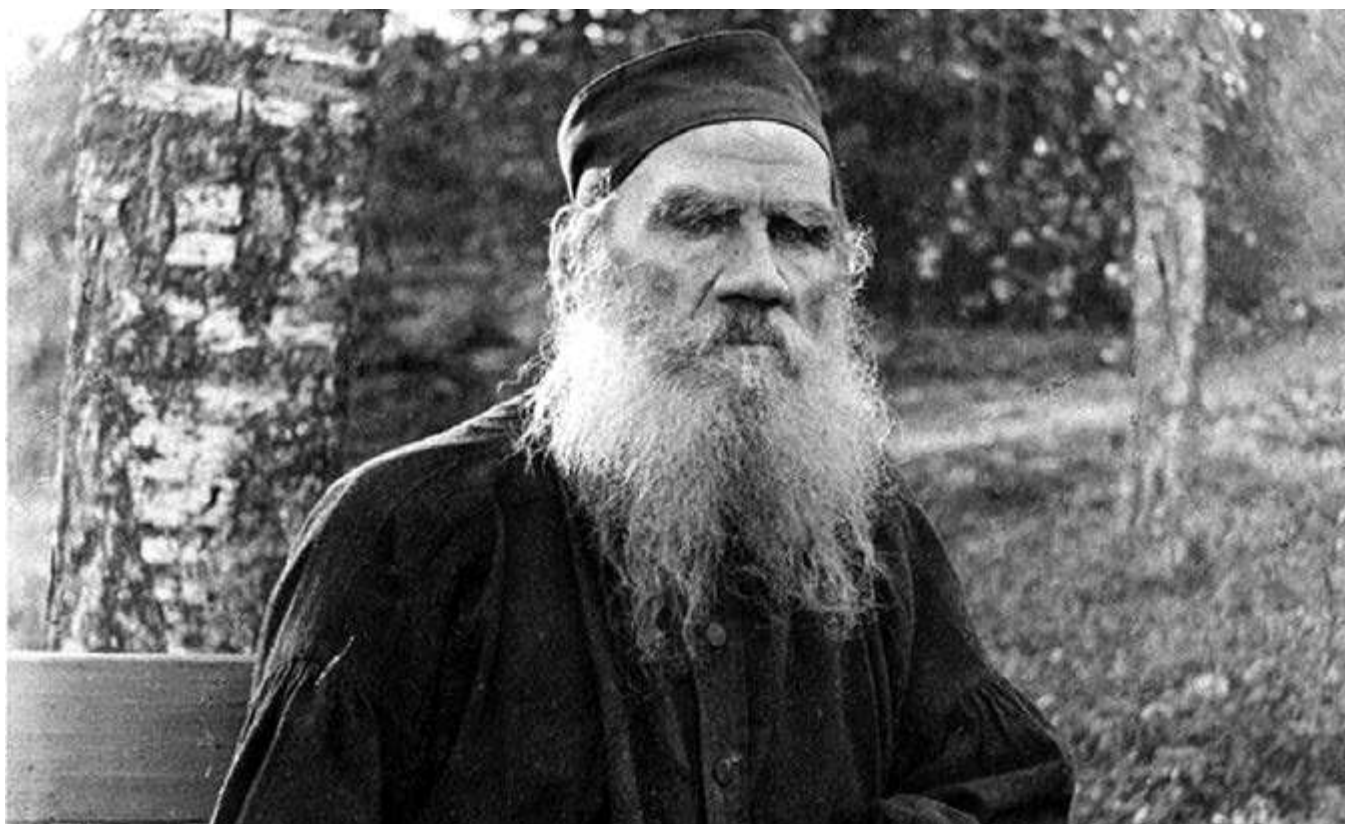
²⁸ A. Kuropatwiński, *Tołstoj i jego krytycy*, „Kurier” 1910, nr 298, s. 2–3.

²⁹ A. Miller, *Książka... w Polsce*, „Gazeta Lubelska” 1910, nr 152, s. 1.

³⁰ Zob. *Samozwańczy Lew Tołstoj*, „Kurier” 1911, nr 30, s. 3.

³¹ Zob. „Kurier” 1911, nr 11, s. 4 (z 14 stycznia 1911 r.).

³² Zob. S. Kruk, *Życie teatralne w Lublinie (1782–1918)*, Lublin 1982, s. 187–188 i 191. →



wśród wykształconych kręgów społeczeństwa polskiego. Jeśli tak było w niezbyt prężnym środowisku literackim ówczesnego Lublina, to mogło być podobnie i w innych miastach Królestwa, zwłaszcza tych, które były siedzibami władz gubernialnych (oprócz Lublina wymienić tu trzeba Kielce, Radom, Kalisz, Piotrków, Płock, Łomżę, Suwałki). Można więc z całą pewnością twierdzić, że dotychczas nie wszystko wiemy o całym bogactwie recepcji spuścizny Tołstoja w polskim życiu literackim przed rokiem 1918. Wielokrotnie wymieniana w tej pracy bibliografia *Lew Tołstoj w Polsce* P. Grzegorzcyka opiera się bowiem głównie na materiale drukowanym w znanych czasopismach Warszawy, Krakowa, Lwowa, Poznania i Wilna (wymienić tu warto zwłaszcza tytuły: „Czas”, „Krytyka”, „Nowa Reforma”, „Świat”, „Świat Słowiański”, „Słowo”, „Słowo Polskie”, „Ziarno”, „Prawda”, „Przegląd Polski”, „Kurier Warszawski”, „Tygodnik Ilustrowany” i in.), natomiast prasa wychodząca wtedy w mniejszych miastach – jak dowodzi tego chociażby przykład Lublina – nie została w pełni wykorzystana przez autora wspomnianego zarysu bibliograficzno-literackiego. Sam zaś autor, nazywając swoją pracę „zarysem”, z pewnością był o tym przeświadczony.

Artykuły prasy lubelskiej o Tołstoju były niekiedy przedrukami z innych czasopism (przeważnie warszawskich) lub omówieniami publikacji innych autorów, w tym ukazujących się w periodykach rosyjskich. Lubelscy autorzy

rzadziej pisali o wielkich literackich walorach spuścizny Tołstoja, ich uwagę przykuwały głównie społeczne i moralne idee, które pisarz głosił, wyznawał i praktycznie realizował w swoim życiu. Tak też właśnie postrzegano Tołstoja w większości ówczesnych polskich publikacji o nim, które ukazywały się poza Lublinem. Traktowanie tego pisarza głównie jako szermierza prawdy i sprawiedliwości, myśliciela i moralisty bezkompromisowo potępiającego przemoc i bezprawie, bezdusność i moralne zakłamanie na szczytach władzy państwowej, oficjalnej Cerkwi Prawosławnej i klas uprzywilejowanych – wszystko to sprawiało, że Polacy na początku wieku XX chętniej sięgali nie do prozy artystycznej Lwa Tołstoja (działo się tak nie tylko w Lublinie), lecz do jego głośnej publicystyki, listów otwartych (*List do cara Mikołaja II, Odpowiedź na wyrok Świętobliwego Synodu, List do Henryka Sienkiewicza, List do Polaka o patriotyzmie* i in.) i traktatów etyczno-społecznych (*Na czym polega moja wiara, Odezwa do ludzkości* i in.). W ten sposób autor *Spowiedzi* bardzo wyraźnie oddziaływał na treść ówczesnej polskiej publicystyki (było to szczególnie widoczne w publicystyce na temat tzw. „kwestii polskiej”), a także i na zwiększające się zainteresowanie Polaków literaturą rosyjską. Myśl Tołstoja była „sumieniem Rosji” i ona właśnie otwierała szerzej kulturze rosyjskiej drogę do polskich odbiorców w każdej z trzech części rozszarpanej Polski.

JAN ORŁOWSKI

ZBIGNIEW
WŁODZIMIERSKIPrzysłowia
i powiedzenia
lubelskie

Lublin wart jest przysłowia

CO KOMIN TO DUNIN

ZNANE KIEDYŚ SZEROKO NA LUBELSZCZYŹNIE I NIEZMIERNIE POPULARNE WÓWCZAS PRZYSŁOWIE „Co komin, to Dunin” odnotował w swym tomie *Przysłów* Aleksander Werycha Darowski, dziewiętnastowieczny historyk i paremiograf amator. Paremiograf to zbieracz i komentator przysłów. Pierwszym polskim paremiografem był Biernat z Lublina żyjący, jak wiadomo, na przełomie piętnastego i szesnastego stulecia. Biernat pozostawił po sobie zbiór *Żywot Ezopa mędrca obyczajnego* zawierający bajki wypełnione pouczeniami, przestrogi i przysłowiami. Darowski był bogatym ziemianinem, osiadłym na Ukrainie, człowiekiem o rozległej i niespotykanej kulturze, zbieranie przysłów traktował jako niezobowiązującą zabawę. Często podróżował po Europie, ale docierał także na Lubelszczyznę. Nie odnotował wiele powiedzeń czy zwrotów, którymi zabawiali się dawni mieszkańcy ziemi lubelskiej, zaintrygowały go jednak popularne porzekadła: „Co komin, to Dunin” oraz „Co chałupa to komin, a co kiep to Dunin”. Komentarz Darowskiego do tych powiedzeń jest krótki, napisał jedynie: „Duninów na Lubelszczyźnie jest wiele rodzin, jak zresztą na obszarze całej Rzeczypospolitej”. Nic w takim komentarzu oryginalnego – kto powie i będzie miał niewątpliwie rację. Nie brakowało przecież na obszarze kraju rodzin o nazwisku Kowalski czy Wiśniewski, a nikt o nich przysłów nie składał. Na Litwie powiadano: „Co krzaczek, to Korsaczek”. Powiadano z sympatią, z Korsaków nikt nie sztydził. Czym rodzina Duninów zapracowała na tak mało zaszczytne miano?

Szyderstwa z lubelskich Duninów nie znajdziemy już w najnowszych opracowaniach, choćby zbiorach w *Nowej księdze przysłów polskich* oraz w popularnym zbiorze Juliana Krzyżanowskiego *Mądrej głowie dość dwie słowie*. Nie należy wnosić, że autorzy sympatyzowali z Duninami i niesprawiedliwą dla tej rodziny kpinę usiłovali wyciszyć czy wymazać. Raczej nie znaleźli oryginalnego komentarza wyjaśniającego sens przysłowia.

OSTATNI Z SIEKIERZYŃSKICH

PRZYSŁOWIE TO RODZAJ NAJKRÓTSZEGO UTWORU LITERACKIEGO, zawiera błyskotliwą myśl, morał, naukę. Powiada się z dumą, że przysłowia są mądrością narodu. Niektórzy głoszą odmienne sądy. Według szyderców i prześmiewców to literatura analfabetów, miedziaki wiedzy. Zachwyty brzmią jednak bardziej przekonywująco. Czyż bowiem nie daje się wiary sądom, iż przysłowia to doświadczenia i spostrzeżenia wieków skupione w jednym zdaniu, zdrowy rozum ludu, czy wreszcie dusza narodu.

Dziś słyszy się je coraz rzadziej. Szkoda, bo język Polaków ubożeje, matowieje, staje się szorstki, szary, mało zindywidualizowany. Niektóre przysłowia mają swój lubelski rodowód, zrodziły się wszak na lubelskim bruku, w lubelskich lokalach, parkach, placach. Jeszcze w minionym wieku popularnym zawołaniem karciarzy było: „ostatni Siekierzyński!” To przysłowie karciane, oznaczające ostatnią kartę, na którą można jeszcze postawić.

Kim był ów człowiek uwieczniony w przysłowiu?

Kraszewski, mistrz polskiej literatury, przedstawił go w powieści *Ostatni z Siekierzyńskich*. Ten ubogi szlachcic prowadził sklepik korzenny w Lublinie, nieopodal Trybunału. Na brak klientów nie narzekał, sprzedawał pieprz oraz inne zielska i gromadził grosz do grosza. Fortunka rosła, jej właściciel mógłby wydawać się szczęśliwym człowiekiem, a jednak miał swoje kłopoty. Handel uchodził za rzecz niegodną szlachcica, nadszedł moment, kiedy wyśmiano herbowego szlachcica uwijającego się za ladą swego sklepiku, a ten nieborak niebawem zmarł ze zgryzoty w swym dworku na Wieniawie.

Przysłowie zrodziło się w epoce romantyzmu, kiedy chętnie manifestowano się z umiłowaniem przeszłości, a słowo ostatni było popularne zarówno w życiu jak i w literaturze. W literaturze światowej był *Ostatni Mohikanin* Coopera, w Polsce *Ostatni zajazd na Litwie* Mickiewicza.

A w życiu niejednym raz przychodziło i przychodzi stawić na ostatnią kartę, ale okrzyk desperata *Ostatni z Siekierzyńskich* przestał brzmieć dramatycznie brzmiał →

niekiedy mało dramatycznie, zastąpił go więc inny, dobitniejszy acz pospolitszy, wielu go zna, a brzmi on: „ostatnie ciele z obory”. A pierwszy taki okrzyk, jak chce kolejna lubelska legenda, wzniesiono w karczmie „Piekło” stojącej przed laty przy trakcie na Lubartów.

ZBURZENIE BYCHAWY

*Dwóch Scypionów, wspólną mają sławę,
Jeden zburzył Kartago, a drugi Bychawę.*

DAWNE PRZYSŁOWIE – PISZE O TYM DWUWIERSZU WŁADYSŁAW KOPALIŃSKI w *Słowniku mitów i tradycji* i dodaje krótki komentarz: „kpiarskie porównanie Scypiona Młodszego, zdobywcy Kartaginy w 146 r. p.n.e. z którymś z członków ziemiańskiej rodziny Scipio del Campo z Bychawy”.

Mistrz Kopaliński trochę się pogubił. Po pierwsze raczej nie przysłowie, lecz zgrabny dwuwiersz Kajetana Koźmiana, nawiasem mówiąc sąsiada rodziny Scipio del Campo, a konkretnie Karola Scipio. Scypion Młodszy był żołnierzem, Karol Scipio niefrasobliwym ziemianinem, właścicielem Bychawy w latach 1820–27. Oddawał się życiu towarzyskiemu i pracy umysłowej, zaś zarządzanie majątkiem powierzył ludziom niesumiennym, co doprowadziło do utraty fortuny.

Dwuwiersz Koźmiana zamieszczony w „Przeglądzie Polskim” z roku 1881/1882 brzmiał:

*Dwóch Scypionów na równą zasłużyli sławę,
Jeden zburzył Kartago, a drugi Bychawę.*

Można rzec, iż wersja przytoczona przez Kopalińskiego jest zgrabniejsza. Najwidoczniej czas wyszlifował kpiarskie acz wyboiste frazy Koźmiana.

O ruinach Bychawy nie napomknął jednak Koźmian w swych znakomitych *Pamiętnikach*. O niegospodarnym sąsiedzie wspominał okazjonalnie, gdy relacjonował wizyty księcia Lubeckiego, ministra spraw wewnętrznych, który bywał w Lublinie u babki swojej żony podstoliny koronnej Scypionowej i zajeżdżał do jej syna Karola Scipio z Bychawy.

A dobra bychawskie na publicznej licytacji nabył Karol Łaniewski właściciel Bronic, Drzewiec, Buchałowic i Łopatek.

SCYPION II Z GARBOWA

DOBRA GARBÓW OBEJMUJĄCE OBSZERNE I ŚWIETNIE ZAGOSPODAROWANE folwarki; Marynki, Orlicz, Przybysławice, Cezaryn, Bogucin na przełomie XIX i XX stulecia były własnością zamożnej rodziny hrabiów Jezierskich. Folwarki były znakomicie zagospodarowane, piękny i zabytkowy pałac w Garbowie, do dziś istniejący wzniesiony

został w pięknym miejscu, na niewielkim wzgórzu, obok rozległej połaci stawów i przecinającej je szosy warszawsko-lubelskiej. Młody hrabia Jan, po śmierci swych rodziców; w pierwszych latach XX wieku, przepuścił tę ogromną fortunę w niecałe dwa lata. Temu Scypionowi z Garbowa nikt nie poświęcił fraszki, kpiarskiego przysłowia, o rozrzutnym właścicielu Garbowa wspomina jedynie Zygmunt Kamiński w swym tomie wspomnień *Dzieje życia w pogoni za sztuką*. Kamiński pisze, iż młody hrabia Jan wyleciał z Garbowa efektownie, z trzaskiem, bez grosza przy duszy na warszawski bruk.

A dobra garbowskie przeszły, w drodze licytacji, w ręce rodziny Broniewskich. Senior tego rodu, notuje Kamiński, to rzadko spotykany u nas typ ekonomisty-przemysłowca, rzutki i świetnie wykształcony szybko uprzemysłowił majątek i stworzył ogromną, doskonale zaprojektowaną, wyekwipowaną i wyposażoną cukrownię „Garbów”.

ZABŁOCKI NA MYDLE, BOCZARSKI NA MŁYNIE

PRZYSŁOWIE O NIEJAKIM ZABŁOCKIM, KTÓRY CHCIAŁ ZAROBIC NA MYDLE, znane jest powszechnie w całej Polsce. Ten i ów – gdy fortuna nie sprzyja, a zamiast spodziewanych zysków fiasko i żenujący finał – powiada, że zarobił jak Zabłocki. W rzeczy samej, przysłowiowy Zabłocki nie zarobił, ale stracił, „umoczył” jak powiedzieliby dzisiaj niektórzy, „umoczył” pieniądze, a ludzie znani z dośadnego języka powiedzieliby nawet, że umoczył... pewną część ciała.

Z przysłowiem tym związanych jest wiele anegdot. Opowiadają one o handlarzu Zabłockim, który ładunki mydła transportował Wisłą na źle opatrzonych statkach, bądź też dla uniknięcia cła mocował je pod statkiem.

Przypadek Zabłockiego znany był już w XVII wieku. Należy dodać, że nie tylko temu handlarzowi się nie powiodło, wielu było niefortunnych kupców i przedsiębiorców, których pomysły i przedsięwzięcia obracały się w niwecz.

Mówiono więc: Zarobił jak Zabłocki na mydle, Sworacki na bydle, Korzeniowski na hucie, Rymśza na reducie.

W pewnych regionach niefortunni handlarze działali na innych polach, w innych branżach. W odmianach tego przysłowia pojawiali się więc kolejni bohaterzy, pamięć o ich niefortunnych posunięciach przetrwała, w tym czy innym regionie powiadano, że ten czy inny szalenięc wyszedł jak Tański na sieczce, lub zarobił jak Sołtan na gęsiach czy Trentowski na jajach.

Lublin miał swego Boczarskiego. Ten zbudował młyn i – rzecz jasna – nie zarobił, a powiększył grono bankrutów.

Młyn zaczął pracować przy ulicy Bernardyńskiej, na dachu dawnego pałacu Sobieskich, w którym dziś mieści się rektorat Politechniki Lubelskiej. Dwór Sobieskich wyróżniał się na początku XVII wieku swoją okazałością, ale przyszły gorsze lata tej budowli, gdy stała się własnością Radziwiłłów. Na początku XIX wieku pałac był już zupełną ruiną. W prasie tamtego okresu pisano o nim „dom rozwalony” Tenże dom nabył na publicznej licytacji Tomasz Trojacki, by w roku 1818 przekazać go aktem darowizny Dominikowi Boczarskiemu, znanemu lubelskiemu adwokatowi. Boczarski w latach 1835–36 kazał przebudować mury pałacu na młyn deptak i wiatrak. Nie był to typowy wiatrak, bowiem jego skrzydła ustawiono na dawnej wieży pałacowej nie w pionie, lecz poziomo! Przedsięwzięcie okazało się deficytowe, właściciel popadł w długi, nieruchomość wystawiono na licytację; nabyli ją w roku 1853 Witold i Konstanty Brzezińscy. Ci z kolei uruchomili młyn parowy.

A efektem plajty stało się popularne w ówczesnym Lublinie powiedzenie: „wyszedł jak Boczarski na młyńnię”.

KRUPA JAGŁĄ BYĆ NIE MOŻE

MALOWNICZE RUINY WIELKIEJ WAROWNEJ BUDOWLI przypominają o potędze dawnych właścicieli. Resztki budowli, jak również dobrze zachowane fosy, wypełnione wodą z licznych rozlewisk na rozległych łąkach, wywarły ogromne wrażenie na Michale Czajkowskim (1801–1886). Czajkowski, znany później w świecie jako Mehmed Sadyk lub Sadyk Pasza, pojawił się w tych stronach jako żołnierz powstania listopadowego walczący pod komendą pułkownika Różyckiego. Akcję swej powieści o Stefanie Czarnieckim umieścił właśnie w tymże zamku. Z pasją i swadą snuł intrygę o dziejach magnata i banity Samuela Zborowskiego, tworzył pełne napięcia sceny, piętrzył obrazy grozy, dzielni i butni rycerze jego powieści zabiegali o względy uroczych panien. Fantazji mu nie brakowało, wzniesienie potężnego kasztelu o siedmiu wieżach przypisywał Zborowskiemu. Cóż, Czajkowski, w tamtym czasie więcej siedział w siodle, na końskim grzbiecie, niż w bibliotece. W rzeczy samej, późnorenesansowy zamek wzniesiony został przez Pawła Orzechowskiego na przełomie XVI i XVII wieku. Paweł Orzechowski, herbu Rogala, był jednym z najbliższych współpracowników Jana Zamoyskiego.

Andrzej Lubieniecki (1550–1623), historiograf ariański, swe główne dzieło *Poloneutichia albo Polskiego Królestwa szczęście* pisał w jednej z komnat tego zamku. Cóż, o jego dziele nikt już nie pamięta. Informacje o Zborowskim – właścicielu i budowniczym krupskiej warowni powtarzali jeszcze w latach 70-tych dwudziestego wieku

wybitni historycy i architekci. Może to jednak nie Czajkowski wprowadził w błąd opinię publiczną, lecz któryś z pisarzy tamtego czasu. O kasztelu Zborowskiego w Krupem pisał przecież także wybitny pamiętnikarz – ceniony przez Mickiewicza i Sienkiewicza – Henryk Rzewuski w trzytomowym dziele *Zamek krakowski* publikowanym w latach 1847–48, szeroko o Zborowskim z ziemi chełmskiej rozwodził się Stanisław Doliński w popularnym swego czasu tomie *Zamek krupski* ogłoszonym w roku 1849. Tę błędną informację powtórzył Dygasiński, który w swym reportażu relacjonował; „W Krupem jest zwłaszcza zamku jeszcze wspanialsze niż w Janowcu. Fundatorem gmachu był ów Samuel Zborowski, coto za butną zuchwałość i zdracze knowania przeciw tronowi dał gardło pod miecz w Krakowcu ... Krupie miało jakieś szczęście do panów wichrzycieli, gdyż stąd pochodził i ów pan Krupa unieśmiertelniony przez Jana Kochanowskiego: *darmo silisz się, nieboże, Krupa jagłą być nie może*. Gnoiński znowu, wnuk Samuela Zborowskiego po kądzieli, żarliwy zwolennik arianizmu, zszepetywał się z wojskami Karola Gustawa i za to w zamku krupskim oblegano go i ciężko warownię uszkodzono. Wnet potem wybuchły pożar do reszty dokonał zniszczenia”.

Wcześniej od Dygasińskiego dotarł w te strony W. Ciesielski, reportaż jego pióra drukowano w „Kurierze Lubelskim” w roku 1869, zaś sześć lat przed Ciesielskim był tu Franciszek Maksymilian Sobieszczański (1814–1878), nawiasem mówiąc urodzony w Bychawie autor „Przewodnika po Warszawie” z roku 1857. Sobieszczański pracownik warszawskiego Komitetu Cenzury już w czasie powstania styczniowego opisał ruiny w Krupem i swe refleksje zamieścił w „Tygodniku Ilustrowanym”, informację o zamku jego autorstwa znaleźć można w *Encyklopedii Powszechnej* Orgelbrandta. Dygasiński, swoim zwyczajem, wypytywał najstarszych i najrozmowniejszych w okolicy o duchy i zmory, ale w Krupem nie zaspokojono tej reporterskiej ciekawości. Ciesielski zaś najwidoczniejszej potrafił wyszukać osoby potrafiące się spoufalać z przybyszami z zaświatów skoro opisał całą tutejszą gromadę zjaw, widm i upiórów. Najdramatyczniejsze historie związane były ze zjawą Skąpca. Ot, za swego ziemskiego życia pewien zamożny a chytry dziedzic, którego nazwisko utonęło w mroku dziejów, dręczył podatkami swych poddanych, a najbliższej rodzinie nakazał niezwykle oszczędny tryb życia. Skarbów zgromadzonych nie opuścił i po śmierci, opowiadają, że strzeże ich nadal. Pod wrażeniem tych opowieści Ciesielski wzdychał: „oj, poetyczny ten ludek w Lubelskiem, z istotami swej wyobraźni żyje jak z rodziną. Obcuje on całą duszą z postaciami żyjącymi w podaniach i tradycjach, i wierzy w nie jak w świętych obcowanie”. – Co ma nie wierzyć! – zachnie się ten czy →

tamten z okolic Krupego, skoro na zjawę Skąpca może się natknąć każdy spóźniony przechodzień, I nie uwolni się od dręczącego towarzystwa chudej postaci okrytej workiem jeśli nie ciśnie za siebie choćby grosika...

Ciesielski, co można jeszcze odnotować, rym o Jagle i Krupie przypisywany przez Dygasińskiego Kochanowskiemu uważa za dzieło Andrzeja Zbylitowskiego z roku 1594.

Dygasiński, jak się rzekło, nie wykazywał docieklivosti historyka w śledzeniu losów warowni oraz ich właścicieli. Ciesielski, przeciwnie, swe relacje wypełniał faktami historycznymi i mnóstwem ciekawostek najrozmaitszej natury. Notował choćby: „Majętność Krupe była niegdyś własnością rodziny Krupów czy też Krupskich herbu Korczak, z których jeden w bitwie pod Koszycami w roku 1497 przyczynił się do ocalenia Jana Olbrachta, odstępując mu konia, kiedy uchodził z pogromu”. W latach siedemdziesiątych w informatorach turystycznych z ziemi chełmskiej pojawiła się szczególna informacja. Donoszono, iż z tych Krupskich wywodziła się Nadieżda Krupska... żona Lenina.

Ziemię chełmską odwiedził także Stefan Żeromski. Ruiny zamku w Krupem przywołał, kiedy w *Snobizmie i postępie* snuł refleksje o ludowym teatrze, który – według autora „Popiołów” – powinien swój program oprzeć na ludowych podaniach i baśniach.

Wierszowana fraza przywoływana przez Dygasińskiego i Ciesielskiego, a przypisywana przez tych reporterów różnym autorom, faktycznie w wieku XIX była bardzo popularna skoro odnotowana przez Oskara Kolberga w tomie *Chełmskie*.

Pan Jagiełło zbił Krzyżaki,
I pan Krupa chciał być taki,
Darmo suszysz łeb nieboże,
Krupa jagłą być nie może.

Kolberg nie wyjaśnił sensu czterowiersza, odnotował jedynie, iż dotyczy właściciela zamku Krupe, który nie chciał uznać Jagiełły. Przysłowie znane powszechnie na początku XX wieku zaintrygowało Juliana Krzyżanowskiego, który w swym dziele *Mądrej głowie dość dwie słowie* poświęcił mu zdań kilkanaście i zaznaczył, iż chyba nigdy nie będziemy umieli wyjaśnić czasu powstania i sensu przysłowia.

MASZ BABO SZAFĘ!

MASZ BABO PLACEK! – TO POWIĘDZENIE ZNANE W CAŁEJ Polsce. Tym zgrabnym zwrotem kwituje się sytuację kłopotliwą, a takich w życiu nie brakuje.

Masz babo kaftan! – tymi słowami puentuje się również nagły, zaskakujący i niemiły zbieg okoliczności. Ale już nie na obszarze całej Polski, jedynie na Lubelszczyźnie.

Masz babo szafę! – powiada się jedynie w podlubelskim Motyczu!

Skąd w powiedzeniach placek, kaftan, skąd szafa?

Z niecodziennych i zabawnych sytuacji, zaskakujących i tragicznych, może i tragikomicznych. Jedną z legend głosi, że świętokrzyski diabeł Mruk postanowił się zabawić. Diabeł przewisko mogłoby wskazywać, że to odludek, istota opryskliwa, a tu nic podobnego, bies garnął się do ludzi, był dowcipny, przebiegły, podstępny i swawolny. Kiedyś postanowił skłócić zgodne małżeństwo. Wiadomo, czart do swych niecznych czynów wykorzystuje kobiety. Nie od dziś się przecież powiada, że gdzie diabeł nie może, tam babę posle. Mruk skorzystał w usług chytrej baby, której za robotę obiecał placek. Wywiązała się z zadania, skłóciła dwoje ludzi, ci wpadli w taki gniew, że jedno chwyciło za widły, drugie za siekiere, zostały dwa trupy. Diablisko – jak głosi legenda – nie na taki finał czekało. Zły na siebie, zły na babę, wyniósł się z Gór Świętokrzyskich ponoć w wysokie Tatry. Ale za robotę zapłacił. Placek, który obiecał za robotę, powiesił na wysokim drzewie. Chytra baba nie zamierzała zrezygnować z nagrody, wlaźła na drzewo, spadła i skręciła sobie kark.

Na Lubelszczyźnie sprawcą zamieszania miał być diablisk Kicha, ten w nagrodę za skłócenie małżeństwa spod Końskowoli obiecał babie kaftan. I tu wypadki potoczyły się podobnie. Widocznie i na Lubelszczyźnie ludzie byli kłótlivi, popędliwi, a diabły wrażliwe, sumienne w wypłacaniu należności, surowe dla siebie i gotowe ponosić kary za źle wykonane zadania. Diablisk Kicha zniesmaczony finałem, którego nie przewidział, czmychnął ponoć w roztoczańskie lasy. I siedzi tam do dzisiaj.

A skąd szafa w powiedzeniu?

Zupełnie niedawno, bo w czasach ostatniej wojny, w Motyczu pod Lublinem, żyło sobie zgodne i nie najbiedniejsze małżeństwo. Nadszedł rok 1944, zbliżali się czerwonoarmiści, ich nadejście zapowiadały grzmiące od wschodu armaty. Dziedzic opuścił dwór, stacjonowali tam jeszcze Niemcy, w czworakach był szpital, na ławkach tabory gotowe do odwrotu. Nadszedł taki ranek, że nie było już Niemców i nie było jeszcze Rosjan. Mężczyzna i kobieta patrzyli na puste drogi i bezpański dwór na horyzoncie.

– Zaprzągaj konia do wozu i bierz ze dworu, co tam zostało! – poleciła mężowi. Nie zwlekał i co tam znalazł, załadował. Garnki, stołki, znoszone onuce, ławę i dwie szafy. Już na swoim podwórku, kiedy otworzyli szafy, zamarli ze zgrozy. Były w nich dwa trupy. Wojna to wojna. Na zabicie trumny nie zawsze był czas. Bywało, Niemcy

grzebali swych żołnierzy często w skrzyniach, kufrach, a i szafach także. Dwóch poległych, czy zmarłych z odniesionych ran, nie zdążyli pogrzebać. Musieli uczynić to gospodarze spod Motycza. Śmiała się z nich cała wieś, bo przykrej przygody nie dało się zachować w tajemnicy. A powiedzenie powstało natychmiast.

LUBLIN ŻĄDA DOSTĘPU DO MORZA!

JANUSZ KORWIN-MIKKE KILKAKROTNI POJAWIAŁ SIĘ W Lublinie, spotkania z jego udziałem gromadziły ludzi inteligentnych, z fantazją, często dowcipnych, równie często oczekujących zmian w polityce rządu.

Jestem za przywróceniem kary śmierci – grzmiał na jednym z wieców!

Lublin żąda dostępu do morza! – huknął wtedy, niczym Ajaks pod Troją, poeta Stanisław Żurek

Nie protestuję! Popieram! – odrzekł Korwin.

Szybka riposta wywołała salwę śmiechu, rozległy się głośnie brawa, które – jak mniemam – były również uznaniem za oczekiwania zgłoszone przez poetę.

Poeta zgłaszał śmiały postulat – jak myślę w imieniu ludzi pragnących ze swych okien widoku na morze, ludzi z ambicjami i fantazją, którym nie wystarcza zalew Zemborzycy pod Lublinem, zalew – w którym przebrzydłe sinice – uniemożliwiają wakacyjne kąpiele.

Zwolenników Lublina nad morzem z pewnością nie zabraknie.

Aprobata Korwina dla tej pięknej idei – co odnotowuję z satysfakcją – też nie jest bez znaczenia.

Kandydaci na radnych i prezydentów królewskiego miasta Lublina będą musieli zmierzyć się i z tym problemem.

Muszę szybko dodać, że w mieście nad Bystrzycą obok zuchwałych fantastów znacznie częściej spotkać można minimalistów, ludzi potulnych, akceptujących – jak to się powiada – zastany stan rzeczy. Powiem więcej: minimaliści są niebezpieczni, a najniebezpieczniejsi są minimaliści upoetyczniający rzecz małe, miałki i nijakie.

Kazimierz Sitko, wioślarz, cumujący swój zdezelowany kajak w Zemborzycach, powiadał: „w Lublinie czuję się jak w największym porcie świata, bo Lublin to stolica siedmiu mórz. Wsiadam w kajak i po paru tygodniach wiosłowania mogę znaleźć się na jednym z siedmiu mórz”. I wyliczał przez jakie rzeki, kanały, jeziora i ścieki należy się przedzierać, aby znaleźć się na morzu Czarnym, Śródziemnym, Adriatykiem, Północnym. Nie chcę być złośliwy, ale Kazio – który ostatnio zniknął mi z oczu, a którego lubię – dotarł jedynie, po miesiącu wiosłowania, nad Bałtyk po spłynięciu rzeką Bystrzycą, Wieprzem i Wisłą do Gdańska.

INDIANA JONES Z WISZNIC

SPOŚRÓD WIELU ZNAKOMITYCH FILMÓW STEVENA SPIELBERGA przypomnę cztery: *Poszukiwacze Zaginionej Arki*, *Indiana Jones i Świątynia Zagłady*, *Indiana Jones i Ostatnia Krucjata*, *Indiana Jones i Królestwo Kryształowej Czaszki*.

Ich bohater Indiana Jones (właściwie dr Henry Walton Jones Jr., zdrobniale Indy), to archeolog, poszukiwacz przygód. W roli Indy'ego wystąpił niezrównany Harrison Ford. Filmy zrobiły furorę, dziś powiada się o nich: kultowe, nic dziwnego, są niezwykle: uznanie budzą efekty specjalne, świetna muzyka i – a to już zasługa scenarzysty George'a Lucasa – intrygująca fabuła oraz humor.

Archeolog stawał do walki z siłami zła, zmagając się z nazistami, sowietami, niebezpieczną sektą wyznawców bogini Kali i z tysiąca opresji wychodził zwycięsko. Archeolodzy to ludzie przygód, nie grzeją krzesel w swych gabinetach, przebiegają przez biblioteki, raczej dostrzec ich można pod gołym niebem, w ruinach, na polach bitew, na tropach zaginionej Arki, kielicha świętego Graala, włóczy świętego Maurycego... Tych przedmiotów naukowcy i łowcy skarbów poszukują od lat, Indiana Jones miał je w ręku, ale Indy to postać fikcyjna. Kto był jego pierwowzorem? Można wskazać kilka takich typów, mnie przychodzi na myśl książe Aleksander Sapieha (1773–1812). Oczywiście, Lucas i Spielberg zapewne o nim nie słyszeli. Sapieha był mineralogiem, archeologiem, poszukiwaczem przygód, żył w innych czasach, światem nie usiłowali jeszcze zawładnąć ni naziści, ni sowietci, ale nie brakowało łotrów, satrapów i policmajstrów. Co rusz trafiał w ręce bandziorów, potrafił się jednak wyrwać, odważnie przemierzał świat, pływał łodzią po morzach, konno forsował pustynię. Prowadził wykopaliska na Bałkanach, gromadził eksponaty, wysyłał je do Polski. Był człowiekiem z krwi i kości, ciekawym świata, spragnionym wiedzy. Za swe przygody i podróże płacił z własnej kieszeni, w końcu to książe, posiadacz fortuny. Nikt nie pytał, skąd Indy miał pieniądze na podróże, przygody. Dlaczego trafiał tam, gdzie kwitły już interesy innych? Może był agentem? Dobrze opłacanym agentem? Służby wywiadowcze nigdy nie próżnowały i nie próżnują. Ich oku nie ujdzie żaden specjalista, podróżnik ni pięknoduch. Księcia Sapiechę śledzili agenci trzech wywiadów: francuskiego, rosyjskiego, austriackiego i – rzecz jasna – proponowali współpracę. Związał się z Francuzami, Jerzy Skowronek napisał o nim książkę *Z magnackiego gniazda do francuskiego wywiadu*. Niestety, książe zmarł młodo i w zaskakujących okolicznościach, został poraniony przez knura, samca domowej świni. Szkoda. Miał gest, fantazję, nie szczędził grosza na sztukę i biednych, łożył na biblioteki, towarzystwa, konkursy literackie. Myślę o nim ciepło.

Aleksander Sapieha – Indiana Jones z Wisznic

GŁUPI JAK RADZIWIŁŁ, DUMNY JAK SAPIEHA

POPULARNE W REGIONIE PODLASKIM PRZYSŁOWIE PO-
wiada: „Głupi jak Radziwiłł, dumny jak Sapieha”. Przyta-
cza je wraz z komentarzem Julian Krzyżanowski w tomie
Mądrej głowie dość dwie słowie. Profesor nie skąpi dowo-
dów na niedołęstwo umysłowe księcia Karola Radziwił-
ła, którego głupota i warcholstwo stały się tematem wie-
lu dowcipów i anegdot. Nie napomyka jednak słowem
o pysznych Sapiebach. Wywód warto uzupełnić, by po-
twierdzić, że przysłowie z Podlasia jest celne nie tylko
w odniesieniu do głupoty księcia „Panie kochanku”, ale
i do sapieżyńskiej dumy.

Władysław Józefat Sapieha tytułował się na Wisznicach
i Niesuchojeżach, a swe posiadłości – na wzór frankoń-
ski czy angielski – nazywał hrabstwem, co dowodzi – jak
mniemam – poczucia humoru, albo – co wydaje się traf-
niejsze – dumy.

Hrabia to tytuł pośredni między baronem a księciem
nadawany przez monarchów. Sapiehowie, a konkretnie
Władysław Józefat Sapieha, posługiwali się tytułem bez
nominacji, co można odczytywać w kontekście pychy
i zarozumiałstwa.

Dumnych, ambitnych i mądrych Sapiehów można wy-
liczyć parę tuzinów, wspomnijmy Aleksandra Antonie-
go Sapiechę (1773–1812) poetę, podróżnika, archeologa,
aeronautę i szpiega! Polski arystokrata był obiektem za-
interesowań agentów wywiadów francuskiego, rosyjskie-
go, austriackiego. Śledzono jego kroki, podróże, wystąpie-
nia i spotkania, pisano o nim raporty. Około 1805 roku
stał się entuzjastą Napoleona, trafił do jego najbliższe-
go otoczenia, poznał francuskiego dyplomatę Bignona,
panowie przypadli sobie do gustu, Sapieha z inspiracji
nowego znajomego organizuje prywatne biuro wywia-
dowczo-informacyjne pracujące na rzecz Francji. Trud
i oddanie sprawie francuskiej zostają docenione, Napole-
on dwukrotnie odznaczył Sapiechę, m.in. najwyższym or-
derem francuskim Złotego Orła Legii Honorowej. Książ-
ęce fascynacje sprawami wywiadu i oddanie się pracy
wywiadowczej intrygowało historyków i publicystów.
W roku 1992, w PWN, ukazała się książka Jerzego Skow-
ronka *Z magnackiego gniazda do napoleońskiego wywia-
du. Aleksander Sapieha*.

Francuzi docenili inteligencję Sapiechy, ale nie byli
bezkrytyczni wobec poczynań i zachowań polskiego
arystokraty. Talleyrand, minister spraw zagranicznych,
w korespondencji z Napoleonem zarzucał Sapiesze mega-
lomanie. Wyznanie francuskiego dyplomaty potwierdza
trafność polskiego przysłowia o dumnych Sapiebach. Ju-
lian Ursyn Niemcewicz także nie czuł sympatii do swego
sąsiada, krytycznie oceniał jego charakter, napisał wprost
„człowiek zły próżny i dumny”.

LECZYĆ SIĘ JAK BOHUN WE WŁODAWIE

ZNANEGO PORZEKADŁA WŁODAWSKIEGO NIE ZNAJDZIE-
my w księgach przysłów. Jest bez wątpienia pogłosem lek-
tury Sienkiewicza. Wiele zwrotów z powieści i nowel na-
szego noblisty trafiło do języka potocznego, wiele słów,
scen, zwrotów z jego dzieł dało początek konceptom ję-
zykowym. Nad Bugiem, gdzie nie brakowało czytelników
Sienkiewicza i gdzie przecież docierali bohaterowie Try-
logii, zrodził się zwrot „leczyć się jak Bohun we Włoda-
wie”. Przypominamy przysłowie bez podania źródła, po-
wołujemy się jedynie na ludowych pisarzy, gawędziarzy,
ludowych filozofów ziemi lubelskiej (Paulinę Hołyszow-
wą ze Strupina, Błażeja Jaczyńskiego z Łęcznej, Stanisła-
wa Bojarczuka spod Krasnegostawu), którzy swe reflek-
sje, gawędy i opowieści ubarwiali i tym powiedzonkiem.

Sienkiewicz bywał w Lublinie, do Włodawy nie dotarł.
Lublin w *Trylogii* występuje epizodycznie, więcej miejsca
poświęcił powieściopisarz w swych dziełach Zamościowi,
w *Ogniem i mieczem* na karty powieści wprowadził Włoda-
wę. Tu, nad Bugiem, Bohun liże się z ran, ale także –
co istotne dla kompozycji dzieła – powierza Rzędziano-
wi tajemnicę miejsca ukrycia Heleny.

Czy we Włodawie było dużo medyków? Nie więcej niż
w innych miejscowościach. Bohun wykurował się i miał
przed sobą burzliwe dzieje. Można zaryzykować sąd, iż
leczył się bez specjalnych specjalistów medyków, a siły
i zdrowie odzyskał.

Przysłowie jest pochwałą ludowej medycyny, stosuje
się je jako mniej lub więcej zawołowaną drwinę z cho-
rych unikających kontaktów z lekarzem.

LUBLIN WINEM ...

Toruński piernik,
a wódka gdańska
warszawski trzewik
lubelska panna...

Ten króciutki utwór trafił między przysłowia, widnie-
je w *Księdze przysłów polskich*.

Lubelskie panny szeroko zasłynęły w kraju, a choć co
należy zaznaczyć z całą stanowczością – ceniono je za
urodę, to bezlitośnie pokpiwano z charakterów. W tej-
że *Księdze* znajdują się i takie frazy: „Lublinianka ładna,
tkliwa, ale leniwa” czy „Lublinianka składna, zręczna ale
niewdzięczna”.

W XIX – wiecznej *Księdze przysłów polskich* Samuel
Adalberg, zamieścił zabawny czterowiersz:

Łęczna złotem
Szczepreszyn błotem
Lublin winem
Kock rabinem

Przysłowie zrodziło się przed wiekami. Dziś Szcebrzeszyn znany jest szeroko z powiedzonka o chrząszczu brzmącym w trzcinie. A w XIX wieku powiadano często, iż „nie od Szcebrzeszyna świat się zaczyna i w Wielączy (nieopodal Zamościa) świat się nie kończy”. W Kocku nie pamiętają już rabinów, niewielu też wie, iż mieszkał tu w XIX wieku sławny na cały świat cadyk Menachem Mendel. Ten sam, o którym Lejzorek Rosztwaniec – bohater słynnego dzieła Ilji Erenburga – powiadał, że cadyk ten czytał nieznośnie mądre księgi i przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nad tymi księgami rozmyślał.

Czy w Łęcznej pamiętają o tutejszym złocie? Jeszcze niedawno węgiel, z którego słynie dziś Łęczna, nazywany był czarnym złotem. Kopalnia Bogdanka ma się wprawdzie nieźle, ale nawet największy optymista nie powie, że Łęczna ciągle na złocie stoi. Czarne złoto bowiem wyraźnie straciło swój niegdysiejszy blask. A kiedyś faktycznie płynęła tu struga złota. Lata świetności Łęcznej przysły w XVII wieku, gdy podupadł zniszczony wojnami Lublin. Na słynne łęczniańskie jarmarki zjeżdżało po kilkanaście tysięcy ludzi z różnych stron świata. No i przede wszystkim spędzano tu rok rocznie – z Wołynia, Podola, Ukrainy – tysiączne stada wołów, owiec, trzody chlewnej, gospodarskich i rasowych koni. Wielki boom handlowy trwał blisko wiek, bez przesady można mówić o międzynarodowej pozycji handlowej Łęcznej, obroty jarmarków kształtowały się w niebagatelnej wysokości około 800 tysięcy rubli. Niestety, epoka jarmarcznej świetności podlubelskiej metropolii zamknęła się ostatecznie.

Parę wieków wcześniej zaczęły się „winne” lata Lublina. Były to czasy Trybunału, który w roku 1578 powołał król Stefan Batory. Trybunał to najwyższa instancja sądowa dla szlachty w sprawach cywilnych i karnych, rozpatrująca apelacje od wyroków sądów ziemskich i grodzkich. Do Lublina ściągająca swarliwa szlachta z terenów małopolski i województw południowo-wschodnich. W samym mieście nastąpiło ożywienie gospodarcze i polityczne, wzniesiono wiele okazałych pałaców magnackich, dworów szlacheckich i – rzecz jasna – zajazdów, gospód, karczem. Cieszono się w nich z trybunalskich sukcesów, opijano przegrano, obmyślano kruczki prawne. Dowody, że nie żałowano sobie w trybunalskim grodzie wina zachowały się w literaturze, bo przecież do Trybunału ściągali także poeci, pamiętnikarze, publicyści. Ale ten piękny czas też musiał minąć. Nadszedł rok 1794 i odbyła się ostatnia sesja Trybunału, lubelski trybunał przeszedł do historii i legendy. Jej ślad pozostał także w przysłowiach. W minionych wiekach popularne było powiedzenie: „W jego głowie, jak w lubelskim trybunale!”

Aby żart był zrozumiały, musi odwoływać się do faktów powszechnie znanych. Kontekst w przytoczonych



wierszykach był zrozumiały, dziś jest mniej czytelny, dlatego pokuszono się o wyjaśnienie. W niektórych sytuacjach, dla wielu dawnych powiedzeń czy przysłów, trudno o kontekst.

Dlatego pewien passus w słynnym piśmie satyrycznym „Kolce”, w jednym z numerów z roku 1886, budzić musi dzisiaj niemalże zdumienie. Przy opisie Płocka, niedbalstwa i niechlujstwa płocczan, leniwych urzędników, niesolidnych rzemieślników, kupców-oszustów, pada zwrot: „A cóż to za podłe miasto, drugi Lublin, czy co?”

Lubelska podłość oszustwa, były powszechnie znane? Czyjaś niegodziwość, nikczemność najłatwiej było opisać czy przedstawić, porównując z lubelską?

DUCH WIKTORA HUGO PŁODZI W... LUBELSKIM

AUTOREM KPIARSKIEGO POWIEDZENIA JEST HENRYK Sienkiewicz. Szyderstwo było reakcją na dzieło Jakuba Goldszmita *Dramat rodzinny*. Goldszmit (urodzony w 1848 roku w Hrubieszowie) to szeroko znany w XIX wieku pisarz polsko-żydowski, publicysta, wydawca i adwokat. (Według jednych źródeł był ojcem Henryka (ur. 1878 lub 1879), znanego później jako Janusz Korczak, według innych – stryjem). Już podczas nauki w lubelskim gimnazjum zaczął publikować w polskiej prasie (od roku 1847 w „Kurierze Lubelskim”). Z pasją i powodzeniem pisał powieści, tłumaczył z niemieckiego na polski (przełożył *Filozofię śmiechu* H. Spencera), redagował kalendarze, choćby *Kalendarz Lubelski, Familijny, Domowo-gospodarski*. W trzydziestym trzecim roku życia ogłosił *Dramat rodzinny*, dziełko nieudane zawile, złożone – wedle Sienkiewicza – z cudzych stylów, wydętej filantropii, skandalicznych scen i morza łez wylanych nad upadkiem kobiety. Akcja *Dramatu* rozgrywa się na Lubelszczyźnie, →

w małym miasteczku, prawdopodobnie w rodzinnym Hrubieszowie. „Gdyby określenie: *ni pies ni wydra – coś na kształt świdra* nie było trywialnym i zużyтым, powiedzielibyśmy, że dramat jest właśnie czymś na kształt świdra. Jest to styl Wiktora Hugo zastosowany do pewnego małego miasteczka w Lubelskiem i do Anielci, która w pewnej drażliwej chwili nie mogła wołać o pomoc, gdyż miała kołdrę na głowie. Duch Wiktora Hugo spłodził tę powieść w Lubelskiem” – kpił Sienkiewicz ze swego kolegi po piórze, a i z Lubelskiego również.

O książce zapomniano, o Goldszmicie również, powieźdzenie było jeszcze popularne na Lubelszczyźnie – jak można wnosić z lektury prasy – w latach międzywojennych XX. stulecia.

ZAŻYC Z MAŃKI, ZAŻYC Z LIŚCIA

JULIAN KRZYŻANOWSKI w TOMIE *Mądrej g-łowie dość dwie słowie* (1975 r., III wyd.) zauważał, że zwrot „z mańki zażyć” nieobecny w starych słownikach Adalberga, Lindego i Warszawskim żyje i nie brakuje dowodów na jego popularność.

Wyraz „mańka” – przypominał Krzyżanowski wyjaśniając pochodzenie zwrotu – pochodził z włoskiego *manca* (lewica). „Zażywający z mańki” używał podstęp, ot, przerzucał broń z prawej do lewej ręki, jak choćby Bohun w słynnym pojedynku z Wołodyjowskim i wprowadzał zaskakujący cios.

Wtem Kozak sztuką najbieglejszym tylko szermierzom znaną przerzucił nagle szablę z prawej do lewej ręki i dał cios od lewicy tak okropny, że pan Michał, jakby piorunem rażony, padł na ziemię – przeczytamy w dziele Sienkiewicza.

„Zażyć kogoś z mańki” to także oszukać, podejść, wywieść w pole.

W naszej dobie częściej słyszy się zwrot „zażyć z liścia” niż „zażyć z mańki”. Któż więc dzisiaj „zażywa z liścia”? Nie jest to z pewnością nikt z szermierzy, żaden kpiarz, czy nawet oszust, jedynie awanturnik, bo „zażyć z liścia” to wymierzyć komuś siarczysty policzek otwartą dłonią. I nieważne już – lewą, czy też prawą.

Tak więc nieoczekiwanie niewinny liść pięciopalcza-stego klonu stał się synonimem burdy.

Nieoczekiwanie – bo przez skojarzenie liścia i dłoni.

KONIEC ŚWIATA, KONIEC KOSMOSU, CZYLI ŻYCIE PO UTRACIE KOSMOSU

ŚWIAT NAPISAŁEM MAŁĄ LITERĄ, KOSMOS WIELKĄ. NIE ma tu żadnej pomyłki. Świat choć wielki, piszemy małą literą, Kosmos – w tym przypadku chodzi o lubelskie kino,

funkcjonujące jeszcze do niedawna – rzecz jasna, wielką. Wyjaśnię szybko, że będę pisał o końcu kina Kosmos.

Koniec świata, drogi panie – mówił do mnie jegomość, jak sądziłem, dobrze po osiemdziesiątce – burzą Kosmos! W głosie mojego interlokutora czuło się żal, gorycz, może rozpacz.

Kino Kosmos usytuowane za Ogrodem Saskim, przy ulicy Króla Leszczyńskiego, wiosną 2014 roku zniknęło z krajobrazu miasta – rzecz można – niezauważalnie. Brygady budowlane (sprawne także w rozbiórkach) rozprawiły się z Kosmosem – niegdyś dumą miasta – w kilka, czy też w kilkanaście dni. Może obiekt wzniesiono z najtańszego i mizernego budulca? Pytanie jest – jak to się powiada – zasadne, bo taki gmach Teatru w Budowie burzono w tym samym czasie – w huku, kurzu, jazgocie maszyn przez parę dobrych tygodni. I to przy użyciu jakiego sprzętu! Olbrzymie dźwigi grzmocły wielotonowymi wahadłami w mury z czerwonej cegły aż echo niosło! A mury tkwiły uparcie, nie dawały się wyrwać z krajobrazu.

Ludzie przystawali, patrzyli w zadumie, bo chwila była historyczna i poniekąd artystyczna! Burzyć Teatr w Budowie toż to sztuka, spektakl awangardowy, ale zarazem realistyczny i sarkastyczny! Burzono gmach, którego budowa – przez ćwierć wieku – napawała dumą ekipy perelowskich włodarzy miasta.

Skończył się komunizm w Polsce, a może nie skończył, niedokończony gmach Teatru w Budowie, duma lubelskich komunistów, zniknął z krajobrazu miasta. Wracamy na ulicę Leszczyńskiego.

Prace przy wyburzaniu Kosmosu nie zakłóciły ruchu – jak to się powiada – kołowego, przechodniów w tej okolicy niewielu, gapiów nie było, fotografów nie dostrzegłem.

Ach, co to było za kino! Premierowe, reprezentacyjne! Drzwi wejściowe w wielkiej ścianie ze szkła, na niej plakaty, fotosy, na nich uśmiechnięte twarze filmowych gwiazd! Pomieszczenie dla kupujących bilety stosunkowo niewielkie, ale już dla posiadaczy biletów – olbrzymie. Z tego obszernego hallu szerokie schody wiodły na półpiętro, a stąd dwa wejścia na widownię.

Jegomość w wytartym kapeluszu i znoszonym płaszczu patrzył nostalgicznie. Mogłem przypuszczać, że z tym kinem wiązały się jego wspomnienia. Przychodził tu z dziewczynami, potem z narzeczoną, żoną... Ileż obejrzanych westernów, kryminałów, komedii...

Koniec Kosmosu – powtórzył. – Najprawdziwszy koniec świata.

Przez moment pomyślałem, że powie: – pora umierać.

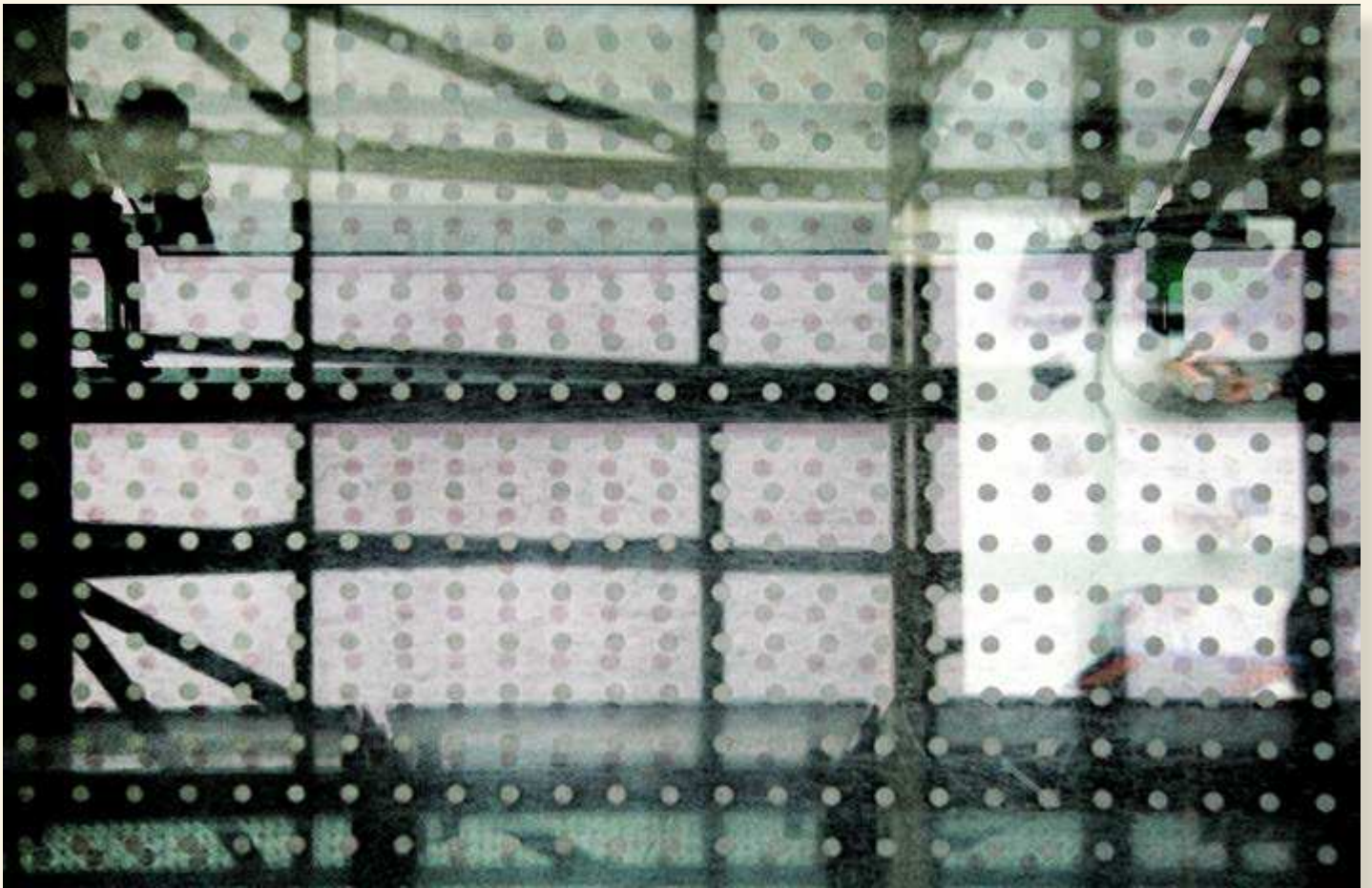
Nie powiedział. Można żyć po utracie Kosmosu.



fotoGRAFIKA

Paweł D. Znamierowski



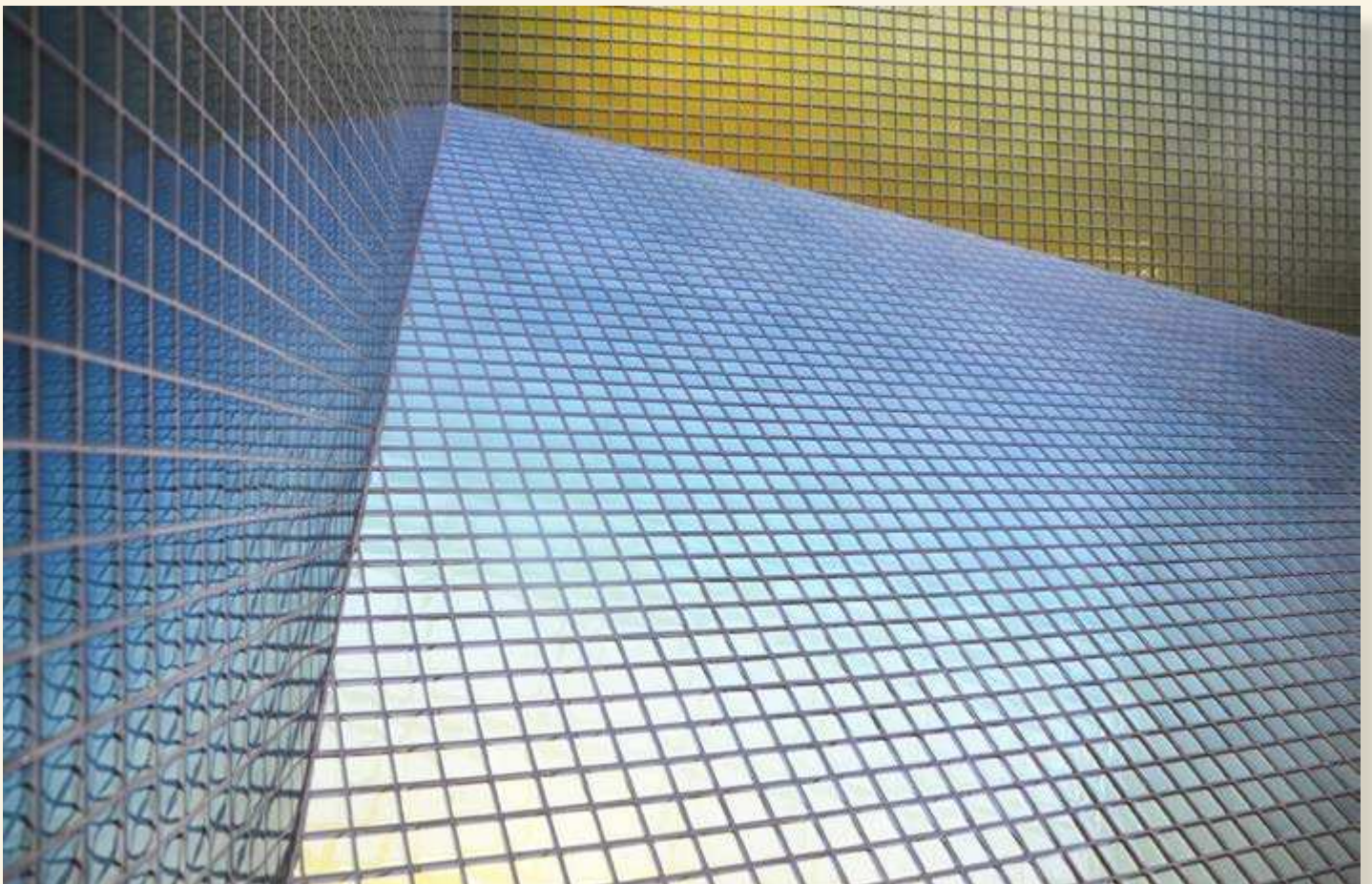


fotoGRAFIKA
Paweł D. Znamierowski





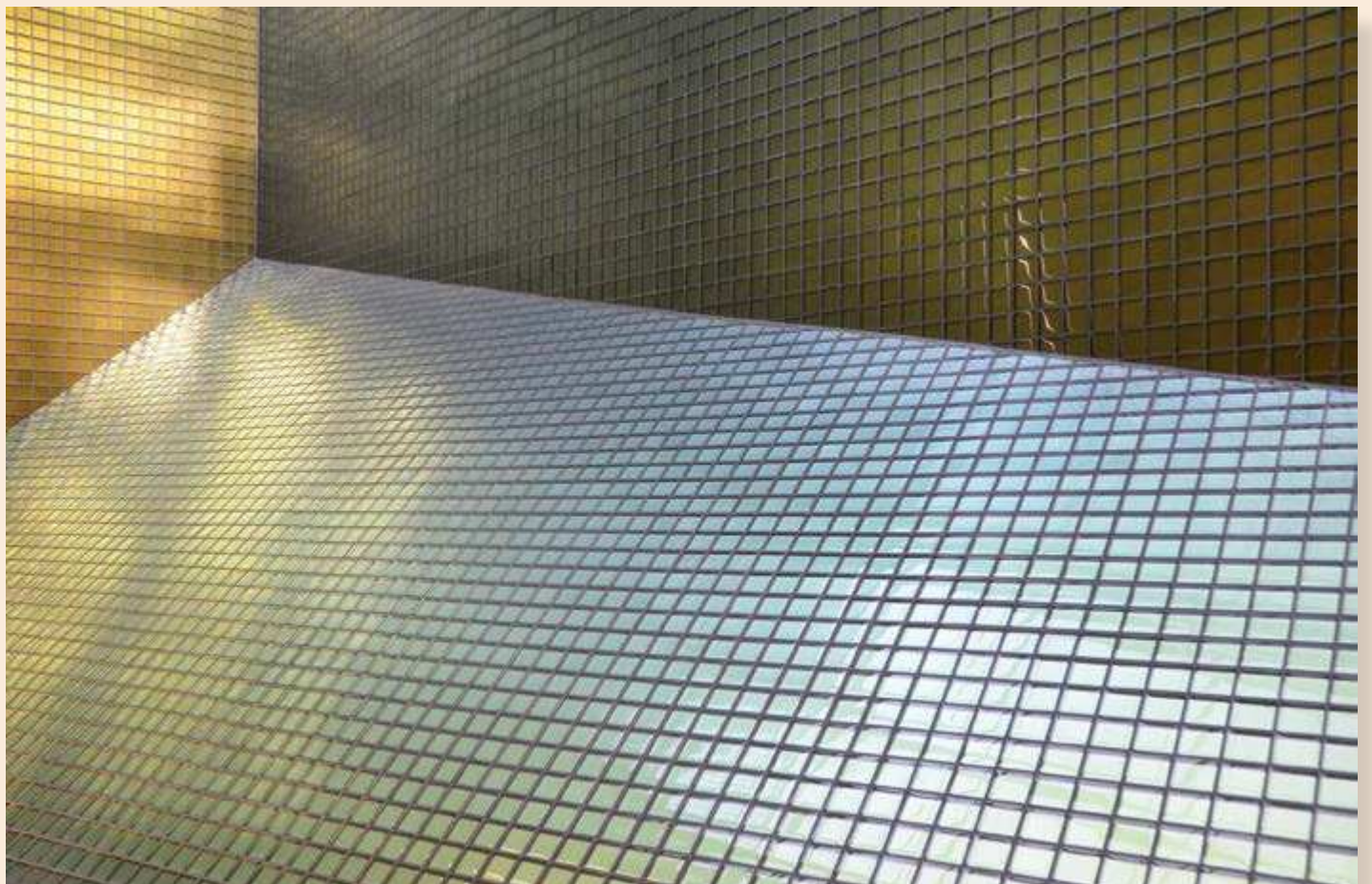
fotoGRAFIKA
Paweł D. Znamierowski





fotoGRAFIKA

Paweł D. Znamierowski





fotoGRAFIKA

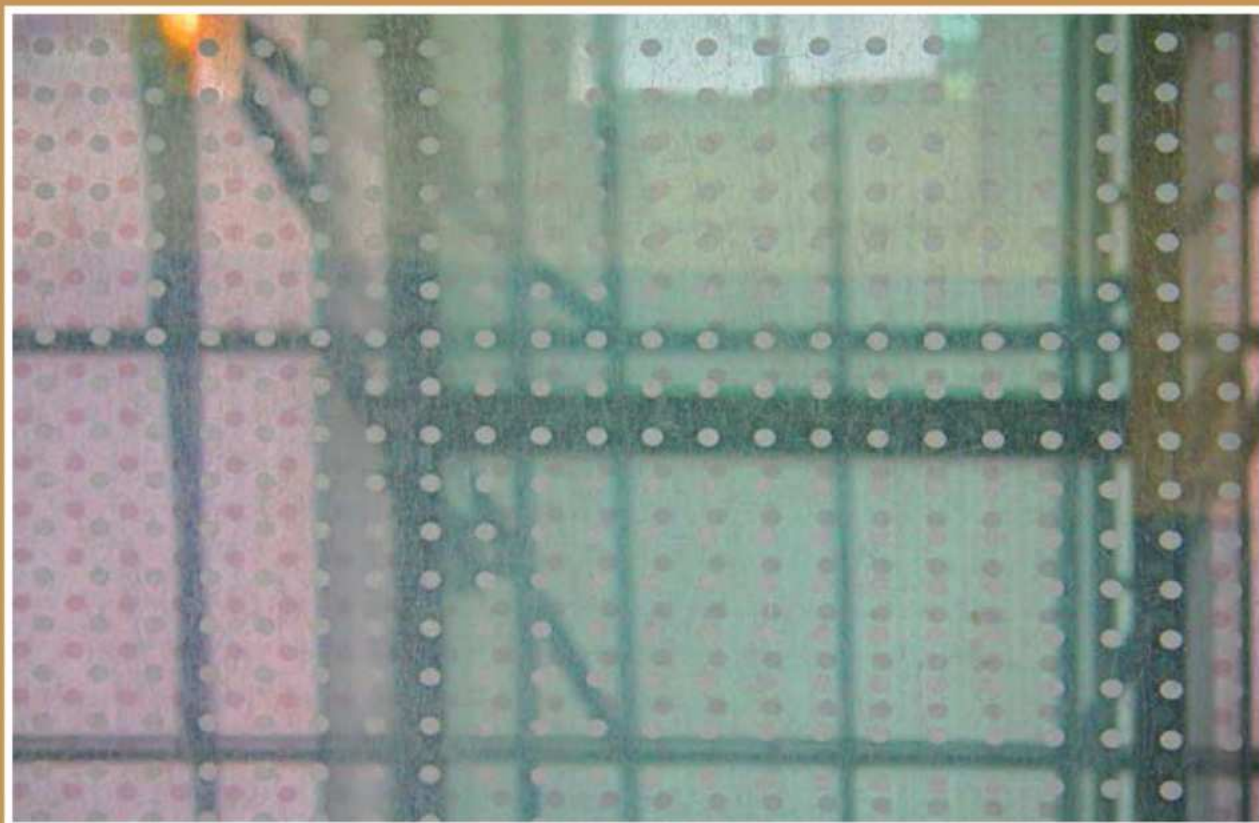
Paweł D. Znamierowski





fotoGRAFIKA

Paweł D. Znamierowski



ISSN 1733-4330
9 770173 343303 87